

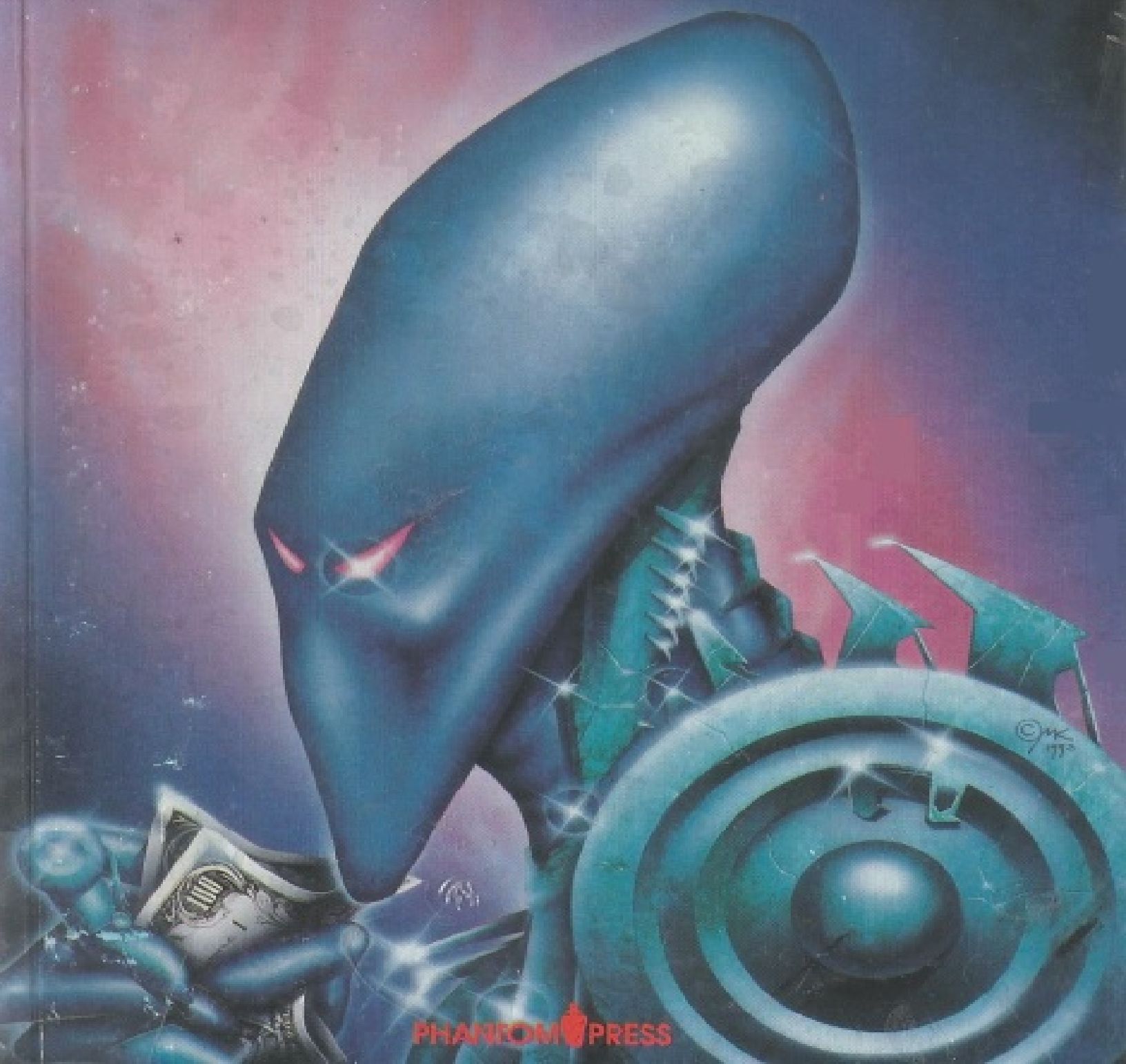
FANTASY & SF

CLIFFORD D. SIMAK

NESTOR FANTASTYKI NAUKOWEJ

TRANSAKCJA

CHODZILI JAK LUDZIE...



PHANTOM PRESS

CLIFFORD D. SIMAK

TRANSAKCJA
(THE WALKED LIKE MEN)

Przełożyła: Teresa Niegowska

PHANTOM
P R E S S

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1993

Tytuł oryginału: *They Walked Like Men*

Redaktor
Leszek Walkiewicz

Ilustracja
© Marcin Konczakowski

Projekt i opracowanie graficzne
Agnieszka Wójkowska

Copyright © 1962 by Clifford D. Simak Copyright for the Polish
edition
by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL Gdańsk 1993
Wydanie I

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

ROZDZIAŁ 1.

ROZDZIAŁ 2.

ROZDZIAŁ 3.

ROZDZIAŁ 4.

ROZDZIAŁ 5.

ROZDZIAŁ 6.

ROZDZIAŁ 7.

ROZDZIAŁ 8.

ROZDZIAŁ 9.

ROZDZIAŁ 10.

ROZDZIAŁ 11.

ROZDZIAŁ 12.

ROZDZIAŁ 13.

ROZDZIAŁ 14.

ROZDZIAŁ 15.

ROZDZIAŁ 16.

ROZDZIAŁ 17.

ROZDZIAŁ 18.

ROZDZIAŁ 19.

ROZDZIAŁ 20.

ROZDZIAŁ 21.

ROZDZIAŁ 22.

ROZDZIAŁ 23.

ROZDZIAŁ 24.

ROZDZIAŁ 25.

ROZDZIAŁ 26.

ROZDZIAŁ 27.

ROZDZIAŁ 28.

ROZDZIAŁ 29.

ROZDZIAŁ 30.

ROZDZIAŁ 31.

ROZDZIAŁ 32.

ROZDZIAŁ 33.

ROZDZIAŁ 34.

ROZDZIAŁ 35.

ROZDZIAŁ 36.

ROZDZIAŁ 37.

ROZDZIAŁ 38.

Przypisy

1.

Zdarzyło się to we czwartek nocą. Trochę za dużo wypięm, w korytarzu było ciemno i to mnie uratowało. Gdybym nie zatrzymał się na środku korytarza, by w skąym świetle nagiej żarówki znaleźć klucz do mieszkania, pewnie wpadłbym w pułapkę.

Fakt, że miało to miejsce we czwartek nocą, nie ma tu oczywiście żadnego znaczenia; ja po prostu piszę w taki sposób. Jestem dziennikarzem, a jak wiadomo, my, dziennikarze, podajemy datę i godzinę oraz wszelkie informacje związane ze sprawą, o której piszemy.

W korytarzu było ciemno, bo stary George Weber, gospodarz domu, był straszliwym skąpcem. Połowę swego życia spędził na kłótniach z lokatorami, którzy skarżyli się na niedostateczne ogrzewanie, brak klimatyzacji, awarie sieci wodociągowej, albo też domagali się natychmiastowego remontu domu. Ze mną nigdy nie dochodziło do nieporozumień w tych sprawach, bo ja po prostu o nie nie dbałem. Mieszkanie było miejscem, gdzie wpadałem od czasu do czasu posiedzieć trochę, przespać się lub coś zjeść, nie robiłem więc zamieszania o takie drobiazgi. Mieliśmy ze starym George'em o sobie nawzajem dobre mniemanie. Grywaliśmy razem w pinochle^[1], popijaliśmy piwo, a każdej jesieni wyjeżdżaliśmy do Dakoty Południowej polować na bażanty.

Gdy stałem w korytarzu, przypomniałem sobie, że w tym roku nie Pojedziemy, bo rano odprowadziłem starego George'a i jego żonę na lotnisko — wybrali się na wycieczkę do Kalifornii. Nawet gdyby George nie wyjechał, i tak nie mógłbym z nim jechać na polowanie, w przyszłym tygodniu bowiem zaczynała się moja podróż, do której szef zmuszał mnie już od ponad pół roku.

Byłem trochę wstawiony i drżącą ręką szukałem odpowiedniego klucza. Tego dnia pokłóciłem się z redaktorem działu miejskiego, Gavinem Walkerem, o to, czy dziennikarze muszą zajmować się takimi sprawami, jak posiedzenie rady miejskiej czy zebranie komitetu rodzicielskiego. Gavin twierdził, że powinni, ja zaś byłem odmiennego zdania. Najpierw on postawił kilka kolejek, potem ja zrewanżowałem się, aż przyszedł czas zamykania lokalu i barman Ed musiał nas wyprosić. Na ulicy zacząłem się zastanawiać, czy mogę sam prowadzić, czy raczej powinienem wziąć taksówkę. W końcu zdecydowałem się na to pierwsze, ale wybierałem boczne ulice, gdzie miałem nadzieję nie spotkać glin. Bez problemów dotarłem do domu i zdołałem wjechać na plac na tyłach budynku. Nie próbowałem jednak zaparkować — po prostu zostawiłem samochód na środku placu. Potem stałem pod drzwiami mojego mieszkania i nie mogłem znaleźć klucza. Wszystkie wyglądały jednakowo i kiedy przeszukiwałem je bezskutecznie kolejny raz, cały pęk wyśliznął mi się z rąk i upadł na podłogę.

Schyliłem się, chybiłem dwa razy, więc musiałem uklęknąć, by podnieść klucze.

I właśnie wtedy to zauważyłem.

Pomyślcie tylko: gdyby stary George nie skąpił paru marnych groszy i zainstalował w korytarzu porządne światło, każdy mógłby podejść do swoich drzwi i wyszukać odpowiedni klucz zamiast stać na środku i próbować coś dostrzec w kiepskim świetle słabej żarówki. Nigdy zresztą nie upuściłbym kluczy, gdybym nie upił się po kłótni z Gavinem. A nawet gdybym je upuścił, to przy lepszym świetle prawdopodobnie podniósłbym je bez klękania i wtedy nie zauważyłbym, że dywan został przecięty.

Nie podarty, nie wytarty, ale właśnie przecięty, i to w bardzo zabawny sposób: na kształt półokręgu, dokładnie przed moimi drzwiami. Jak gdyby ktoś wybrał środek moich drzwi za punkt centralny, przywiązał nóż do sznurka o długości kilkudziesięciu

centymetrów i zatoczył półokrąg, przecinając dywan. Co dziwniejsze, wycięty kawałek nadal leżał na swoim miejscu.

Pomyślałem, że to piekielnie zabawne i... całkowicie bezsensowne. Po co ktoś miałby wycinać kawałek dywanu o takim kształcie? A jeśli nawet dla jakiejś niepojętej przyczyny fragment dywanu był mu potrzebny, to nie wycinałby go, by potem pozostawić na miejscu.

Ostrożnie wyciągnąłem palec, aby się przekonać, że nie mam żadnych urojeń, i wykluczyłem taką możliwość, z tym że to nie był dywan. Materiał, który leżał wewnątrz półkola, wyglądał identycznie jak leżący tu przedtem dywan, ale była to jego doskonała imitacja z bardzo cieniutkiego papieru.

Cofnąłem rękę, nadal klęcząc. Nie myślałem o tym, co zobaczyłem; próbowałem raczej wymyślić jakieś wytłumaczenie tego, że klęczę, w razie gdyby natknął się na mnie któryś z lokatorów naszego domu.

Nikt się nie pojawił. W pustym korytarzu unosił się zapach pleśni, który zawsze kojarzy się z korytarzami czynszowych kamienic. Nad głową usłyszałem cichutkie brzęczenie żarówki, co mogło oznaczać, że zaraz się przepali. Być może wtedy nowy dozorca wkręci żarówkę o większej mocy. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że to jednak niemożliwe, bo stary George z pewnością pozostawił przed wyjazdem dokładne wskazówki, jak należy ograniczać koszty utrzymania domu.

Ponownie wyciągnąłem rękę i koniuszkiem palca dotknąłem owej powierzchni, by utwierdzić się w przekonaniu, że to jest papier. Przynajmniej tyle mogłem ustalić.

Fakt, że wycięto fragment dywanu i położono w to miejsce papierową imitację, piekielnie mnie rozzłościł. Kryło się za tym jakieś nikczemne oszustwo. Aby je zdemaskować, chwyciłem papier i uniosłem w górę.

Moim oczom ukazała się pułapka.

Ciągle trzymając papier, podniosłem się z kolan i oszołomiony, wpatrywałem się w nią.

Nie mogłem uwierzyć własnym oczom; nikt przy zdrowych zmysłach nie byłby w stanie dać temu wiary. Po prostu ludzie nie zastawiają wokoło pułapek na innych ludzi, jak na lisy czy niedźwiedzie.

A jednak to była pułapka. Zajmowała fragment podłogi, widoczny po wycięciu kawałka dywanu. Zamaskowano ją papierem, tak jak myśliwi ukrywają sidła pod cienką warstwą liści lub trawy.

Zbudowano ją ze stali. Nigdy nie widziałem pułapki na niedźwiedzia, ale ta sprawiała wrażenie szczególnie dużej i mocnej. Miałem jednak świadomość, że jest ona przeznaczona dla ludzi, skoro została w taki sposób umieszczona, a nawet dla konkretnego człowieka — nie miałem najmniejszych wątpliwości, że tym człowiekiem byłem ja.

Zacząłem się cofać, aż oparłem się plecami o ścianę. Stałem i patrzyłem na pułapkę. Pęk kluczy, który upuściłem, leżał na podłodze na środku korytarza.

Usiłowałem wytłumaczyć sobie, że to oryginalny żart, ale w obliczu oczywistych faktów musiałem zrezygnować z podobnych złudzeń. Gdybym od razu podszedł do drzwi, zamiast zatrzymać się na środku korytarza, przekonałbym się, że to nie był żart. Miałbym złamaną nogę, nawet obydwie, może cały byłbym połamany. Szczęki pułapki zaopatrzone były w ostre zęby i gdyby zatrzasnęły się, chwytając ofiarę, żadna siła nie byłaby w stanie ich rozewrzeć. Dopiero rozebranie urządzenia na części pozwoliłoby na uwolnienie nieszczęśnika.

Zadrżałem na tę myśl: ofiara wykrwawiłaby się na śmierć, zanim ktokolwiek mógłby jej pomóc.

Nieświadomie zmiąłem trzymany w ręku papier i rzuciłem bezkształtny zwitek w pułapkę. Papier uderzył w jedną szczękę, potoczył się kawałek i wylądował pośrodku, między rozwartymi groźnie kleszczami.

Zrozumiałem, że muszę postarać się o kij lub coś podobnego; wtedy będę mógł unieszkodliwić pułapkę i dostać się do mieszkania. Mogłem też, oczywiście, zawiadomić gliny, ale to nie miało najmniejszego sensu. Zaraz podnieśliby wielki krzyk, zabraliby mnie do komisariatu i zaczęli

zadawać mnóstwo pytań. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Byłem wyczerpany i marzyłem o tym, aby się wyspać we własnym łóżku.

Poza tym z powodu zamieszania dom zyskałby złą sławę, co byłoby nieuczciwe w stosunku do starego George'a, przebywającego właśnie w Kalifornii. Wszyscy Sąsiedzi mieliby temat do rozmów, także ze mną, a to mi było nie na rękę. Dotąd trzymali się ode mnie z daleka, z czego byłem bardzo zadowolony.

Po zastanowieniu uznałem, że kij mogę znaleźć jedynie w schowku na pierwszym piętrze, gdzie przechowywano szczotki, zmywaki, odkurzacze i tym podobne rupiecie. Nie mogłem sobie tylko przypomnieć, czy pomieszczenie to nie jest czasem zamknięte na klucz.

Ruszyłem w stronę schodów i już byłem na ich szczycie, kiedy jakaś siła kazała mi się odwrócić. Nie wydaje mi się, bym coś usłyszał, jestem nawet pewien, że nie, a jednak zachowałem się tak, jakbym coś usłyszał.

To był jakby głos nakazujący mi odwrócić się; uczyniłem to zbyt szybko, nogi zaplątały mi się i runąłem na podłogę.

Padając zdążyłem zauważyć, że pułapka zmieniła się. Wyciągnąłem rękę, by złagodzić upadek, ale i tak uderzyłem głową tak mocno, że zobaczyłem wszystkie gwiazdy.

Podciągnąłem rękę pod siebie, uniosłem się trochę i potrząsnąłem głową, by otrząsnąć się z chwilowego zamroczenia. Widziałem, że pułapka rzeczywiście uległa metamorfozie. Szczęki urządzenia zwiotczały, a cała konstrukcja powyginała się w niezwykły sposób. Zdziwiony, nie mogłem ruszyć się z miejsca ani oderwać wzroku od pułapki.

Pułapka stawała się miękka i skupiała się coraz bardziej, niby rozbity, powykręcany kawałek plastikowej masy, próbujący odzyskać utracony kształt. To, co było pułapką, zaczęło zmieniać się w kulę, która dalej skupiała się i zmieniała kolor.

W końcu stała się czarna jak smoła.

Przez chwilę leżała pod drzwiami, a następnie zaczęła się wolno toczyć, niemal z wysiłkiem.

Toczyła się prosto na mnie!

Próbowałem odsunąć się na bok, ale nabrała takiej szybkości, że przez chwilę miałem wrażenie, jakby chciała uderzyć we mnie. Była wielkości kuli do gry w kręgle, może trochę większa, nie mogłem jednak określić, ile ważyła.

A jednak nie uderzyła we mnie, otarła się tylko, i to wszystko.

Odwróciłem się i zobaczyłem, jak spada po schodach. To było nawet zabawne: odbijała się od kolejnych stopni, nie tak jednak jak zwyczajna piłka — wysoko i powoli, lecz krótkimi skokami i szybko — jakby jakieś prawo nakazywało jej odbijać się od każdego stopnia, i to z jak największą prędkością. Dotarła do kondygnacji między piętrami i raptownie skręciła.

Poderwałem się na równe nogi, dopadłem barierki i wychyliłem się, by móc zobaczyć schody poniżej. Kula zniknęła z pola widzenia, nie było po niej śladu.

Zawróciłem do miejsca w korytarzu, gdzie w słabym świetle żarówki leżał pęk kluczy, a z dywanu pod moimi drzwiami wycięto półkole o promieniu kilkudziesięciu centymetrów.

Uklęknąłem ponownie, chwyciłem klucze, odnalazłem właściwy i podszedłem do drzwi. Otworzyłem je, wszedłem do środka i natychmiast zamknąłem dokładnie drzwi za sobą, nie zapalając światła.

Po chwili włączyłem światło, poszedłem do kuchni i usiadłem przy stole. Przypomniałem sobie, że miałem w lodówce jeszcze pół puszki soku pomidorowego, i pomyślałem, że powinienem się napić. Nie mogłem jednak zmusić się do tego, odruchowo zacisnąłem usta. Tak naprawdę to chętnie napiłbym się wódki, ale i tak byłem już wystarczająco pijany.

Siedziałem, rozmyślając o pułapce i przyczynach, dla których ktoś chciał mnie w nią schwytać. To było największe szaleństwo, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Sam bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył na własne oczy.

Oczywiście, to nie była zwykła pułapka. Prawdziwe pułapki nie mogą się przemieniać, zwijać w kulę i oddalać po nieudanym czatowaniu na ofiarę.

Usiłowałem to wszystko rozwikłać, ale chciało mi się spać; myśli mi się plątały, byłem bezpieczny w domu i wiedziałem, że jutro też jest dzień. Poniechałem więc wszelkich działań i dowlokłem się do łóżka.

2.

Coś nagle wyrwało mnie ze snu.

Podерwałem się, nie wiedząc, gdzie jestem ani kim jestem — całkowicie dezorientowany. Nie byłem śpiący, nie kręciło mi się w głowie, tylko czułem tę okropną, wyraźną, lodowatą pustkę, która w nagłym błysku obnaża wszystko.

Trwałem w próżni i ciszy, w nieokreślonym mroku, gdy tymczasem mój przenikliwy chłodny umysł niczym atakujący wąż przebijał się przez ciemność, poszukiwał czegoś, a znalazłszy nicość, wpadł w przerażenie.

Rozległ się jakiś dźwięk — wysoki, przenikliwy i natarczywy, całkowicie niezrozumiały, bo nie przeznaczony dla mnie, istniejący tylko dla samego siebie.

Znowu zaległa cisza; z ciemności wokół zaczęły wyłaniać się kształty: mroczny prostokąt okna, ciemny rozkraczony fotel—monstrum. Zza uchylonych drzwi kuchennych wpadała słaba wiązka światła.

Telefon zadzwonił ponownie. Wyplątałem się z pościeli i po omacku ruszyłem do niewidocznych drzwi. Aparat zamilkł w momencie, gdy go odnalazłem.

Przeszedłem przez pokój, potykając się w ciemnościach, bezradnie wyciągając ręce, kiedy usłyszałem znowu sygnał telefonu.

Gwałtownie podniosłem słuchawkę i wymamrotałem coś. Zauważyłem, że z moim językiem dzieje się coś niedobrego — przestał być mi posłuszny.

— Parker?

— A któż by inny?

— Mówi Joe, Joe Newman.

— Joe? — zapytałem, jednocześnie przypominając sobie, że Joe Newman pełnił nocami dyżury w naszej redakcji.

— Przykro mi, że cię obudziłem — rzekł Joe.

Wymamrotałem coś gniewnie.

— Stało się coś śmiesznego i pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć.

— Słuchaj, Joe — przerwałem mu — zadzwoń do Gavina. On jest redaktorem działu miejskiego i płacą mu za wyrywanie go z łóżka w środku nocy.

— Ale to się wydarzyło na twojej ulicy, Parker. To było...

— Taa, wiem doskonale. — Zacząłem być nonszalancki. — Wylądował latający talerz.

— Nie, mylisz się. Czy słyszałeś o ulicy Timber Lane?

— Droga wylotowa z miasta na zachód, w pobliżu jeziora.

— Właśnie. Na końcu ulicy jest stara posiadłość Belmontów. Dom stoi opuszczony, odkąd Belmontowie przeprowadzili się do Arizony. Dzieciaki wybrały tę drogę na aleję zakochanych.

— Dobra, słuchaj, Joe...

— Już zmierzam do sedna, Parker. Ostatniego wieczoru kilkoro dzieciaków parkowało na tej ulicy i widziało gromadę kul toczących się po jezdni, jedna za drugą. To było coś jakby kule do gry w kręgle.

Z przykrością muszę przyznać, że krzyknąłem do niego:

— Co takiego?!

— Zobaczyli te rzeczy w światłach reflektorów, kiedy wyjeżdżali, i wpadli w panikę. Zadzwonili na policję.

Wziąłem się w garść i zapytałem opanowanym głosem:

— Gliny coś znalazły?

— Tylko ślady — odpowiedział Joe.

— Ślady kul do gry w kręgle?

— Tak, sądzę, że można to tak określić.

— Może te dzieciaki trochę wypily — zasugerowałem.

— Gliniarze rozmawiali z nimi i wykluczyli taką możliwość. Te dzieciaki mówią, że kiedy zobaczyli kule, zaraz odjechali stamtąd.

Milczałem, próbując znaleźć odpowiednie słowa. Bałem się; byłem śmiertelnie przerażony.

— Co ty o tym sądzisz, Parker?

— Nie wiem — rzekłem wymijająco. — Może to tylko ich wyobraźnia albo po prostu nabijali się z gliniarzy.

— Tam były ślady.

— Mogli je łatwo spreparować; poprzetaczać kule od gry w kręgle drogą, tam i z powrotem, wybierając pokryte pyłem miejsca. Pewne chcieli, żeby napisano o nich w gazetach. Byli znudzeni i chcieli poszaleć...

— Więc ty byś o nich nie napisał?

— Słuchaj, Joe, ja nie jestem redaktorem i nie ode mnie to zależy. Zapytaj Gavina, to on decyduje, które materiały idą do druku.

— Nie uważasz, że coś w tym jest? Może to jakiś kawał?

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć! — krzyknąłem.

Wcale się nie dziwię, że się obraził.

— Dzięki, Parker — powiedział. — Przepraszam, że cię niepokoiłem.

Rozłączył się. W słuchawce odezwał się miarowy sygnał.

— Dobranoc, Joe — powiedziałem. — I przepraszam, że krzyczałem.

— Poczuję ulgę, mimo że Joe już mnie nie słyszał.

Zastanawiałem się, dlaczego próbowałem zlekceważyć tę sprawę, sprowadzić ją do poziomu szczeniackich wybryków.

„Ponieważ się boisz, głupcze — odezwał się wewnętrzny głos, który czasami mówił do mnie. — Ponieważ dałbyś prawie wszystko, by móc uwierzyć, że to wydarzenie jest bez znaczenia. Ponieważ nie chcesz, by coś przypominało ci pułapkę w korytarzu”.

Ręce mi się trzęsły, kiedy odkładałem słuchawkę — stuknęła parę razy o aparat.

Stałem w półmroku i czułem, jak ogarnia mnie przerażenie. Ale kiedy próbowałem zastanowić się nad jego przyczyną, nic konkretnego

nie przychodziło mi do głowy. W rzeczywistości wszystko to było raczej komiczne: pułapka pod drzwiami, kilka kul do gry w kręgle toczących się spokojnie drogą. Coś takiego można znaleźć jedynie w komiksach. To mogło wywołać niepohamowany atak śmiechu, ale i jednocześnie zabić.

Jeśli było to przeznaczone do zabijania...

Rodziło się pytanie: czy za tymi incydentami krył się plan zabijania? Czy pułapka zastawiona pod drzwiami była prawdziwa, zrobiona z solidnej stali lub czegoś podobnego? To pewne, widziałem ją, a jednak zdrowy rozsądek odrzucał uznanie tak absurdalnych faktów za prawdziwe.

Wprawdzie byłem pijany, ale przecież nie do tego stopnia. Nie upiłem się aż tak, by się przewracać czy mieć przywidzenia. Trochę drżały mi ręce i czułem słabość w kolanach, to wszystko. Teraz już wróciłem do siebie, jeżeli nie liczyć okropnej, mrożącej pustki w mózgu. Kac trzeciego stopnia, z wielu względów najgorszy ze wszystkich.

Oczy przyzwyczyły się do ciemności i zacząłem rozróżniać bezkształtne bryły mebli. Udało mi się dojść do kuchni bez żadnego potknięcia. Drzwi były uchylone; przez szparę przedzierała się wiązka światła.

Idąc spać, musiałem zapomnieć o wyłączeniu górnej żarówki. Zegar ścienny wskazywał wpół do czwartej.

Zobaczyłem, że jestem prawie kompletnie ubrany i solidnie wymiętoszony. Byłem bez butów, zza kołnierza zwisał rozwiązany krawat, reszta ubrania też wyglądała niechlujnie.

Stałem, zastanawiając się, co mam robić. Jeśli o tej porze wrócę do łóżka, to będę spał jak zabity do południa albo dłużej, i obudzę się w okropnym stanie.

Jeżeli jednak umyję się i zmuszę do zjedzenia czegoś, to będę mógł od razu iść do redakcji. Zanim inni się zjawią, odwałę kawał roboty. Dzięki temu urwę się wcześniej i zrobię sobie porządny weekend.

Był piątek, a ja miałem „randkę” z Joy. Przez dłuższą chwilę stałem, delektując się tą myślą.

Wszystko zaplanowałem. Kiedy będę brał prysznic, zagotuje mi się woda na kawę, potem zrobię grzanki i jajka na bekonie, a na kaca wypiję sok pomidorowy.

Zanim się do tego wszystkiego zabrałem, musiałem najpierw wyjrzeć na korytarz, by sprawdzić, co nowego wydarzyło się z dywanem.

Wyjrzałem zza uchylonych drzwi.

Ujrzałem spore półkole ogołoczonej z dywanu podłogi.

Zakpiłem w duchu z mojego wątpliwego umysłu, wróciłem do kuchni i nastawiłem wodę na kawę.

3.

Wczesnym rankiem czytelnia czasopism jest zimnym i opustoszałym miejscem. Duża, pusta i perfekcyjnie uporządkowana, sprawia przygnębiające wrażenie. Rozgardiasz, jaki pojawia się tutaj w ciągu dnia, wytwarza ciepłą i ludzką atmosferę. Pospinane arkusze lub pojedyncze strony zaśmiecają biurka, zgniecione kartki walają się po podłodze, kosze na śmieci są przepełnione. Po nocnej działalności ekipy porządkującej czytelnia staje się bezbarwna niczym sala operacyjna. Palące się światła robią wrażenie zbyt mocnych, a puste biurka i równo poustawiane krzesła stoją niby symbole wysokiej wydajności. W ciągu dnia w tej zaśmieconej sali ludzie pracują intensywnie, w powietrzu unosi się dziwna wrza wa ściszonych rozmów, bez których nie ukazałoby się kolejne wydanie naszej gazety.

Poranna zmiana, a więc także Joe Newman, poszła do domu przed paroma godzinami. Spodziewałem się raczej, że zastanę tutaj Joe'ego, ale jego biurko było uporządkowane i ustawione równo, jak wszystkie pozostałe, nigdzie nie było śladu jego obecności.

Naczynia na klej, wyskrobane, wymyte i ponownie napełnione, uroczyste i lśniące, stały rzędami na stołach zecerskich. Z każdej miseczki wystawał pędzelek. Depesze przesyłane przez dalekopisy leżały równo na wydzielonym do tego biurku. Z kąta sali bez przerwy dochodził cichy stukot dalekopisów, które pracowicie przetwarzały każde ziarenko informacji napływających ze wszystkich stron kuli ziemskiej.

Gdzieś z mrocznych zakamarków sali słyhać było gwizdanie gońca — wysoką, urywaną melodię, która wcale nie była melodią. Wzdrygnąłem się na ten dźwięk. Gwizdanie o tak wczesnej porze miało w sobie coś nieprzyzwoitego.

Podszedłem do swojego biurka i usiadłem. Zauważyłem, że wszystkie magazyny i czasopisma naukowe zostały przez kogoś ze sprzątających zebrane i ułożone w stos. Poprzedniego dnia przejrzałem je uważnie i odłożyłem numery, których potrzebowałem do pisania artykułów. Spojrzałem kwaśno na stos czasopism i zakląłem. Będę musiał przejrzeć je ponownie.

Świeży egzemplarz porannego wydania naszej gazety leżał na uporządkowanym blacie biurka. Wziąłem go, wygodnie oparłem się na krześle i zacząłem przeglądać wiadomości.

Nie znalazłem jednak niczego szczególnego. Ciągle istniały problemy w Afryce, nie było widoków na rozwiązanie konfliktu w Wenezueli. Tuż przed zamknięciem obrabowano jedną z drogerii w śródmieściu. Fotografia przedstawiała sprzedawcę z wystającymi zębami, pokazującego znudzonemu policjantowi, gdzie stał rabuś. Gubernator oświadczył, że w przyszłym roku ciało ustawodawcze, odpowiedzialne za wysokość dochodu narodowego, będzie musiało znaleźć nowe źródła podatków; wyjaśnił, że w przeciwnym razie sytuacja finansowa stanu będzie katastrofalna. Podobne oświadczenia składano już wielokrotnie.

W lewym górnym rogu strony umieszczono lokalny serwis ekonomiczny redagowany przez samego szefa działu ekonomicznego porannej zmiany — Granta Jensena. Grant najwyraźniej był w zawodowo optymistycznym nastroju. Jak pisał, w interesach niezachwianie dominowały tendencje zwykłe. Obroty domów handlowych były wysokie, wskaźniki przemysłowe dodatnie, nie spodziewano się trudności na rynku pracy. Rzeczywistość przedstawiała się różowo. Było to szczególnie widoczne w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Popyt na mieszkania przewyższał podaż, a wszystkie firmy budowlane w całym okręgu federalnym zawarły kontrakty na rok naprzód.

Zachciało mi się ziewać. Niewątpliwie to wszystko była prawda, ale tacy nudziarze jak Jensen powtarzają te same stare frazesy od lat. Wydawcy musiało się to podobać, bo optymistyczne teksty dobrze

wpływają na nastroje społeczeństwa, a klienci korzystający z naszych usług reklamowych mają dobre samopoczucie. Ponadto starzy weterani z dzielnicy finansowej będą mogli porozmawiać o artykule z porannej prasy, kiedy spotykają się w południe na lunchu w Union Club.

Pomyślałem, że gdyby stało się odwrotnie — obroty domów handlowych by spadły, zamarłyby rynek mieszkaniowy, fabryki zaczęłyby wyrzucać pracowników — nikt nie napisałby o tym ani słowa, dopóki sytuacja nie osiągnęłaby katastrofalnego stanu.

Złożyłem gazetę i odłożyłem ją na bok. Otworzyłem szufladę, wyjąłem plik notatek zrobionych zeszłego popołudnia i zacząłem je przeglądać.

Lightning, goniec, wszedł do pokoju i zatrzymał się przy moim biurku.

— Dzień dobry, panie Graves — przywitał się.

— Czy to ty gwizdałeś? — zapytałem.

— Tak, przypuszczam, że to mnie pan słyszał. — Położył korektę na moim biurku. — To pański dzisiejszy artykuł — wyjaśnił. — O tym, jak wymarły mamuty i te wszystkie duże zwierzęta. Myślałem, że zechce pan zobaczyć.

Wziąłem tekst. Jak zwykle jakiś dowcipny zecer dopisał do tekstu przemądrzały nagłówek.

— Wcześniej pan przyszedł, panie Graves — zauważył Lightning.

— Muszę napisać artykuły na kilka tygodni naprzód — wyjaśniłem.
— Wybieram się w podróż.

— Słyszałem o tym. — Lightning wyglądał na poruszonego. —
Astronomia.

— Cóż, sądzę, że można to tak nazwać. Odwiedzę wszystkie duże obserwatoria. Muszę napisać cykl o przestrzeni kosmicznej, wyjściu w kosmos, galaktykach i tym podobnych sprawach.

— Panie Graves — zaczął Lightning — myśli pan, że pozwolą panu popatrzeć przez jakiś teleskop?

— Raczej w to wątpię. Teleskopy są w użyciu niemal przez cały czas.

— Panie Graves...

— O co chodzi, Lightning ?

— Myśli pan, że tam są ludzie? Na innej planecie?

— Nie wiem, nikt nie może tego wiedzieć. Racjonalne wnioski są takie, że gdzieś musi istnieć życie.

— Takie jak na Ziemi?

— Nie, uważam, że to nie są istoty takie jak my.

Lightning stał, niezdecydowany, Przesłupując z nogi na nogę.

— Ojej — odezwał się nagle — zapomniałem panu powiedzieć: jakiś mężczyzna chce się z panem widzieć.

— Ktoś na mnie czeka?

— Tak, przyszedł parę godzin temu. Powiedziałem, że pan nieprędko będzie, ale on oświadczył, że może poczekać.

— A gdzie jest teraz?

— Poszedł do sali telewizyjnej i usiadł w fotelu. Przypuszczam, że zasnął.

— Chodźmy go zobaczyć — powiedziałem, podnosząc się z krzesła.

Domyślałem się, kto to był. Nikt inny nie zrobiłby czegoś takiego. To była jedyna osoba na świecie, dla której czas nie miał żadnego znaczenia.

Siedział, rozparty w fotelu, z głupim uśmiechem przyklejonym do twarzy. Z radiowego głośnika cichym strumieniem płynęły raporty z różnych departamentów policji, z działu patroli na autostradach, z departamentu ochrony przeciwpożarowej oraz z innych instytucji prawa i porządku. Wszystko to tworzyło podkład dla dyskretnego chrapania.

Staliśmy, patrząc na niego.

— Kto to jest, panie Graves? — zapytał Lightning. — Zna go pan?

— To jest Carleton Stirling — powiedziałem. — Jest biologiem na uniwersytecie, to jeden z moich przyjaciół.

— Dla mnie to on nie wygląda na biologa — rzekł twardo Lightning.

— Lightning — próbowałem odpowiedzieć na jego sceptycyzm —z czasem przekonasz się, że biolodzy, astronomowie, fizycy i cała reszta tej bandy bezbożnych naukowców to są ludzie tacy sami jak my.

— Ale nie przychodzi się do redakcji o trzeciej nad ranem, oczekując, że pan tam będzie.

— On żyje w taki sposób — rzekłem. — Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że inni mogą żyć inaczej. Po prostu taki jest.

To była prawda, właśnie takim człowiekiem był Stirling.

Miał zegarek, ale używał go tylko wtedy, kiedy zdarzyło mu się robić jakieś testy czy eksperymenty. Chyba nigdy nie wiedział naprawdę, która jest godzina. Jadł cokolwiek. Kiedy nie mógł przewyciężyć senności, szukał jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie, skulony, mógł się trochę przespać.

Gdy kończył rozpoczętą pracę, zniechęcał się do niej i wyjeżdżał na północ, do swojej chaty nad jeziorem, gdzie beczynnie spędzał dzień, czasem tydzień.

Tak notorycznie zapominał przychodzić na zajęcia, tak rzadko pojawiał się na zaplanowanych wykładach, że w końcu władze administracyjne uniwersytetu nie wytrzymały. Przestano udawać, że nadal jest wykładowcą. Pozwolono mu zatrzymać laboratorium wraz z całą aparaturą, klatki ze świnkami morskimi i szczurami. W zamian władze otrzymały zapłatę. Stirling bez przerwy ogłaszał coś nowego, co przynosiło popularność nie tylko jemu, ale i uniwersytetowi. Niedbało to, kto stanie się właścicielem jego odkryć, równie dobrze mógł to być uniwersytet. Podobnie jak nie obchodziło go, czy odkrycie zostanie ogłoszone do wiadomości publicznej, opisane i opublikowane, czy też nie. Dla niego ważne były jedynie eksperymenty, bezustanne zgłębianie tajemnic, które odbierał jako wyzwanie dla siebie. Miał mieszkanie, ale zdarzało się, że nie zaglądał do niego przez wiele dni. Upychał czekki w szufladach —było ich całe mnóstwo — dopóki nie dzwonił ktoś z uniwersytetu, z rachunkowości, domagając się natychmiastowego odszukania któregoś z nich. Kiedyś przyznano mu nagrodę — nie jakąś

wielką i imponującą, choć i tak dość prestiżową i korzystną materialnie —lecz zapomniał przybyć na kolację, podczas której miał tę nagrodę odebrać.

I oto był tu, na fotelu, z głową odchyloną do tyłu na oparciu, z długimi nogami wyciągniętymi aż pod konsolę radiową. Cichutko chrapał i wyglądał nie jak jeden z najbardziej obiecujących naukowców na świecie, ale jak włóczęga, który przywędrował w poszukiwaniu miejsca do spania. Powinien się ogolić i obciąć włosy. Nierówno zawiązany krawat zsunął mu się na jedną stronę, ponadto był poplamiony, najprawdopodobniej zupą, którą Stirling odgrzewał, a potem jadł nieuważnie, ciągle myśląc o aktualnie zajmującym go problemie.

Położyłem mu rękę na ramieniu i lekko potrząsnąłem.

Obudził się od razu, bynajmniej nie zaskoczony, i uśmiechnął się do mnie.

— Cześć, Parker — powiedział.

— Witaj — odparłem. — Pozwoliłbym ci dokończyć tę drzemkę, ale bałem się, że złamiesz sobie kark w takiej pozycji.

Stirling przeciągnął się, wstał i poszedł za mną do czytelnicy.

— Już prawie rano — powiedział, wyglądając przez okno. — Czas wstawać.

Spojrzałem na okna zmieniające barwę z czerni na szarość. Stirling przeczesał włosy palcami, wytarł twarz otwartymi dłońmi. Potem pogrzebał w kieszeni i wyciągnął garść zmiętych banknotów. Wybrał dwa i podał mi.

— Proszę — powiedział. — Właśnie sobie przypomniałem i wolę zrobić to teraz, zanim znów zapomnę.

— Ależ Carl...

Niecierpliwie potrząsnął banknotami, wciskając mi je.

— To było parę lat temu — wyjaśnił. — W czasie weekendu nad jeziorem. Grałem w automaty i zabrakło mi forsy.

Wziąłem pieniądze i włożyłem do kieszeni. Niejasno przypominałem sobie tamten dzień.

— To znaczy, że wpadłeś tu tylko po to, żeby mi je zwrócić?

— Oczywiście. Przejeżdżałem tędy, zobaczyłem miejsce do zaparkowania wozu i pomyślałem sobie, że wpadnę do ciebie.

— Ale ja nie pracuję w nocy.

— Nie szkodzi, Parker — uśmiechnął się. — Przespałem się trochę.

— Zapraszam cię na śniadanie. Po drugiej stronie ulicy jest knajpa, mają tam dobrą szynkę i jajka.

— Muszę wracać. — Potrząsnął przecząco głową. — Straciłem już mnóstwo czasu, a mam pilną robotę.

— Coś nowego? — zainteresowałem się.

Zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

— Nic do publikacji; na razie nie. Może później, ale nie teraz. Muszę jeszcze nad tym popracować.

Czekałem, patrząc na niego.

— Ekologia — dodał, jakby to miało wyjaśnić wszystko.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Parker, chyba wiesz, co to jest ekologia.

— No jasne. Związek organizmów żywych z warunkami naturalnymi środowiska.

— Czy przysłoby ci kiedykolwiek do głowy, że jakaś żywa forma mogłaby stać się niezależna od warunków środowiskowych? — zapytał. Powiedzmy, taka istota nieekologiczna.

To niemożliwe — powiedziałem. — Potrzebna jest żywność, tlen...

— To tylko taki pomysł, zagadka, jeśli wolisz. Tajemnica zdolności przystosowawczych. Prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie.

— Pozwól, że mimo to będę pytał cię od czasu do czasu o postępy.

— Oczywiście. Następnym razem, kiedy wpadniesz do mnie, przypomnij o karabinie, który mi pożyczyłeś przed wyjazdem nad jezioro.

Pożyczył go ode mnie z miesiąc temu, bo chciał postrzelać sobie do celu. Nikt przy zdrowych zmysłach, to znaczy nikt oprócz Carletona Stirlinga, nie chciałby strzelać do celu, używając kalibru 303.

— Wystrzelałem pudełko twoich naboji — powiedział. — Odkupiłem ci je.

— Niepotrzebnie.

— Hej, do diabła, miałem niezłą zabawę.

Nie żegnając się ze mną, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszałem odgłos jego kroków na schodach.

— Panie Parker — rzekł Lightning — ten facet to prawdziwy dziwak.

Nie odpowiedziałem, wróciłem do biurka i spróbowałem zabrać się do roboty.

4.

Wszedł Gavin Walker i wyciągnął notes z przydziałem zadań dla pracowników, zajrzał do niego i wydał pomruk niezadowolenia.

— Znowu brak ludzi — zwrócił się do mnie z rozgoryczeniem. — Charlie dzwonił, że jest chory. Jestem pewien, że to kac. Al zajęty rozprawą Melburna w sądzie okręgowym. Bert usiłuje zakończyć ten swój cykl o postępach w budowie nowej autostrady. Najwyższy czas, choćby ze względu na forszę, zresztą i tak już przekroczył termin.

Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Kapelusz rzucił na kosz z kopiami tekstów. Stał w blasku świateł, wojowniczo podwijając rękawy.

— Na Boga — ciągnął — któregoś dnia w domu towarowym Franklinów wybuchnie pożar, milion kupujących zamieni się w krzyczący, ogarnięty paniką tłum...

— A ty nie będziesz miał nikogo, kto by tam pojechał.

— Parker, dokładnie tak będzie — powiedział, mrugając jak sowa.

Tę słynną przepowiednię wygłaszał w momentach wielkiego stresu. Wszyscy znaleźmy ją na pamięć.

Dom towarowy Franklinów był największy w naszym mieście, poza tym płacili nam za reklamę najwięcej ze wszystkich naszych klientów.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Już świtało. Miasto wyglądało ponuro i mroźnie; nie jak żywa istota, ale jak złowroga kraina tuż przed nadejściem zimy. Ulicą przejechało kilka samochodów. Zauważyłem też jednego czy dwóch przechodniów. W mieszkaniach w śródmieściu zapalały się pierwsze poranne światła.

— Parker... — odezwał się do mnie Gavin.

Odwróciłem się.

— Dobra, słuchaj — zacząłem — wiem, że nie masz ludzi, aleja mam swoją robotę. Muszę napisać jeszcze mnóstwo kolumn, dlatego przyszedłem tak wcześnie.

— Właśnie widzę, jak ciężko nad nimi pracujesz — zauważył złośliwie.

— Do diabła, muszę się rozbudzić.

Wróciłem do biurka i próbowałem zabrać się do pracy. Do pokoju wszedł dosłownie z pianą na ustach redaktor działu ilustracji Lee Hawkins. W laboratorium kolorów zepsuli mu zdjęcie na pierwszej stronie. Kipiąc pogroźkami, Lee udał się na dół, by je poprawiono.

Zjawiali się kolejni pracownicy redakcji, wnosząc odrobinę ciepła i życia. Redaktorzy zaczęli krzykiem nakłaniać Lightninga do przyniesienia porannej kawy z kawiarni naprzeciwko. Pomimo energicznych protestów, Lightning musiał się w końcu zgodzić.

Teraz z łatwością zabrałem się do pisania; myśli układały się w głowie jasno i logicznie, słowa same spływały na papier. Wytworzyła się specyficzna atmosfera, nastrój potrzebny do pisania, przychodzący wraz z wrzawą i bieganiną w pokoju redakcyjnym.

Skończyłem jedną kolumnę i właśnie miałem zabrać się do następnej, kiedy ktoś przystanął koło mojego biurka.

Uniosłem wzrok i zobaczyłem Dowa Crane'a z działu ekonomicznego. Lubiłem Dowa, nie był takim naiwnym głupcem jak Jensen. Nikomu się nie przypochlebiał, opisywał rzeczywistość bez wygładzania jej.

Miał posępną minę. Powiedziałem mu o tym.

— Jestem w kłopotliwej sytuacji, Parker. — Wyjął paczkę papierosów i poczęstował mnie. Częstował mnie zawsze, choć wiedział, że nie palę. Machnąłem przecząco ręką, on zapalił. — Czy mógłbyś coś dla mnie zrobić?

Odpowiedziałem, że tak.

— Wczoraj wieczorem zadzwonił do mnie do domu jakiś mężczyzna; przyjdzie tu dzisiaj do redakcji. Mówi, że nie może znaleźć domu.

— O jaki dom mu chodzi?

— Dom, w którym mógłby zamieszkać. Zgodziłby się prawie na każdy. Swój poprzedni dom sprzedał przed trzema czy czterema miesiącami, a teraz nie może znaleźć żadnego innego.

— Cóż, to rzeczywiście pech — powiedziałem obojętnie. — A jak możemy mu pomóc?

— Mówi, że w takiej sytuacji jak on jest mnóstwo ludzi. Twierdzi, że w całym mieście nie znajdzie się ani jednego domu, czy choćby mieszkania, do wynajęcia.

— Dow, ten facet oszalał.

— Raczej nie. Przeglądałeś ogłoszenia dotyczące mieszkań?
Pokręciłem głową.

— Nie było takiej potrzeby — wyjaśniłem.

— Cóż, a ja tak, dzisiaj rano. Kolumna za kolumną ogłoszenia, że potrzebne mieszkanie — jakiegokolwiek miejsce do zamieszkania. Niektóre z ogłoszeń brzmią rozpaczliwie.

— Dzisiejszy artykuł Jensena...

— Masz na myśli ten kawałek o ożywieniu na rynku mieszkaniowym?

— Tak — odpowiedziałem. — Notka w gazecie i to, co ty mi teraz mówisz, to się nie składa w żadną całość.

— Może nie, jestem pewien, że nie. Dobrze, słuchaj, muszę jechać na lotnisko na spotkanie z jedną ważną figurą, właśnie teraz przylatuje. Tylko w ten sposób zrobię wywiad do porannego wydania gazety. Jeśli przyjdzie facet w sprawie domu, a mnie jeszcze nie będzie, czy mógłbyś z nim porozmawiać?

— Oczywiście — zgodziłem się.

— Dzięki — powiedział Dow i odszedł.

Zjawił się Lightning, niosąc zamówione kawy w zmaltretowanym i poplamionym papierowym pudle po aparacie fotograficznym, które trzymał zwykle pod stołem z fotografiami. Od razu rozpętało się piekło.

Jedna kawa była ze śmietanką i nikt jej nie chciał. Trzy kawy były posłodzone, a tylko dwie osoby piły kawę z cukrem.

Odwróciłem się do maszyny i zabrałem się do pracy. Redakcyjne życie biegło swoim torem.

Po tradycyjnej kłótni redaktorów z Lightningiem wiadomo już było, że redakcja weszła w codzienną rutynę i ludzie pracują na najwyższych obrotach.

Po pewnym czasie poczułem czyjąś rękę na ramieniu.

Podniosłem głowę i zobaczyłem Gavina.

— Park, bracie — powiedział.

— Nie — odpowiedziałem z uporem.

— Jesteś tu jedynym człowiekiem, który sobie z tym poradzi. Chodzi o dom Franklinów.

— Nie mów mi, że wybuchł pożar, a w środku jest milion klientów...

— Nie, nie to. Właśnie dzwonił Bruce Montgomery, zwołuje konferencję prasową na dziewiątą.

Bruce Montgomery był prezesem domu handlowego Franklinów.

— To leży w gestii Dowa i działu ekonomicznego.

— Dow właśnie pojechał na lotnisko.

Zrezygnowałem. Nie miałem już nic do dodania. Facet był bliski płaczu. Nienawidzę redaktorów, którzy płaczą.

— No dobra — zgodziłem się. — Będę tam. O czym mają mówić?

— Nie wiem. Zapytałem Bruce'a, ale nie chciał zdradzić tajemnicy. Zdaje się, że to coś ważnego. Ostatnim razem zwołali konferencję prasową piętnaście lat temu, kiedy oświadczyli, że Bruce przejmuje prezesurę. Wtedy po raz pierwszy ktoś z zewnątrz zajął najwyższe stanowisko w firmie. Przedtem zajmowali je tylko członkowie rodziny.

— OK — powiedziałem. — Zajmę się tym.

Gavin odwrócił się i odszedł do swojego biurka redaktora działu miejskiego.

Zawołałem gońca, a kiedy wreszcie przyszedł, wysłałem go do biblioteki po wszystkie wycinki dotyczące Franklinów zebrane przez

ostatnie piętnaście lat.

Wyjmowałem kolejne pospinane kartki z kopert i przeglądałem je. Wiedziałem prawie o wszystkim, co tam znalazłem. Zresztą nie było to nic ważnego: informacje o pokazach mody, wystawach sztuki w domu Franklinów, o pracownikach domu biorących udział w wielu akcjach społecznych.

Dom handlowy Franklinów był bardzo starą instytucją z tradycjami, przed rokiem obchodził setną rocznicę istnienia. Miasto od zarania swych dziejów doskonale znało tę nazwę. Od początku było to rodzinne przedsięwzięcie, gdzie kultywowano tradycje, co jest możliwe tylko w tego rodzaju instytucjach. Kolejne pokolenia mieszkańców wzrastały z Franklinami, robiąc u nich zakupy niemal od kołyski aż do grobu. Wszelkie transakcje firmy prowadzono z uczciwością i na najwyższym poziomie.

Obok mojego biurka przeszła Joy Kane.

— Witaj, ślicznotko — powiedziałem. — Co masz dzisiaj na warsztacie?

— Skunksy — odpowiedziała.

— Norki byłyby bardziej w twoim stylu.

Zatrzymała się i stanęła przy mnie. Poczułem delikatny zapach perfum, więcej — miałem świadomość jej piękna.

Wyciągnęła szybko rękę i impulsywnym ruchem rozwichrzyła mi włosy, by już po chwili znowu zachowywać się poprawnie.

— Oswojone skunksy — dodała. — Skunksy—ulubieńcy — to taki ostatni krzyk mody, oczywiście po usunięciu zapachu.

— Naturalnie — zgodziłem się, myśląc jednocześnie, że to dosyć sprytne.

— Byłam zła na Gavina, że wysłał mnie na poszukiwanie ich.

— Do lasu?

— Nie, na farmę hodowlaną.

— To znaczy, że hodują je jak świnię czy kury?

— Oczywiście. Właściciel twierdzi, że są szalenie szykowne, czyste, można je przytulić i jest z nimi sporo zabawy. Dostał na nie sterty zamówień ze sklepów zoologicznych z Nowego Jorku, Chicago i innych miast.

— Przypuszczam, że masz trochę zdjęć.

— Ben pojechał ze mną i zrobił całe mnóstwo.

— Skąd ten facet bierze skunksy?

— Mówiłam ci, że je hoduje.

— Ale od czego zaczyna? O to mi chodzi.

— Ma na farmie traperów. Za każdego złapanego skunksa dobrze płaci, w ten sposób interes się rozwija. Do hodowli potrzebne są dzikie zwierzęta. Skupuje wszystkie, jakie mu przynoszą.

— To mi przypomina, że dzisiaj dzień wypłaty — zmieniłem temat.
— Chyba mi pomożesz wydać pieniądze?

— Oczywiście — odpowiedziała. — Nie pamiętasz, że już mnie o to prosiłeś?

— Na Pinecrest Drive otwierają nową knajpkę.

— To brzmi nieźle.

— O siódmej?

— Ani minuty później. Szybko robię się głodna.

Wróciła do swego biurka, a ja zabrałem się ponownie do przeglądania wycinków. Nie znalazłem w nich nic ciekawego, więc je pospinałem i powkładałem do kopert.

Siedziałem, rozmyślając o skunksach, hydrofobii i innych ekscentrycznych pomysłach niektórych ludzi.

5.

Mężczyzna siedzący przy stole obok Bruce'a Montgomery'ego był łysy — agresywnie łysy, jakby szczycił się swą łysiną. Tak kompletnie łysy, że zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek miał włosy. Po jego głowie spacerowała mucha, na którą nie zwracał najmniejszej uwagi. Na sam widok muchy, łążącej tak żwawo i beztrosko po różowej nagiej głowie, poczułem odrazę. Mucha nie przerywała swego dumnego marszu, a ja niemal czułem ciągłe, doprowadzające do szaleństwa łaskotanie.

Mężczyzna siedział obojętnie; nie patrzył na nas, tylko na tylną ścianę sali konferencyjnej, jakby dostrzegł tam coś fascynującego. Wyglądało na to, że nasza obecność wcale go nie interesuje. Nie poruszył się ani razu, był bezosobowy i jakiś zimny. Gdyby ktoś nie zauważył, że ten facet oddycha, byłby z pewnością przekonany, że Bruce przyniósł jeden z manekinów wystawowych i posadził go przy stole.

Mucha spacerująca po łysej kopule zniknęła za świecą czaszka. Po sali kręcili się chłopcy z telewizji, ustawiając sprzęt. Bruce spoglądał na nich z rosnącym zniecierpliwieniem.

Sala była prawie zapełniona, przybyli ludzie z radia i z telewizji, reporterzy z AP i UPI, obecny był nawet korespondent z *Wall Street Journal*.

Bruce popatrzył na krzątających się facetów z telewizji.

— Czy już wszyscy znaleźli miejsca? — zapytał.

— Jeszcze chwilę, Bruce — odezwał się ktoś z kamerzystów.

Czekaliśmy więc, aż kamery zostaną ustawione, kable podłączone, a technicy zajmą miejsca. Z facetami z telewizji zawsze tak jest. Chcą być wszędzie i podnoszą krzyk, jeśli się ich nie wpuści, ale kiedy już wejdą,

robią niewiarygodne zamieszanie. Potrafią zrobić tłok w każdej sali i wszyscy muszą czekać na nich, tracąc czas.

Zacząłem, sam nie wiem dlaczego, myśleć o Joy, o wszystkich miłych chwilach, które spędziliśmy razem. Robiliśmy wspólnie pikniki, wyjeżdżaliśmy na ryby. To była najwspanialsza dziewczyna, jaką znałem. Była dobrą dziennikarką, pozostając nadal kobietą, co nie zawsze szło w parze. Zbyt wiele dziennikarek myśli, że ze względu na tradycję tego zawodu powinny być twarde i szorstkie, co, oczywiście, jest totalną bzdurą. Dziennikarki nigdy nie są takie twarde i nieprzyjemne, jak próbowano to pokazywać w niektórych filmach. Myślę, że to pracowite kobiety, specjalistki, które starają się, jak mogą.

Mucha wylazła zza linii horyzontu błyszczącej czaszki, stanęła na moment, przechyliła się do przodu i potarła skrzydła tylnymi odnóżami nóg. Postąpiła jeszcze chwilę dla zbadania sytuacji, by ponownie wycofać się za linię horyzontu.

Bruce postukał ołówkiem w stół.

— Szanowni państwo... — zaczął.

W sali zrobiło się tak cicho, że słyszałem oddech siedzącego obok mnie mężczyzny. W tym momencie ponownie odczułem całe dostojeństwo, które napełniało ten pokój; bogactwo grubego dywanu, wykładanych boazerią ścian, ciężkich draperii i dwu obrazów wiszących na frontowej ścianie za stołem.

Pomyślałem, że to tylko próbka wartości, którą reprezentowała sobą rodzina Franklinów z ich domem towarowym i pozycją, jaką zajmowali w naszym mieście. To właśnie im przypisywano godność, solidność cnót, ducha obywatelskiego i wysoką kulturę.

— Szanowni państwo — powtórzył Bruce — zbyt długi wstęp jest tutaj zbyteczny. Stało się coś, o czym jeszcze przed miesiącem powiedziałbym, że to nie mogłoby się nigdy wydarzyć. Poinformuję o tym, po czym będziecie mogli państwo zadawać pytania...

Przerwał, jakby szukał odpowiednich słów. Twarz miał bladą i ponurą. Po chwili wolno i zwięźle powiedział:

— Dom handlowy Franklinów został sprzedany.

Wszyscy przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu; nie zaskoczeni czy oszołomieni, ale po prostu nie wierząc w to, co usłyszeliśmy. Ze wszystkich domysłów, jakie ktokolwiek z nas mógłby wysnuć, ten był ostatnim z możliwych. Franklinowie i ich dom towarowy należeli do tradycji naszego miasta, istnieli prawie tak długo jak ono samo. Sprzedać dom handlowy Franklinów to tak, jakby sprzedać sąd czy kościół.

Twarz Bruce'a była bez wyrazu. Zastanawiałem się, jak te słowa mogły mu przejść przez gardło. Bruce Montgomery, prezes firmy, był częścią domu handlowego w nie mniejszym stopniu niż rodzina Franklinów. W ostatnich latach, być może, firma była mu nawet bliższa — zarządzał nią i troszczył się o nią dłużej, niż mogliśmy to pamiętać.

Popłynęła lawina pytań zadawanych jednocześnie.

Bruce uciszył nas gestem.

— Nie do mnie — powiedział. — Pan Bennett odpowie na wszystkie pytania.

Łysy mężczyzna po raz pierwszy zauważył nas. Opuścił wzrok z jakiegoś punktu na tylnej ścianie i skinął głową w naszą stronę.

— Pojedynczo, proszę, jeśli łaska — odezwał się.

— Panie Bennett — zaczął ktoś z tyłu sali — czy to pan jest nowym właścicielem?

— Nie, jestem tylko przedstawicielem.

— Kto w takim razie jest właścicielem?

— Tego nie mogę wyjawić.

— To znaczy, że pan nie wie, kto jest właścicielem, czy też... ?

— To znaczy, że to musi pozostać tajemnicą.

— Czy mógłby pan podać warunki transakcji?

— Ma pan na myśli, ile zapłacono za dom handlowy?

— Tak, dokładnie...

— Tego także nie mogę zdradzić — odparł Bennett.

— Bruce — odezwał się ktoś z wyraźnym rozgoryczeniem.

Montgomery pokręcił głową.

— Proszę, panie Bennett — powiedział. — Pan Bennett odpowie na wszystkie pytania.

— Czy może nam pan powiedzieć — odezwałem się — jaki kierunek rozwoju nada firmie nowy właściciel? Czy będzie to kontynuacja dotychczasowej działalności? Czy nie zmienią się warunki w kwestiach takich, jak jakość usług, kredyty, obywatelskie...

— Dom towarowy zostanie zamknięty — oznajmił bezbarwnym głosem Bennett.

— Rozumiem, że w celu reorganizacji...

— Młody człowieku — przerwał mi Bennett, wymawiając z naciskiem każde słowo — ja wcale tego nie powiedziałem. Dom zostanie zamknięty i nie ma szans na jego ponowne otwarcie. Nie będzie domu towarowego Franklinów, już nigdy więcej.

Spojrzałem na Bruce'a Montgomery'ego. Do końca życia nie zapomnę wyrazu jego twarzy, na której malowały się jednocześnie wstrząs, zaskoczenie i ból.

6.

Kończyłem ostatnią kolumnę relacji z konferencji. Gavin wisiał mi nad głową, czułem na karku jego oddech. Od strony stołu zecerskiego dochodziły krzyki, że już dawno minął czas oddania tekstu. Wtem zadzwoniła sekretarka wydawcy.

— Pan Maynard chciałby z panem mówić — oznajmiła. — Proszę przyjść jak najszybciej, jeśli to możliwe.

— Zaraz tam będę — odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę.

Skończyłem ostatni akapit i szybko wyjąłem kartkę z maszyny do pisania. Gavin chwycił ją i pośpieszył do stołu zecerskiego. Za chwilę wrócił do mnie i wskazał na telefon.

— Stary dzwonił? — zapytał.

Potwierdziłem.

— Przypuszczam, że chce wypytać mnie o wszystko osobiście, z pozycji najwyższej instancji.

Taki właśnie był szef, co wcale nie znaczyło, że nam nie ufał. Nie posądzał nas o pomyłki, o ukrywanie czy przekręcanie faktów. Myślę, że jego dusza dziennikarza domagała się usilnie najdrobniejszych szczegółów, dlatego rozmawiając z nami, miał nadzieję dostrzec inny aspekt problemu, który mógł ująć naszej uwagi, i w szaleńczym poszukiwaniu prawdy ujrzeć suche fakty w innym świetle.

— To straszny cios — zauważył Gavin. — Właśnie podpisaliśmy z nimi duży kontrakt. Chłopak z działu ogłoszeń, który sygnował rachunek, pewnie podrzyna sobie gardło w jakimś ciemnym kącie.

— To cios nie tylko dla nas, ale dla całego miasta — dodałem.

Dom towarowy Franklinów był nie tylko centrum handlowym naszego miasta, ale też nieoficjalnym centrum życia towarzyskiego. Starsze damy w nienagannie skrojonych kostiumach, z pedantycznie

ułożonymi fryzurami spotykały się regularnie na cichych uroczystościach w kawiarni na siódmym piętrze. Panie domu robiące u Franklinów zakupy nieodmiennie spotykały tam stare przyjaciółki, które przychodziły w tym samym celu, i naprędce odbywały z nimi pogawędki, tarasując przy tym przejście. Mnóstwo ludzi umawiało się na spotkania u Franklinów. Tutaj organizowano pokazy sztuki, atrakcyjne wykłady i inne imprezy typowe dla wysublimowanej części kultury amerykańskiej. Dom Franklinów był dla ludzi wszystkich klas i stylów życia instytucją wielofunkcyjną: domem towarowym, miejscem spotkań, klubem.

Wstałem od biurka i poszedłem korytarzem do gabinetu szefa. Stary nazywał się William Woodruff Maynard i wcale nie był złym facetem. Przynajmniej nie tak złym, jak można by sądzić po nazwisku.

W gabinecie zastałem Charlie'ego Gundersona. Obydwaj wyglądali na zakłopotanych. Stary poczęstował mnie cygarem z dużej cygarniczki stojącej na rogu biurka, ale odmówiłem. Usiadłem na fotelu obok Charlie'ego, naprzeciwko szefa, który siedział za biurkiem.

— Dzwoniłem do Bruce'a — zaczął stary — ale odpowiadał dyplomatycznie, powiedziałbym nawet — wymijająco. Nie chciał ze mną rozmawiać.

— Zdziwiłbym się, gdyby chciał — rzekłem. — Myślę, że dla niego to był równie wielki szok, jak dla nas wszystkich.

— Nie rozumiem cię, Parker. Dlaczego miałby to być szok dla niego? To przecież on sfinalizował całą transakcję.

— Aleja mówię o zamknięciu domu — wyjaśniłem. — Przypuszczam, że nowy właściciel zamierza to zrobić. Myślę, że gdyby Bruce o tym wiedział, sprzedaż nie doszłaby do skutku.

— Jakie masz podstawy dla takich przypuszczeń, Parker?

— Wystarczyło jedno spojrzenie na Bruce'a, kiedy Bennett ogłosił tę rewelację — tłumaczyłem im. — Bruce był zaskoczony, zaszokowany i rozgniewany, może na dodatek źle się poczuł — zupełnie jak człowiek, którego cztery króle zostały pobite czterema asami.

— Nic nie powiedział?

— A co miał mówić w takiej sytuacji? Dobili targu i dom został sprzedany. Pewnie nigdy nie przyszło mu do głowy, że można kupić kwitnący interes, by go potem zwyczajnie zamknąć.

— Nie — rzekł stary po namyśle — to naprawdę nie ma sensu.

— Być może jest to zwyczajny chwyt pod publiczność — wtrącił Charlie Gunderson. — Taki mały pokaz dla całego miasta. Musicie przyznać, że jeszcze nigdy nie było o Franklinach tak głośno jak teraz.

— Franklinowie nie szukaliby taniej popularności — zauważył oziębłe stary. — Nigdy jej nie potrzebowali.

— Za dzień, dwa rozgłoszą wszem i wobec, że ich dom jest ponownie otwarty — upierał się Charlie. — Nowe kierownictwo firmy wyjaśni, że uległo presji społecznej, by nie likwidować domu handlowego Franklinów.

— Myślę, że tak się nie stanie — powiedziałem, uświadamiając sobie jednocześnie, że powinienem siedzieć cicho.

Nie miałem nic więcej do dodania, to było tylko przeczucie. Cały ten interes śmierdział i był czymś więcej niż tylko chwytem reklamowym wymyślonym w wolnej chwili przez jakiegoś specjalistę. Jednak ani szef, ani Charlie nie zapytali mnie, dlaczego tak myślę.

— Parker — odezwał się stary — nie masz żadnych podejrzeń, kto się kryje za tą sprawą?

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Bennett nic nie powiedział — rzekłem. — Dom handlowy został kupiony — budynek, zapasy towarów, dobre imię firmy, wszystko — przez jedną czy kilka osób, które Bennett reprezentował, i ma być zamknięty. Bennett nie podał przyczyn, nie miał planów innego zagospodarowania budynku.

— Wyobrażam sobie, że musieliście wypytywać go raczej szczegółowo.

Potwierdziłem ruchem głowy.

— Nic nie chciał powiedzieć?

— Ani słowa.

— Dziwne — skonstatował stary. — To doprawdy diabelnie dziwne.

— A ten Bennett? — zapytał Charlie. — Co o nim wiesz?

— Nic. Przedstawił się jedynie jako agent nowego właściciela. Odmówił udzielenia bliższych informacji.

— Oczywiście próbowałeś — odezwał się stary.

— Nie ja, musiałem napisać o tym wszystkim do następnego wydania i zostało mi tylko dwadzieścia minut. Gavin zmobilizował paru ludzi i sprawdzają w rejestrach hotelowych.

— Założę się o dwadzieścia dolarów, że nie znajdą śladu tego Bennetta — powiedział stary.

Przypuszczam, że wyglądałem na zaskoczonego.

— Zabawna historia — ciągnął szef — od początku do końca. Trudno utrzymać w tajemnicy interes na taką skalę jak ten. Mimo to nie było żadnych plotek, żadnego przecieku, zupełnie nic.

— Gdyby rozeszła się jakaś plotka, Dow z pewnością wiedział by o tym — zauważyłem. — Wtedy nie jechałby na lotnisko, tylko zajął się tą sprawą...

— Całkowicie się z tobą zgadzam — poparł mnie stary. — Dow wie prawie o wszystkim, co dzieje się w śródmieściu.

— Czy zauważyłeś u tego Bennetta coś, co mogłoby naprowadzić na ślad, dać jakąś wskazówkę? — spytał Charlie.

Pokręciłem głową. Wszystko, co pamiętałem, to to, że miał kompletnie łysą głowę, po której spacerowała mucha, a on nie zwracał na nią uwagi.

— Cóż, dziękuję ci, Parker. — Stary uznał temat za wyczerpany. — Przypuszczam, że jak zwykle zrobiłeś dobrą robotę. Kiedy mam w redakcji takich ludzi jak ty, Dow czy Gavin, o nic nie muszę się martwić.

Wyszedłem, zanim spróbowałby w chwili słabości podnieść moje zarobki. To byłoby nie do zniesienia.

Wróciłem do pokoju redakcyjnego.

Właśnie przyniesiono gazety z drukarni. Na pierwszej stronie znajdowało się zdjęcie Joy ze skunksem — wyglądało na to, że była nim oczarowana — a poniżej zamieszczono jej artykuł. Któryś z żartownisiów ze składu zaopatrzył go w typowy dla nich soczysty nagłówek. Podszedłem do biurka redaktora działu miejskiego, gdzie siedział Gavin.

— Są jakieś sukcesy w polowaniu na Bennetta? — zapytałem.

— Nie mamy za grosz szczęścia — odparł Gavin gniewnie. — Myślę, że nigdy nie było tego faceta. Ty go wymyśliłeś.

— Może Bruce...

— Dzwoniłem do Bruce'a. On wywnioskował, że Bennett musiał mieszkać w którymś z hoteli. Rozmawiali wyłącznie o interesach, tamten ani razu nie wspomniał o sprawach osobistych.

— Sprawdziłeś w hotelach?

— Nie było go w żadnym z hoteli. Od trzech tygodni w żadnym z hoteli nie mieszkał człowiek o nazwisku Bennett. Teraz szukamy w motelach, ale mówię ci, Parker, to strata czasu. Po prostu nie ma takiego człowieka.

— Może był zameldowany pod innym nazwiskiem. Powinniście pytać o łysego mężczyznę...

— A to dobre — rzekł Gavin. — Wiesz, ilu łysych facetów melduje się codziennie w hotelach?

Gavin wręcz trząśł się ze złości. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Zostawiłem go i ruszyłem w stronę biurka Dowa. Zobaczyłem, że go jeszcze nie ma, więc zatrzymałem się przy swoim stole.

Wziąłem leżącą na biurku gazetę, usiadłem i zacząłem czytać swój artykuł. Byłem na siebie wściekły z powodu kilku akapitów napisanych zagmatwanym i chropawym językiem. Zawsze tak jest, kiedy tworzy się pod presją. Oczywiście, każdy chce jak najlepiej, ale tekst wygładza się dopiero do następnego wydania.

Wziąłem maszynę do pisania i przepisałem gorsze fragmenty, poprawiając je. Wyciąłem artykuł z gazety i przykleiłem go na dwu

arkuszach papieru maszynowego. Wykreśliłem dwa kompromitujące akapity i zaznaczyłem, że zostały skorygowane. Ponownie przeczytałem tekst, wychwyciłem kilka potknięć językowych i naniósłem odpowiednie poprawki.

Pomyślałem, że cudem zdołałem napisać tę rzecz, skoro zecer bez przerwy nękał mnie krzykami, że już powinienem oddać tekst do składania, a Gavin stał przy mnie, Przeszczepując z nogi na nogę i odczytując każdą linijkę przerywanym z emocji głosem.

Z poznaczoną kopią oraz wstawkami poszedłem do biurka redaktora działu miejskiego i wrzuciłem to do koszyka. Wróciłem na swoje miejsce, wziąłem pocięty egzemplarz gazety i przeczytałem uspokajający tekst Joy. Szukałem też sprawozdania Dowa z pobytu na lotnisku, ale nic nie znalazłem. Dowa też nie było nigdzie w pobliżu.

Rzuciłem gazetę na biurko i siedziałem beczynn timer. Usiłowałem przypomnieć sobie wydarzenia podczas dzisiejszej porannej konferencji prasowej u Franklinów. Okazało się, że zapamiętałem tylko obraz muchy łążącej po łysej czaszce.

Wtedy nagle przypomniałem sobie coś jeszcze.

Gunderson zapytał mnie, czy zauważyłem u Bennetta jakiś szczegół mogący dać nam wskazówkę, a ja odpowiedziałem, że nie.

Myliłem się. Było coś niezwykłego — niewyraźna, lecz diabelnie osobliwa wskazówka. Wiedziałem już, że był to zapach. Kiedy poczułem go po raz pierwszy, pomyślałem, że to na pewno płyn po goleniu, z jakim nigdy przedtem się nie zetknąłem i jakiego nie zniósłby żaden człowiek. Nie dlatego, że był on zbyt mocny i odurzający — Bennett pachniał nim subtelnie — ale dlatego że nie kojarzył się z człowiekiem.

Próbowałem określić ten zapach, znaleźć coś podobnego. Okazało się to jednak niemożliwe, bo za nic na świecie nie mogłem sobie przypomnieć, jak to dokładnie pachniało. Ale byłem zupełnie pewien, że gdybym tylko się z tym zapachem zetknął, od razu bym go rozpoznał.

Wstałem i poszedłem do biurka Joy. Kiedy stanąłem przy niej, przestała pisać i uniosła głowę. Oczy miała jasne i błyszczące, jakby

próbowała powstrzymać się od płaczu.

— O co chodzi? — spytałem.

— Parker — powiedziała — ci biedni ludzie! Serce się kraje.

— Jacy biedni... — zacząłem, przeczuwając, co jej się stało. — Dlaczego powierzono to tobie? — zapytałem.

— Oni przyszli i pytali o Dowa, ale go nie było — tłumaczyła. — Wszyscy inni byli zajęci, więc Gavin przyprowadził ich do mnie.

— Ja miałem się tym zająć — powiedziałem. — Dow mnie prosił i obiecałem, że się tym zajmę, ale pojawiła się sprawa domu Franklinów i całkiem o tym zapomniałem. To miał być jeden człowiek, a ty mówisz „oni”...

— Przyprowadził żonę i dzieci. Siedzieli tu i patrzyli na mnie uroczyście dużymi oczami. Powiedzieli, że sprzedali dom, bo był za mały dla powiększającej się rodziny, a teraz nie mogą znaleźć innego. Za dzień lub dwa muszą się wyprowadzić i zupełnie nie mają gdzie się podziać. Siedzą, opowiadają o swoich kłopotach i patrzą na ciebie z nadzieją, jakbyś był Świętym Mikołajem, dobrą wróżką czy kimś takim, a dziennikarski ołówek — czarodziejską różdżką. Jakby wierzyli, że możesz rozwiązać ich problemy i doprowadzić wszystko do ładu. Wiesz, Parker, ludzie mają o dziennikarzach śmieszne wyobrażenie, myślą, że jesteśmy magikami. Uważają, że jeśli wydrukujemy ich historię, to stanie się coś dobrego, jakbyśmy mogli pisaniem czynić cuda. A ty siedzisz, patrzysz na nich i nic nie możesz zrobić.

— Rozumiem cię — powiedziałem. — Tylko nie pozwól, żeby cię to przygnębiło. Nie bądź mięczakiem. Musisz się uodpornić na takie rzeczy.

— Parker, idź już i pozwól mi to dokończyć—powiedziała. — Gavin od dziesięciu minut krzyczy, żeby mu oddać tekst.

Wiedziałem, że nie żartuje. Chciała, żebym się wyniósł, by mogła sobie trochę po cichu popłakać.

— OK — zgodziłem się. — Do zobaczenia wieczorem.

Wróciwszy do swojego biurka, schowałem to, co napisałem wczesnym rankiem, potem wzięłem płaszcz i kapelusz i wyszedłem się napić.

7.

W knajpce u Eda było pusto. On sam stał przy barze, z łokciami opartymi na blacie, trzymając twarz w dłoniach. Usadawiłem się na stołku i położyłem przed Edem pięć dolarów.

— Daj mi szybko jednego, Ed — powiedziałem. — Muszę się za wszelką cenę napić.

— Schowaj swoje dolce — burknął Ed. — Dzisiaj ja stawiam.

Omam nie spadłem ze stołka. Jeszcze nigdy dotąd Ed nie zrobił czegoś takiego.

— Oszalałeś? — zapytałem.

— Bynajmniej — odparł Ed, sięgając po odpowiedni gatunek szkockiej. — Wypadam z interesu. Dziś stawiam drinki wszystkim starym wiernym klientom.

— Już nabiłeś sobie kabzę — powiedziałem beztrosko, wiedząc, że facet lubi żartować i dla kawału wymyśla różne rzeczy.

— Straciłem dzierżawę lokalu — wyjaśnił Ed.

— Przykro mi — próbowałem wyrazić swoje współczucie. — Ale tu w pobliżu na pewno jest sporo miejsc, które mógłbyś dostać.

Ed smutno potrząsnął głową.

— Jestem skończony — powiedział. — Nie mam dokąd pójść. Wszystko sprawdziłem i coś ci powiem, Parker: w Radzie Miejskiej robią jakieś machlojki. Ktoś dał radnym grubszą forszę; chcą zabrać mi licencję.

Napełnił szklaneczkę i przesunął ją w moją stronę. Nalał drugą sobie, czego nigdy nie robił. Nietrudno było zauważyć, że jest mu wszystko jedno.

— Dwadzieścia osiem lat — powiedział z żalem. — Tak długo tutaj byłem. To był przyzwoity lokal, zresztą chyba sam wiesz najlepiej,

Parker. Często wpadałeś tu i widziałeś, jak prowadziłem interes. Nigdy nie było ani pijackich rozrób, ani panienek. Przychodziło natomiast mnóstwo gliniarzy; wiele razy ustawiali się w kolejce i pili na koszt firmy.

Przyznałem mu rację. Wszystko, co powiedział, było świętą prawdą.

— Wiem o tym, Ed — odezwałem się. — Chryste, nie wyobrażam sobie, jak nasza banda wyda choć jeden numer gazety, kiedy zamkniesz knajpę. Chłopaki nie będą mieli dokąd pójść, żeby przepłukać gardło. Najbliższy lokal jest o co najmniej osiem domów stąd.

Nie wiem, co będę robił — powiedział Ed. — Jestem za młody, żeby iść na emeryturę, i w dodatku nie mam pieniędzy. Trzeba jakoś zarabiać na życie. Mógłbym, oczywiście, pracować u kogoś, na pewno gdzieś znajdzie się dla mnie miejsce. Przez jakiś czas musiałbym się do tego przyzwyczajać, do tej pory zawsze prowadziłem własny lokal. Nie będę ukrywał przed tobą, że nie przyszłoby mi to łatwo.

— To wielki wstyd — wtrąciłem.

— Ja i dom Franklinów — ciągnął — ustępujemy razem. Właśnie czytałem o tym w gazecie. Miasto nie będzie już takie samo bez Franklinów.

Powiedziałem mu, że i bez niego nie będzie takie samo. Nalał mi jeszcze jedną szklaneczkę, sam już nie pił.

Siedziałem, a on stał przy barze. Rozmawialiśmy dalej o zamknięciu domu handlowego Franklinów, o utracie przez Eda dzierżawy i żaden z nas nie wiedział, do czego dąży ten przeklęty świat. Ed postawił mi jeszcze parę drinków, sam też się napił, znowu wypiliśmy kilka razem, na koniec zmusiłem go do przyjęcia pieniędzy. Powiedziałem mu, że nawet jeśli kończy interes, to nie powinien tak po prostu rozdawać trunków na lewo i prawo, na co on odparł, że przez ostatnie sześć czy siedem lat zarobił na mnie wystarczająco dużo, by móc sobie teraz pozwolić na taki gest.

Zjawili się jacyś goście i Ed poszedł ich obsłużyć. Ponieważ ich nie znał albo wyglądali na niebogaty, pozwolił im zapłacić za wypity

alkohol. Wybił w kasie rachunek, wydał resztę i wrócił do mnie. Ponownie omówiliśmy sytuację, powtarzając się bez przerwy, ale nie dbaliśmy o to i wcale nam to nie przeszkadzało.

Wyszedłem stamtąd o drugiej.

Przedtem jednak zrobiłem się tak sentymentalny, że obiecałem Edowi przyjść na ostatnią pogawędkę, zanim zamknie knajpę. Wpompowałem w siebie tyle alkoholu, że powinienem się zalać. Nie byłem jednak pijany, tylko bardzo przygnębiony.

8.

Skierowałem się w stronę wydawnictwa, ale w połowie drogi uświadomiłem sobie, że nie warto. Do końca pracy zostało ponad godzinę i wiedziałem, że o tej porze wydanie gazety jest już złożone, a ja nie będę miał nic do roboty. Mógłbym jeszcze napisać parę kolumn, ale mi się nie chciało. Postanowiłem wrócić do domu i popracować w czasie weekendu. Miałem nadzieję, że uda mi się nadrobić stracony czas.

Poszedłem więc na parking, wyprowadziłem samochód i ruszyłem do domu, wolno, ostrożnie, by nie wpaść w ręce glinom.

Wjechałem w uliczkę, skręciłem na plac na tyłach domu i zaparkowałem. Panował spokój. Zanim wysiadłem, posiedziałem kilka minut w samochodzie. Słońce przygrzewało, na zabudowanym z trzech stron placu nie było wiatru. W rogu między budynkami rosła skarłowaciała topola. Pokryta barwnymi jesiennymi liśćmi, mieniła się w promieniach słońca niczym drzewo obietnic. Rozgrzane powietrze rozleniwiwało i usypiało. Usłyszałem, że ulicą biegnie pies. Wkrótce znalazł się w zasięgu mojego wzroku. Zobaczył mnie. Usiadł i czujnie nastawił uszy.

Wielkością dorównywał żrebakowi i był tak kudłaty, że aż bezkształtny. Podniósł ociężale tylną łapę i leniwie się podrapał — widocznie miał pchły.

— Cześć, mały — powiedziałem.

Pies wstał i pognał ulicą. Zanim jednak zniknął mi z oczu, zatrzymał się na sekundę i spojrzał na mnie. Wysiadłem z samochodu, ruszyłem ulicą i skręciłem za rogiem w stronę wejścia. W cichym i pustym korytarzu odgłos moich kroków odbijał się echem. W skrzynce

pocztowej było kilka listów; wepchnąłem je do kieszeni i wolno wdrapałem się po schodach na drugie piętro.

Przede wszystkim — pomyślałem — utnę sobie drzemkę.

Wczesna pobudka zaczynała dawać mi się we znaki.

Przed moimi drzwiami ciągle brakowało półkolistego kawałka dywanu. Zatrzymałem się i patrzyłem na ogołoconą podłogę. Prawie o tym zapomniałem; teraz wydarzenia ostatniej nocy momentalnie ożyły w mojej pamięci. Po plecach przebiegł mi dreszcz. Zacząłem szukać w kieszeni kluczy, by jak najszybciej dostać się do środka i znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Znalazłem się w mieszkaniu, zamknąłem drzwi, rzuciłem kapelusz i płaszcz na krzesło i rozejrzałem się.

Nie zauważyłem niczego podejrzanego.

Lubiłem swoje mieszkanie, chociaż nie było ono komfortowe. Należało do mnie; po raz pierwszy od wielu lat mieszkałem w jednym miejscu wystarczająco długo, by uważać je za swoje. Zajmo wałem je od sześciu lat i byłem z niego zadowolony. Na jednej ścianie stała gablota ze strzelbami, w rogu wieża hi—fi, po drugiej stronie mnóstwo książek poustawianych na zrobionym przeze mnie potężnym regale.

Wszedłem do kuchni, zajrzałem do lodówki i znalazłem sok pomidorowy. Nalałem go do szklanki. Siadając przy stole, usłyszałem szelest listów w kieszeni i wyjąłem je. Jeden z nich był ze stowarzyszenia dziennikarzy i wiedziałem, że to kolejne ponaglenie dotyczące zaległych należności. Drugi list przysłała jakaś firma o długiej nazwie. Otworzyłem go i wyjąłem pojedynczą kartkę.

Szanowny Panie Graves. Pragniemy przypomnieć Panu, że Zgodnie z punktem 31. umowy z dniem 1 stycznia rozwiązujemy z Panem kontrakt wynajmu mieszkania nr 210 przy Wellington Arms.

Poniżej był nieczytelny podpis.

Coś się tu nie zgadzało. List nie przyszedł od właściciela budynku. Dom należał do starego George'a Webera, który mieszkał na dole pod numerem 116.

Wstałem z zamiarem natychmiastowego udania się na dół, by po prostu zapytać George'a, co to wszystko, do diabła, ma znaczyć. Przypomniałem sobie jednak, że George i jego żona są w Kalifornii.

Pomyślałem, że może stary George na czas swojej nieobecności przekazał tym ludziom administrację budynku, a jeżeli tak, to musiała zajść jakaś pomyłka. Stary George i ja byliśmy dobrymi kumplami i on nigdy nie wyrzuciłby mnie na ulicę.

Spojrzałem ponownie na kopertę i przeczytałem nazwę firmy: „Ross, Martin, Park & Gobel”, poniżej dopisano drobną czcionką: „Handel nieruchomościami”.

Zastanawiałem się, co dokładnie mówił punkt 31. umowy. Pomyślałem, że to sprawdzę, ale uświadomiłem sobie, że nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie położyłem kopię umowy. Prawdopodobnie była gdzieś w mieszkaniu, ale nawet nie próbowałem jej szukać. Poszedłem do pokoju i wykręciłem numer spółki „Ross, Martin, Park & Gobel”. W słuchawce odezwał się fachowo wyćwiczony wysoki kobiecy głos.

— Proszę pani, ktoś w waszej firmie popełnił błąd — powiedziałem.
— Właśnie dostałem list, w którym informuje się mnie, że wyrzucacie mnie państwo z mieszkania.

Usłyszałem trzask i w słuchawce odezwał się męski głos.

Wytłumaczyłem, co się stało.

— Dlaczego pańska firma jest w to wmieszana? — zapytałem. — O ile wiem, właścicielem domu jest mój sąsiad i stary przyjaciel George Weber.

— I tu jest pan w błędzie, panie Graves — zauważył rozmówca tonem tak spokojnym i pompatycznym, jakby należał on do sędziego. — Pan Weber sprzedał swój dom jednemu z naszych klientów kilka tygodni temu.

— Stary George nic mi o tym nie wspominał.

— Mógł po prostu o tym zapomnieć. — Głos po drugiej stronie zabrzmiał niemal drwiąco. — Może nie miał czasu poinformować pana. Nasz klient przejął posesję w połowie miesiąca.

— I natychmiast przesłał mi unieważnienie umowy o wynajęcie mieszkania.

— Wszystkim lokatorom wysłano unieważnienia, panie Graves. Nowy właściciel potrzebuje budynku dla innych celów.

— Na przykład na parking.

— Właśnie — rzekł tamten. — Choćby na parking.

Odłożyłem słuchawkę, nie mówiąc mu nawet do widzenia. Wiedziałem, że rozmowa z tym żartownisiem prowadzi donikąd.

Siedziałem w pokoju, słuchając odgłosów dobiegających z ulicy. Kilka rozgadanych, chichoczących dziewczyn przeszło koło domu. Okna od zachodniej strony rozświetlało łagodne światło. W pokoju panowało zimno — przenikliwy chłód wkradał się tu z jakiegoś odległego wymiaru i przenikał do szpiku kości.

Najpierw był dom handlowy Franklinów, potem knajpa Eda, a teraz to miejsce, które nazywałem domem. Pomyślałem, że to nie tak: na samym początku był człowiek, który telefonował do Dowa, a potem w rozmowie z Joy powiedział, że ma trudności z kupnem domu. On i ci wszyscy zdesperowani ludzie, których nieme wołanie o pomoc przybierało formę ogłoszeń w prasie — oni byli pierwsi.

Wziąłem gazetę, otworzyłem na stronie z ogłoszeniami i zobaczyłem to, o czym mówił Dow: kolumna za kolumną ogłoszenia w działach: „poszukuję domu” oraz „poszukuję mieszkania”. Żałosne linijki drobnego druku wołały o schronienie.

Zastanawiałem się, co się dzieje. Gdzie nagle podziały się wszystkie mieszkania, nowo wybudowane domy, kilometry kwadratowe ziemi zajęte przez budownictwo?

Rzuciłem gazetę na podłogę i wykręciłem numer znanego pośrednika mieszkaniowego. Telefon odebrała sekretarka; musiałem

poczekać, aż pośrednik skończy rozmowę. W końcu usłyszałem:

— Parker, co mogę dla ciebie zrobić?

— Zostałem wyrzucony na ulicę — powiedziałem. — Potrzebuję dachu nad głową.

— O mój Boże!

— Pokój wystarczy — ciągnąłem. — Tylko jeden duży pokój, jeżeli nie znajdziesz nic lepszego.

— Słuchaj, Parker, ile czasu ci jeszcze zostało?

— Do końca roku.

— Może przez ten czas uda mi się coś dla ciebie zrobić. Sytuacja może ulec poprawie. Będę o tobie pamiętał. Mówisz, że może być cokolwiek?

— Rzeczywiście jest aż tak źle, Bob?

— Ludzie polują na mieszkania, bez przerwy do mnie dzwonią, nachodzą mnie w biurze...

— Ale co się mogło stać? Przy takim postępie w budownictwie jest cała masa nowych domów. Przez całe lato czytałem ogłoszenia o sprzedaży lub chęci wynajęcia.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Bob. — Nawet nie próbuję tego wyjaśniać; po prostu nie rozumiem. Mógłbym sprzedać tysiąc domów, wynająć każdą ilość mieszkań, ale nie mam ani jednego. Siedzę tutaj prawie całkiem spłukany, bo nie ma czym handlować. Już będzie z jakieś dziesięć dni, jak wyczerpały mi się wszystkie oferty. Ludzie proszą mnie, proponują łapówki, bo myślą, że to jakiś chwyt. Mam więcej klientów niż kiedykolwiek przedtem, ale w żaden sposób nie mogę prowadzić interesów.

— Nowi ludzie sprowadzają się do miasta?

— Boże, sądzę, że nie. Parker, jeśli nawet, to nie aż takie tłumy.

— Młode małżeństwa urządzają się na swoim?

— Powiem ci szczerze: wśród ludzi czekających u mnie połowa to staruszkowie, którzy po odejściu dzieci chcieli duże mieszkania

zamieniać na mniejsze; inni znowu sprzedali swoje domy, bo potrzebowali więcej miejsca dla powiększających się rodzin.

— A teraz w ogóle nie ma mieszkań — zakończyłem.

— Tak to się właśnie przedstawia.

Nie było już nic więcej do dodania.

— Dzięki, Bob.

— Będę pamiętał o twojej sprawie — zapewniał Bob, ale nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie.

Odłożyłem słuchawkę i siedziałem, głowiąc się, o co tu może chodzić. Byłem pewien, że dzieje się coś nadzwyczajnego. Taka sytuacja nie wynikałaby jedynie z nadmiernego zapotrzebowania. Działo się tu coś sprzecznego z wszelkimi prawami ekonomii. Wiedziałem, że to wszystko się z sobą wiąże. Dom Franklinów został sprzedany, Ed stracił dzierżawę lokalu, stary George sprzedał dom, tłumy ludzi oblegały biura pośredników mieszkaniowych w szalonej pogoni za jakimś schronieniem.

Wstałem i włożyłem płaszcz i kapelusz. Wychodząc z mieszkania, starałem się nie patrzeć na dywan, w którym brakowało wyciętego półkola.

Miałem straszne przeczucie, przerażające podejrzenie.

Mój dom stał w sąsiedztwie okręgu handlowego, który rozwinął się wiele lat temu, jeszcze zanim ktokolwiek pomyślał o budowaniu centrów handlowych gdzieś na peryferiach miasta.

Jeśli nie myliłem się w swoich przeczuciach, odpowiedź mogłem znaleźć w okręgu handlowym.

Wyruszyłem na poszukiwanie.

9.

Dziewięćdziesiąt minut później miałem już odpowiedź i bałem się śmiertelnie. Większość przedsiębiorstw tego rejonu straciła lub wkrótce miała stracić dzierżawę lokali. Kilka firm posiadających umowy długoterminowe sprzedało interesy. Najwidoczniej większość budynków zmieniła właścicieli w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Ludzie, z którymi rozmawiałem, byli albo zdesperowani, albo zrezygnowani. Kilkoro z nich straciło panowanie nad sobą, paru przyznało, że zostali pokonani.

— Mówię panu — perorował aptekarz — może to nie jest takie złe. Przy obecnym systemie podatkowym, przy tych wszystkich regulacjach prawnych i ingerencjach rządowych, aby utrzymać się w interesie, trzeba wiele sprytu. Pewnie że szukałem innego lokalu, ale to tylko czysty odruch. Trudno pozbyć się wieloletnich nawyków. Nigdzie nie ma miejsca, nie mam dokąd iść. Postanowiłem wyprzedać towary po możliwie najlepszej cenie, by niczego potem nie żałować, i będę patrzył, co się dalej stanie.

— Żadnych planów? — zapytałem.

— Cóż, marzyliśmy z żoną już od jakiegoś czasu o długich wakacjach. Nigdy się na nie nie wybraliśmy. Interesy uwiązały mnie w mieście, a tak trudno znaleźć dobrą pomoc...

Następny był fryzjer. Wymachiwał nożyczkami, trzaskał nimi ze złością.

— Chryste — mówił — nadeszły czasy, kiedy człowiek nie może zarobić na życie. Naprawdę nie może.

Chciałem zapytać, kto mu na to nie pozwala, ale nie dał mi wtrącić choćby słowa.

— Bóg jeden wie, jak marnie zarabiam — ciągnął. — Fryzjerstwo nie jest już takie jak dawniej. Dawniej każdy klient życzył sobie golenie z użyciem wody kolońskiej, a potem jeszcze lakier. Teraz trafiają się tylko strzyżenia. A oni nie pozwolą mi zachować nawet tego.

Zdołałem wreszcie zapytać, kim są ci „oni”, ale nie umiał mi odpowiedzieć. Myślał, że się wymądrzam. Wyraźnie rozgniewało go to pytanie.

Dwie stare instytucje rodzinne (spośród wielu innych), z których każda posiadała własny lokal, odrzuciły wiele atrakcyjnych ofert.

— Wie pan, panie Graves — mówił pewien stary jegomość — możliwe, że kiedyś przyjąłbym którąś z tych propozycji. Przypuszczam, że postąpiłem głupio, nie zgadzając się, ale jestem już na to za stary. Między mną a sklepem istnieje tak silna więź, jakbyśmy byli częściami jednego organizmu. Sprzedać interes to jakby sprzedać samego siebie. Nie sądzę, by mógł pan to zrozumieć.

— Myślę, że rozumiem pana — rzekłem.

Podniósł bladą starczą dłoń ze zdumiewająco niebieskimi żyłami widocznymi pod porcelanową skórą i pogładził rzadką kępkę białych włosów na mocno wyłysiałej głowie.

— Istnieje taka rzecz jak duma — ciągnął. — Duma w sposobie prowadzenia interesów. Zapewniam pana, że nikt nie robi ich tak jak ja. Dzisiaj nie ma na świecie dobrych manier, młody człowieku. Zanikła uprzejmość, okazywanie względów, już nikt nie dba o dobro drugiego człowieka. W świecie biznesu liczy się teraz tylko księgowość prowadzona przez maszyny albo ludzi, którzy są bardzo podobni do maszyn, bo nie mają duszy. Zaginął gdzieś honor i zaufanie, a etyka naszego zawodu stała się etyką gromady wilków. — Wyciągnął porcelanową dłoń tak lekko, że nawet nie poczułem dotyku. — Więc mówi pan, że wszyscy moi Sąsiedzi stracili dzierżawy albo je sprzedali?

— Większość z nich.

— A Jake z naszej ulicy? On chyba nie? Ten, który ma salon meblowy. Stary łotr i złodziejasek, ale ma takie same poglądy jak ja.

Powiedziałem, że się nie myli. Jake nie sprzedał sklepu. Takich jak oni dwaj było zaledwie paru, może sześciu...

— On jest taki sam jak ja — tłumaczył starszy pan. — Dla nas interes to odpowiedzialność, ale i przywilej. Inni widzą w tym tylko sposób na zarabianie pieniędzy. Jake ma synów, którym może przekazać firmę. Tym się chyba różnimy. Może też być inna przyczyna, dla której zatrzymał swój salon meblowy. Ze mną jest inaczej; oprócz siostry nie mam nikogo. Jesteśmy tylko my dwoje. Kiedy nas zabraknie, nie będzie też sklepu, ale póki żyjemy, zostaniemy tu i będziemy obsługiwać klientów z największym szacunkiem. Powiem panu, handel to coś więcej niż tylko liczenie na zyski. Daje szansę, żeby służyć, żeby dać swój wkład. Tak wytwarzają się więzi trzymające cywilizację. Na świecie nie ma bardziej szacownego zawodu niż ten.

Słowa zabrzmiały jak zew z jakiejś odległej epoki i może dokładnie tym były. Przejęło mnie chwilowe wzruszenie na widok jasnych sztandarów dumy łopoczących na wietrze. Wyczułem w zwierzeniach świeżość i prostotę. Stary człowiek przeżywał widocznie to samo co ja.

— Dzisiaj wszystko zostało zszargane — zauważył. — Tylko gdzieś, w jakichś ustronnych zakątkach, przywiązuje się wagę do takich spraw.

— Dziękuję panu — rzekłem. — Zrobił pan dla mnie wiele dobrego.

Ściskając mu dłoń na pożegnanie, zastanawiałem się, dlaczego to powi działałem. Byłem jednak przekonany, że on naprawdę zrobił coś dla mnie. Chyba przywrócił mi wiarę. W co? Zastanawiałem się i nie byłem pewien. Wiarę w człowieka? W świat? Może nawet we mnie samego?

Wyszedłem ze sklepu i stałem na ulicy dygocząc, zmarznięty pomimo resztek ciepła mijającego dnia.

Teraz już wiedziałem, że wydarzenia nie były przypadkowe. W grę wchodził nie tylko dom handlowy Franklinów, moje mieszkanie czy knajpa Eda. Tu nie chodziło nawet o ludzi poszukujących jakiegoś kąta do życia.

Widziałem metodyczny plan i niecny cel. Ten plan był iście szatański przez swój zasięg. Kryła się za nim sprawna organizacja pracująca dyskretnie i szybko. Najwyraźniej wszystkie transakcje zostały zawarte w przeciągu kilku ostatnich miesięcy i data ich realizacji była w przybliżeniu zbieżna.

Nie potrafiłem ustalić jednej rzeczy i mogłem co najwyżej snuć na ten temat przypuszczenia, mianowicie: czy wystarczyła jedna osoba lub mała grupa ludzi, czy też potrzebna była cała armia, by zbadać sytuację, zaproponować transakcję i ewentualnie ją sfinalizować. Próbowałem to zbadać, ale nikt nie mógł mi pomóc. Większość osób, z którymi rozmawiałem, dzierżawiła lokale, więc nie znała szczegółów.

Poszedłem do drogerii na rogu ulicy, wcisnąłem się do budki telefonicznej i wykręciłem numer redakcji. Poprosiłem telefonistkę o rozmowę z Dowem.

— Gdzie byłeś? — zapytał Dow bez żadnych wstępów.

— Włóczyłem się tu i tam — odparłem.

— A my się tutaj wściekamy. Firma Hennesseyów ogłosiła, że straciła dzierżawę.

— Hennesseyów! — Właściwie nie wiem, dlaczego ta wiadomość mnie zaskoczyła; wiedziałem już tak wiele.

— Trudno w to uwierzyć — ciągnął Dow. — Dwa wielkie domy towarowe w ciągu jednego dnia!

To był drugi dom towarowy o kluczowym znaczeniu. Po zamknięciu domu Franklinów i Hennesseyów okręg handlowy w centrum zmieni się w pustynię.

— Nie zdążyłeś z wywiadem do nowego wydania — zauważyłem, chcąc zyskać na czasie, by zastanowić się, co z tego, co widziałem, powinienem przekazać Dowowi.

— Samolot się spóźnił.

— No dobrze, powiedz mi, Dow, jak udało im się utrzymać to w tajemnicy? Nie było żadnych plotek, jeśli chodzi o sprawę domu Franklinów.

— Poszedłem na spotkanie z Bruce'em i zapytałem go wprost — wyjaśnił Dow. — Pokazał mi umowę, bez prawa do publikacji, opatrzoną klauzulą, która automatycznie unieważniała transakcję w przypadku jej przedwczesnego ujawnienia.

— A dom Hennesseyów?

— Budynek należał do First National. Prawdopodobnie mieli w umowie taką samą klauzulę. Firma Hennesseyów może korzystać z budynku jeszcze przez rok, ale i tak nie ma innego miejsca...

— Cena musiała być bardzo zachęcająca, przynajmniej tak wysoka, by zależało im na sprzedaży i utrzymaniu wszystkiego w ścisłej tajemnicy.

— W przypadku domu Franklinów rzeczywiście tak było. W tajemnicy dowiedziałem się, że dali dwa razy tyle, ile mógłby zaoferować ktokolwiek przy zdrowych zmysłach. A teraz po zapłaceniu tak kolosalnej sumy nowy właściciel po prostu zamyka interes. Dla Bruce'a to właśnie było największym ciosem. Wygląda na to, że ktoś nienawidził Franklinów do tego stopnia, że zapłaciłby za firmę każdą cenę, by potem ją natychmiast zlikwidować. — Dow zawahał się na chwilę i dodał: — Parker, to nie ma żadnego sensu, przynajmniej jako interes.

Pomyślałem, że wyjaśniła się jedna zagadka: dlaczego nie było żadnych plotek. Wiedziałem już, że stary George nie powiedział nic o sprzedaży domu i zwiął do Kalifornii tylko dlatego, by przyjaciele nie mogli wypytywać go o przyczynę zachowania tego faktu w tajemnicy.

Stałem w budce telefonicznej i zastanawiałem się, czy to możliwe, aby w każdej umowie była klauzula i każda z tych klauzul stawiała takie same warunki.

To, oczywiście, wydawało się niewiarygodne, zresztą jak cała sprawa.

— Parker — odezwał się Dow — jesteś tam jeszcze?

— Tak — powiedziałem — tak, jestem. Dow, powiedz mi jedną rzecz: kto kupił dom handlowy Franklinów?

— Nie wiem. W podpisaniu dokumentów brała udział spółka „Ross, Martin, Park & Gobel”, zajmująca się handlem nieruchomościami. Dzwoniłem do nich i...

— I powiedzieli ci, że działali z ramienia klienta, ale nie mają prawa wyjawić, kto to taki.

— Dokładnie. Skąd o tym wiesz?

— Zgadłem. Ta sprawa jest bardzo podejrzana.

— Sprawdziłem tę spółkę — oznajmił Dow. — Oficjalnie prowadzą interesy od dziesięciu tygodni.

— Ed stracił dzisiaj dzierżawę — powiedziałem nieoczekiwanie. — Zrobi się tutaj dosyć odludnie.

— Ed?

— Tak, Ed i jego knajpa.

— Parker, co się dzieje?

— A żebym to ja wiedział — odpowiedziałem. — No, co tam jeszcze nowego?

— Pieniądze, sprawdziłem to. Banki zawałone są gotówką. Przez ostatni tydzień zajmowano się bez przerwy wciąganiem na konta ogromnych sum.

— No, no, miło słyszeć, że nasze tereny tak wspaniale prosperują.

— Parker — warknął Dow — co się, do diabła, z tobą dzieje?

— Zupełnie nic — odpowiedziałem spokojnie. — Do zobaczenia jutro rano. — Szybko odwiesiłem słuchawkę, by nie mógł mnie już o nic więcej zapytać.

Stałem, zastanawiając się, dlaczego nie przekazałem mu informacji, które udało mi się zgromadzić. Nie miałem powodów, aby zatrzymywać je dla siebie. Tak naprawdę powinienem mu jak najszybciej o wszystkim powiedzieć, chociażby z racji zawodowych obowiązków.

A jednak milczałem. Nie byłem zdolny uchylić rąbka tajemnicy. Wyglądało to tak, jakbym nie wyjawiając faktów, chciał zakwestionować ich prawdziwość, jakby moje milczenie odbierało im ważkość.

Zachowałem się oczywiście bardzo głupio.

Wyszedłem z budki telefonicznej i ruszyłem ulicą. Na rogu przystanąłem, poszperałem w kieszeniach i wyjąłem dzisiejszą pocztę. Spółka „Ross, Martin, Park & Gobel” zajmowała lokal w pobliżu pętli — w starej siedzibie McCandlessów, w jednym z wiekowych brązowych grobowców kamiennych, który władze miejskie przeznaczyły do rozbiórki w pierwszej kolejności.

Mogłem sobie wyobrazić tę budowlę: skrzypiące windy, schody z marmurowymi stopniami i poręczami z brązu, teraz poczerniałe ze starości, korytarze wyłożone starą błyszczącą dębową boazerią, sufity wysoko nad głową i wielkie prostokąty drzwi do połowy przeszkłone matowymi szybami. A na pierwszym piętrze sklepiki ze znaczkami, papierosami, czasopismami i kącik dla pucybuta.

Spojrzałem na zegarek: minęła piąta. Ulicą płynęły nieprzerwanie strumienie samochodów; zaczął się już popołudniowy szczyt. Większość samochodów kierowała się na zachód, w stronę jednej z dwu autostrad, łączącej miasto z osiedlem wielkich bloków mieszkalnych, rozrzuconych wśród malowniczych wzgórz i jezior.

Słońce zaszło i był to ten moment, kiedy światło dnia powoli przygasa, ale nie zapadł jeszcze zmrok. Pomyślałem, że to najpiękniejsza pora dnia, przynajmniej dla ludzi, którzy nie mają na głowie żadnych kłopotów.

Szedłem wolno ulicą, rozmyślając o tym, co mi zaświtało w głowie. Bardzo mi się to nie podobało, ale wiedziałem z doświadczenia, że nie mogę lekceważyć swych przeczuć. Jak dotąd zbyt wiele z nich okazało się słusznych i dlatego nie wolno mi było ich ignorować.

Poszukałem sklepu z towarami metalowymi i wszedłem do środka. Kupując diament do cięcia szkła, miałem poczucie winy. Włożyłem narzędzie do kieszeni i wyszedłem na ulicę.

Na chodnikach kręciło się mnóstwo ludzi, samochody trąbiły niecierpliwie, poruszając się wolno w ulicznych korkach. Zatrzymałem się przy ścianie budynku i przyglądałem się mijającemu mnie tłumowi.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem odstąpić od swoich zamiarów. Postąpiłbym rozważniej, gdybym teraz udał się do domu, w godzinę później ubrał się i poszedł na spotkanie z Joy.

Stałem niezdecydowany, niemal gotowy zrezygnować, ale coś mnie ponaglało do działania, nie dając spokoju.

Nadjechała taksówka, wtłoczona między inne samochody, i zatrzymała się na wprost mnie wraz ze strumieniem pojazdów. Zauważyłem, że jest wolna, i dłużej się nie zastanawiałem. Przekroczyłem krawężnik, taksówkarz zauważył mnie i otworzył drzwi, bym mógł wsiąść.

— Dokąd pan sobie życzy?

Podaliśmy nazwę skrzyżowania tuż za rezydencją McCandlessów.

Zmieniły się światła i ruszyliśmy.

— Czy zauważył pan, jak ten świat zszedł na psy? — odezwał się taksówkarz, chcąc nawiązać rozmowę.

10.

Budynek McCandlessów wyglądał dokładnie tak, jak go sobie wyobrażałem, czyli przypominał wszystkie stare biurowce z brunatnego kamienia.

Przez okna spokojnego i mrocznego korytarza na trzecim piętrze wpadały ostatnie błyski mijającego dnia. Zauważyłem wytarty dywan, poplamione ściany i zniszczoną boazerię; mimo całego starożytnego blasku, budynek sprawiał przygnębiające wrażenie. Na przeszklonych matowymi szybami drzwiach do poszczególnych biur widniały nazwy firm, wypisane łuszczącą się złotą farbą. Każde drzwi wyposażone były w zamki.

Przemierzyłem korytarz, by się upewnić, czy ktoś jest, ale wszystkie biura najwyraźniej świeciły pustkami. W piątkowy wieczór urzędnicy wcześniej wychodzili z pracy, żeby jak najszybciej rozpocząć weekend, a na pojawienie się sprzątaczek było jeszcze za wcześnie.

Biuro spółki „Ross, Martin, Park & Gobel” znajdowało się przy końcu korytarza. Nacisnąłem klamkę. Drzwi były zamknięte, tak jak się spodziewałem. Wyjąłem diament do cięcia szkła i zabrałem się do pracy, co nie było wcale łatwe. Kiedy się przecina szkło, trzeba je położyć na płaskiej powierzchni. Można wtedy uważnie, równomiernie naciskając, zrobić ryse. Ja natomiast próbowałem przeciąć szkło ustawione pionowo.

Zajął to dosyć dużo czasu, ale w końcu udało mi się obrysować odpowiedni kształt. Włożyłem diament do kieszeni, a potem stałem przez chwilę, nasłuchując, czy nikt nie idzie korytarzem ani schodami. Uderzyłem w szkło, pękło z trzaskiem i odchyliło się, nadal jednak trzymało się framugi. Uderzyłem ponownie; kawałek pękł do reszty i wpadł do pokoju. Miałem teraz dziurę wielkości pięści tuż nad

zamkiem. Uważając, żeby nie pokaleczyć się o tkwiące we framudze odłamki, wsunąłem rękę do środka i odnalazłem gałkę. Przekręciłem ją i zasuwa ustąpiła. Drugą ręką nacisnąłem klamkę na zewnątrz, pchnąłem i drzwi otwarły się.

Wsunąłem się do pomieszczenia, przyłgnałem plecami do ściany i stałem tak przez dłuższy czas. Włosy zjeżyły mi się na głowie, serce waliło jak młot. Poczułem zapach używanego przez Bennetta płynu po goleniu. Był tutaj, chociaż bardzo słaby, jakby ten człowiek użył go dziś rano, a po południu minął mnie na ulicy. Ponownie próbowałem określić ten zapach, ale nie mogłem go z niczym porównać. Jeszcze nigdy w życiu nie czułem czegoś takiego. Nie był nieprzyjemny — po prostu go nie znałem.

W ciemnościach przede mną majaczyły jakieś kształty i bryły, ale w miarę jak wpatrywałem się w nie i moje oczy przystosowywały się do mroku, widziałem, że jestem w zwyczajnym biurze. Okazało się, że czarne bryły to biurka, szafy na akta i inne sprzęty, jakich można się spodziewać w takim pomieszczeniu.

Stałem czujnie i czekałem na coś niezwykłego, ale nie wydarzyło się absolutnie nic. Przez okna sączyła się głęboka szarość wieczoru, która nie przenikała ciemności w środku, tylko jakby zatrzymała się tuż za szybami. W pokoju panowała cisza, nieznośna cisza.

Rozejrzałem się i zobaczyłem coś dziwnego. W jednym rogu była alkowa oddzielona od reszty pomieszczenia zasłoną — to dosyć dziwne jak na biuro spółki.

Oderwałem się od ściany i ostrożnie ruszyłem przez pokój. Nie wiedziałem dokładnie, czego się boję, ale czaiło się tam coś, co wzbudzało strach.

Zatrzymałem się przy biurku na wprost alkowy i włączyłem lampę, choć wiedziałem, że nie jest to najmądrzejsze posunięcie. Włamałem się do biura, a teraz ogłaszałem to wszem i wobec, zapalając światło. Musiałem jednak wykorzystać szansę; chciałem rozwiać wszelkie wątpliwości i zobaczyć, co kryło się za tajemniczą zasłoną.

W świetle lampy poznałem, że zasłona zrobiona jest z jakiegoś ciężkiego ciemnego materiału i że jest zawieszona na pręcie. Odnalazłem sznur, pociągnąłem i materiał rozsunał się gładko na obie strony. Zobaczyłem rząd ubrań na wieszakach; ubrania powieszzone były równo na drewnianym drążku.

Stałem, wpatrując się w nie, tak że z czasem zacząłem dostrzegać poszczególne elementy garderoby. Były tam męskie płaszcze, garnitury, koszule i krawaty. Na półce powyżej leżały ułożone pedantycznie kapelusze. Na wieszakach wisały kobiece kostiumy, sukienki i jakieś falbaniaste stroje, które można by uznać za wieczorowe. Ponadto znalazłem bieliznę zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, skarpety i pończochy. Pod ubraniami na podłodze stała półka na buty, gdzie starannie ustawiono pary obuwia.

Czyste szaleństwo. Możliwe, że gdyby nie było szafy, jakiś skąpiec kazałby w ramach oszczędności zrobić kącik na płaszcze, jesionki, żakiety i kapelusze. Tylko że tutaj wisały kompletne stroje dla wszystkich pracowników biura, poczynając od dyrektora, a kończąc na sekretarce. Na próżno wysilałem umysł, by znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie.

Ale najbardziej nienormalny z tego wszystkiego był fakt, że biuro było puste; wszyscy już poszli, zostawiając swoje ubrania. Z pewnością nie wyszli zupełnie nago.

Szedłem wolno wzdłuż wieszaków i dotykałem ubrań, żeby się upewnić, czy naprawdę istnieją. Istniały naprawdę, uszyte ze zwyczajnych materiałów.

Idąc poczułem nagle na wysokości kostek zimny powiew, jakby ktoś zostawił otwarte okno. Krok dalej nie czułem przeciągu. Doszedłem do końca wieszaka, odwróciłem się i ponownie ruszyłem tą samą drogą. W pewnym momencie znów poczułem na wysokości kostek falę zimna. Coś się tu nie zgadzało. To nie przypominało wiatru. Przeciąg z otwartego okna nie pełzałby tuż nad podłogą, i to w ograniczonej przestrzeni.

Za ubraniami coś było. Ale co, na Boga, mogło kryć się za wieszakiem z garderobą? Schyliłem się bez zastanowienia, aby sprawdzić, którądy wpada strumień zimnego powietrza. Znalazłem w ścianie dziurę na wylot; nie prowadziła na zewnątrz budynku McCandlessów, bo nie mogłem dostrzec przez nią światła ulicznych. W otworze widziałem nie światło, lecz przyprawiającą o zawrót głowy ciemność. Docierało też do mnie nieznanie zimno, a może raczej całkowity brak ciepła. Nie wiem, w jaki sposób mogę określić swoje wrażenia, ale był to brak wszystkiego, totalne zaprzeczenie ziemskich kształtów, światła i ciepła. Wyczułem ruch, chociaż go nie widziałem — rodzaj wirowania ciemności i zimna, jak gdyby mieszały się one w jakiś tajemniczy sposób, tworząc niebezpiecznie wciągający wir. Kiedy wpatrywałem się w otwór, wir próbował przybliżyć się do mnie i wciągnąć mnie do środka.

Rzuciłem się do tyłu i rozciągnąłem na podłodze jak długi. Leżałem, napięty i przerażony. Czułem sączące się zimno i widziałem, jak ubrania opadają na swoje miejsce, maskując dziurę w ścianie.

Podniosłem się wolno i podszedłem do biurka, które obrałem za rodzaj osłony przed tym, co odkryłem za kotarą.

Ale co ja właściwie odkryłem? To pytanie nie dawało mi spokoju. Nie znalazłem na nie odpowiedzi, tak jak nie mogłem wytłumaczyć, dlaczego wisiały tam ubrania.

Wyciągnąłem rękę, by znaleźć coś solidnego do obrony przed nieznanym zagrożeniem, ale w zamian natrafiłem na koszyk wypełniony kartkami i niechcący zrzuciłem go na podłogę. Kartki były równo poskładane i wyglądały jak ważne dokumenty.

Podniosłem się z kolan, położyłem na biurku papiery i zacząłem szybko je przeglądać. Wszystkie, co do jednego, okazały się aktami kupna nieruchomości. Co więcej, każdą z tych transakcji zawarto w imieniu Fletchera Atwooda.

Jego nazwisko wywoływało u mnie jakieś odległe skojarzenia. Próbowałem odszukać w pamięci wskazówkę pozwalającą na powiązanie tych pustych słów z czymś konkretnym. W przeszłości

musiałem gdzieś spotkać tego człowieka. Może o nim pisałem lub rozmawiałem przez telefon... Zapisałem jego nazwisko bardzo głęboko w pamięci, ale musiał to być fakt tak odległy, że teraz był nie do odtworzenia. Wydawało mi się, że Joy mówiła o tym człowieku podczas jednej z wielu nieważnych rozmów, kiedy zatrzymywała się, by zamienić ze mną parę słów. W natłoku codziennych wydarzeń nie pamięta się jednak dłużej żadnego nazwiska.

Dotyczyło to chyba jakiegoś domu. Atwood go kupił... Tak! Fletcher Atwood kupił słynny dom Belmontów na Timber Lane. Tajemniczy człowiek, który nie pasował do mieszkańców tej ekskluzywnej alei. Nie mieszkał w kupionym przez siebie domu; spędził tam tylko noc, może tydzień. Nie miał rodziny ani przyjaciół i nie wyglądało na to, by tego pragnął. Został na Timber Lane odrzucony, bo kiedyś dom Belmontów stanowił centrum tej nieuchwytnej rzeczy zwanej życiem towarzyskim. Teraz na Timber Lane nikt o tym domu nie wspominał. Stał jak zakurzony szkielet ukryty w gablocie.

Rozkładałem dokumenty w świetle lampy i zastanawiałem się, czy Atwood nie chciał się zemścić. Było to raczej mało prawdopodobne. Nie wyglądał na człowieka dbającego o opinię mieszkańców Timber Lane.

Umowy dotyczyły nieruchomości wartych miliardy — posiadłości znanych firm rodzinnych, dumnych z tradycji, małych zakładów produkcyjnych, starych budowli miejskich, które nawet dla najstarszych mieszkańców miały już legendarne znaczenie. Wszystkie zostały sprzedane Fletcherowi Atwoodowi, co stwierdzono w nudnych, precyzyjnych sformułowaniach prawniczego żargonu. Dokumenty czekały na posegregowanie i skatalogowanie.

Myślałem, że może znajdują się tutaj, ponieważ nikt do tej pory nie miał czasu się nimi zająć. Czekają, bo było zbyt wiele innej pracy. Zastanawiałem się, jakiego rodzaju mogła to być praca.

Choć wydawało się to niewiarygodne, miałem jednak dowód, że jeden człowiek kupił, jak gdyby za jednym zamachem, znaczną część miejskich firm i przedsiębiorstw.

Żaden człowiek ani grupa ludzi nie mogli zgromadzić sumy, na jaką opiewały dokumenty. A nawet jeżeli ktoś dysponował taką ilością pieniędzy, to jaki mógł mieć w tym cel? Wykupić całe miasto?

Znalazłem tylko niewielką część dokumentów, pozostawionych bez troski na biurku, jakby nie miały one większego znaczenia. Niewątpliwie musiały być ich setki. Jeżeli Fletcher Atwood lub człowiek, którego reprezentował, zamierzał kupić w końcu miasto, to co zamierzał z nim zrobić?

Odłożyłem papiery do koszyka i znowu podszedłem do wieszaka z ubraniami. Przyglądałem się ułożonym na półce kapeluszom i nagle zauważyłem pomiędzy nimi coś, co przypominało pudełko po butach. Stanąłem na palcach i próbowałem je wyciągnąć. Okazało się, że jest cięższe, niż się spodziewałem. Zaniósłem pudełko na biurko, postawiłem pod lampą i otworzyłem.

W środku były lalki — inne jednak niż zwyczajne zabawki produkowane taśmowo. Do tego stopnia przypominały ludzi, że zacząłem się zastanawiać, czy to rzeczywiście nie są ludzie skurczeni do rozmiaru kilkunastu centymetrów, z doskonałym zachowaniem proporcji. Na samym wierzchu leżała lalka będąca perfekcyjnym odwzorowaniem Bennetta, który brał udział w konferencji prasowej u Bruce'a Montgomery'ego.

Stałem jak porażony gromem i wpatrywałem się w lalkę. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej przypominała ona Bennetta — małego, nagiego Bennetta, który czekał, aż go ktoś ubierze i posadzi za stołem konferencyjnym. Wyglądał tak prawdziwie, że bez trudu mogłem wyobrazić sobie muchę łązącą po jego łysej czaszce.

Wolno, jakbym się bał, że pod moim dotykiem ożyje, wyciągnąłem go. Był cięższy, niż przypuszczałem, cięższy, niż powinna być kilkunastocentymetrowa lalka. Obejrzałem go pod światło i przekonałem się, że to, co trzymałem w palcach, niewątpliwie stanowi doskonałą replikę żywego człowieka. Przyjrzałem się zimnym oczom i cienkim, prostym wargom. Bezwłosa głowa sprawiała wrażenie, jakby

nigdy nie rosły na niej włosy. Było to ciało, jakiego można się spodziewać u człowieka zbliżającego się do starości — z tendencją do wiotczenia — wykonującego odpowiednie ćwiczenia i prowadzącego regularny tryb życia.

Odłożyłem Bennetta na biurko, ponownie sięgnąłem do pudełka i tym razem wybrałem bardzo piękną blondynkę. Oglądałem ją w świetle lampy i nie miałem wątpliwości, że nie była to lalka, lecz wierny model kobiety oddający wszystkie szczegóły anatomiczne. Wyglądała tak realnie, że wydawało się, iż wystarczy wypowiedzieć jedno magiczne słowo, aby ją ożywić. Delikatna, zgrabna i śliczna aż po koniuszki palców, nie miała w sobie nic z groteskowości czy nieregularności sztucznego wyrobu.

Odłożyłem ją na biurko obok Bennetta i zacząłem grzebać w pudełku. Znalazłem dwadzieścia, może trzydzieści lalek, prezentujących różne typy ludzi. Byli wśród nich ludzie młodzi — aktywni i energiczni — starzy biznesmeni wyjadacze, sprytni, wygładzeni i utalentowani działacze, młode kobiety biznesu, kłótniwe stare panny i zagubione w biurze sierotki.

Zaniechałem dalszego oglądania ich i powróciłem do wybranej wcześniej blondynki. Byłem nią zafascynowany. Podniosłem ją i próbowałem przyjrzeć się jej z naukowego punktu widzenia, by rozstrzygnąć, z jakiego materiału była zrobiona. Tworzywo przypominało plastik — ciężki, uginający się pod naciskiem. Nigdy wcześniej się z takim nie spotkałem. Przy odpowiednio silnym nacisku powstawała wklęsłość, ale po ustąpieniu siły powierzchnia znów się wygładzała. Ponadto czułem od tego materiału słabe ciepło. Śmieszne, ale nie mogłem rozpoznać jego faktury. Być może był on tak doskonały, że nie można było dostrzec struktury powierzchni.

Poszperałem jeszcze w pudełku, wybierając różne lalki. Wszystkie wykonano z najwyższą precyzją i dbałością o szczegóły.

Bennetta i blondynkę włożyłem do pudełka, razem z innymi lalkami, po czym wsunąłem ostrożnie pudełko w wolną przestrzeń między

kapeluszami na półce.

Odwróciłem się i rozejrzałem po biurze.

To było jakieś szaleństwo: lalki na półce, ubrania na wieszakach, dziura w ścianie, z której wydobywało się zimno, sterta papierów dotyczących wykupu połowy miasta.

Zaciągnąłem zasłony; z szelestem znalazły się z powrotem na miejscu i oddzieliły mnie od tego wszystkiego. Nie oddzieliły mnie jednak od szaleństwa, które się tu czaiło. Czułem je niemal, tak jakby było cieniem kroczącym w ciemnościach, gdzie nie sięgało światło lampy.

Zacząłem się zastanawiać, co można zrobić, jeśli natrafi się na coś niewiarygodnego, co jednak, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wygląda realnie. Fakty były namacalne. Czasem można sobie coś wymyślić lub źle coś zinterpretować, ale nie sposób wyobrazić sobie tylu dziwnych rzeczy naraz.

Wyłączyłem lampę i w pokoju zaległa ciemność. Stałem nieruchomo z palcem na przycisku i wsłuchiwałem się w ciszę.

Ruszyłem ostrożnie między biurkami w stronę drzwi, z każdym krokiem czułem skradające się za moimi plecami niebezpieczeństwo — wyimaginowane, ale groźne i przerażające. Może wynikało ono z przeświadczenia, że skoro odkryłem rzeczy, które nie były przeznaczone dla nikogo z zewnątrz, to według wszelkich praw logiki muszę trafić na jakieś zabezpieczenie.

Wyszedłem z pokoju, zamknąłem za sobą drzwi i stałem przez chwilę, oparty o ścianę. Na korytarzu było ciemno, wpadało tu tylko słabe światło z ulicy i klatki schodowej.

Panował spokój.

11.

Dochodziły do mnie różne odgłosy: pisk opon hamującego samochodu, klakson, wesoły dziewczęcy śmiech. Wtedy zrozumiałem, że ważne jest, abym opuścił budynek nie zauważony. Czułem się tak, jakbym brał udział w ważnej grze, gdzie stawka jest zbyt wielka, bym mógł sobie pozwolić na przegraną. Ruszyłem jak kot i byłem już prawie przy schodach, kiedy wyczułem jakiś ruch.

„Wyczułem” to nie jest dobre słowo, bo nie odebrałem tego żadnym ze zmysłów. Nie dotarł do mnie żaden dźwięk, ruch nic — po prostu w mojej głowie zadźwięczał dzwoneczek, który ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem.

Obróciłem się błyskawicznie, kiedy to już było tuż przy mnie — czarne, o kształcie i wielkości mężczyzny, posuwające się bezszelestnie; sunęło w powietrzu, jakby nie chciało wywołać żadnego dźwięku.

Odskoczyłem i przywarłem plecami do ściany. To coś przemknęło obok, zaraz jednak zawróciło i szybko skierowało się prosto na mnie. Spostrzegłem bladość twarzy, kiedy słabe światło klatki schodowej obrysowało masywną sylwetkę. Bez zastanowienia uderzyłem pięścią w zbliżającą się bladą plamę. Rozległ się trzask i poczułem, że aż mi dłoń zdrętwiała.

Człowiek, jeżeli to był człowiek, zatoczył się do tyłu. Zbliżyłem się do niego, jeszcze raz się zamachnąłem i znowu rozległ się głośny trzask.

Mężczyzna przewrócił się na poręcz, przechylił do tyłu i zaczął spadać z rozłożonymi ramionami w pustkę pomiędzy marmurowymi schodami.

Przez moment widziałem w świetle jego twarz z szeroko otwartymi ustami, z których nie wydobył się żaden krzyk. Potem zniknął mi z oczu i rozległo się ciężkie uderzenie.

Kiedy zobaczyłem, jak zbliżał się do mnie, czułem tylko przerażenie i desperację; teraz zrobiło mi się niedobrze na myśl, że go zabiłem. Wiedziałem, że stała się tragedia — nikt nie mógł przeżyć takiego upadku.

Czekałem na jakiś hałas, ale wkoło panowała głęboka cisza, jakby cały budynek wstrzymał oddech.

Ruszyłem schodami. Drżały mi nogi i ręce. Przechyliłem się przez poręcz, przygotowany na widok mężczyzny leżącego w kałuży krwi.

Schody były jednak puste...

Zacząłem biec, nie dbając już o zachowanie ciszy. Miałem mieszane uczucia. Ulga, że nie zabiłem człowieka, zaczęła ustępować miejsca strachowi, iż wróg, pozostawiony przy życiu, może się na mnie gdzieś czaić.

Przyszła mi do głowy jeszcze jedna myśl: być może mężczyzna leżał gdzieś, a ja go nie zauważyłem. Ale przecież nie sposób nie zauważyć roztrzaskanego ciała na schodach.

Pokonałem jedną kondygnację, potem następną i upewniłem się, że miałem rację. Schody były puste. Zwolniłem i zacząłem się rozglądać. Szukałem jakiegoś śladu. Wtem poczułem ten specyficzny zapach, który dochodził od Bennetta i był w biurze, gdzie odkryłem jego lalkę.

Na podeście i na pierwszym stopniu znajdowała się plama jakiegoś płynu, jakby ktoś wylał trochę wody. Przystanąłem i zanurzyłem palec w tej substancji. Powąchałem — tak, to był ten zapach, tylko odrobinę intensywniejszy.

Zauważyłem dwie dalsze plamy przebiegające przez podest; na schodach poniżej także była substancja, jakby ktoś niósł wodę w szklance i rozlewał ją. Zrozumiałem, że to ślad po człowieku, który nie powinien być już żyć. Mokra plama — to wszystko, co po sobie pozostawił.

Odczuwałem grozę; było tak cicho i pusto, wydawało się, że nic tu nie może istnieć, żadne uczucie, nawet strach. Być może owa pustka przydawała grozy, a przecież powinno być tutaj ciało. Plamy

wydzielające zapach wskazywały jednak, w którym kierunku udał się mężczyzna.

Zacząłem schodzić po schodach. Sparaliżowany strachem, zastanawiałem się, co zrobię, jeśli spotkam swojego prześladowcę czekającego na mnie na dole. Nic nie mogło powstrzymać mnie przed ucieczką. Pokonując po dwa stopnie naraz, zbiegłem na parter, czyniąc sporo hałasu.

Na krześle opartym o ścianę siedział pucybut i drzemał. Sprzedawca papierosów, wsparty o ladę, czytał gazetę. Poza nimi dwoma nie było nikogo.

Sprzedawca papierosów podniósł wzrok, chłopiec przechylił się do przodu, ale zanim któryś z nich zdążył coś powiedzieć, już byłem przy obrotowych drzwiach.

Znalazłem się na ulicy. Było tłoczno, tłum kupujących kierował się do centrum miasta. Zwolniłem. Czułem, że tutaj mogę być w miarę bezpieczny. Na rogu budynku zatrzymałem się, aby jeszcze raz popatrzeć na siedzibę McCandlessów. To był zwyczajny, noszący ślady upływu czasu budynek, który stał tu już bardzo długo i wkrótce miał być poddany rozbiórce. Nie zauważyłem w nim nic niezwykłego czy złowrogiego. Patrząc jednak na niego, zadrżałem, jakby owiał mnie zimny wiatr. Wiedziałem, czego teraz najbardziej potrzebuję, i ruszyłem ulicą.

Knajpka zaczynała się zapełniać. W mrocznym kącie ktoś grał na pianinie. Właściwie to tylko brzdąkał i trudno było wyłowić z tego jakąś melodię. Poszedłem na tył sali, gdzie nie było dużego ruchu, i znalazłem wolne miejsce przy barze.

— Co podać? — zapytał barman.

— Szkocką z lodem — rzuciłem. — Proszę od razu zrobić podwójną, zaoszczędzi pan czasu.

Przyniósł szklaneczkę i lód, z półki wybrał butelkę.

Ktoś usiadł na stołku obok mnie.

— Dobry wieczór — odezwał się barman. — Czym mogę służyć?

— Manhattan proszę.

Na ten głos odwróciłem się; było w nim coś, co przyciągnęło moją uwagę.

W wyglądzie dziewczyny również.

Miała niespotykaną urodę, co wcale nie usuwało w cień jej silnej osobowości.

Odwzajemniła moje spojrzenie — była zimna jak lód.

— Czy my się już gdzieś nie spotkaliśmy? — zapytała.

— Chyba tak — odparłem.

Była to blondynka, którą wyjąłem z pudełka po butach. Teraz miała już normalne rozmiary i oczywiście była ubrana.

12.

Barman postawił przede mną szkocką i zaczął przygotowywać manhattan. Miał znudzoną minę, prawdopodobnie często obserwował mężczyzn podrywających piękne kobiety.

— I to nie tak dawno — dodała dziewczyna.

— Tak — potwierdziłem — parę minut temu. Sądzę, że spotkaliśmy się w biurze.

Nawet jeżeli wiedziała, o czym mówię, to doskonale potrafiła to ukryć. Była zimna, wręcz lodowata, zbyt pewna siebie.

Otworzyła papierośnicę, wyjęła papierosa i przyłożyła go do ust. Czekala.

— Przepraszam — powiedziałem. — Nie mam ognia, nie palę.

Sięgnęła do torebki i wyjęła zapalniczkę.

Kiedy podałem jej ogień, nachyliła się w stronę płomienia i poczułem delikatny zapach fiołków lub jakichś innych perfum kwiatowych. Wyobraziłem sobie, że to fiołki.

I nagle dotarło do mnie coś, o czym powinienem pomyśleć już na samym początku. Bennett nie pachniał tak dziwnie z powodu płynu po goleniu, ale dlatego że zapomniał go użyć. Jego zapach był naturalny.

Dziewczyna zapaliła papierosa i odchyliła się do tyłu. Wypuściła dym przez nos z dużym wdziękiem.

Oddałem jej zapalniczkę; wrzuciła ją do torby.

— Dziękuję panu — powiedziała.

Barman postawił przed nią kieliszek manhattanu. Trunek pięknie wyglądał z umieszczoną w nim wiśnią.

— Za nas oboje — powiedziałem, podając barmanowi banknot.

— Ależ, proszę pana... — rzekła dziewczyna.

— Niech mi pani nie psuje szyków — odparłem. — Uwielbiam stawiać drinki pięknym dziewczynom.

Zgodziła się i patrzyła na mnie nadal dosyć chłodno.

— W ogóle pan nie pali? — zapytała.

Pokiwałem głową.

— Żeby zachować zmysł węchu?

— Co takiego?

— Zmysł węchu. Sądzę, że ma pan pracę, w której ten zmysł może okazać się bardzo pomocny.

— Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób — powiedziałem. — Ale być może rzeczywiście tak jest.

Podniosła kieliszek i przyglądała mi się uważnie.

— Proszę pana — odezwała się spokojnym, opanowanym głosem — czy chciałby pan sprzedać siebie?

Omam nie spadłem ze stołka.

Siedziałem i gapiłem się na dziewczynę. Wiedziałem, że nie żartuje; była bardzo poważna.

— Moglibyśmy zacząć, powiedzmy, od miliona — dodała — i ewentualnie podnieść cenę.

Odzyskałem wreszcie władze umysłowe.

— Chodzi o duszę — zapytałem — czy tylko o ciało? Z duszą kosztowałbym trochę więcej.

— Duszę może pan sobie zachować.

— Czy oferta pochodzi od pani?

Pokręciła głową.

— Nie. Ja nie miałabym z pana żadnego pożytku.

— Pani kogoś reprezentuje, czy tak? Firmę, która chce wykupić domy handlowe, a może nawet całe miasto.

— Szybko pan pojmuje — zauważyła.

— Pieniądze to nie wszystko — rzuciłem. — Są ważniejsze rzeczy.

— Możemy też zastanowić się nad innymi rzeczami, jeśli pan sobie życzy.

Odstawiła kieliszek, sięgnęła do torebki i podała mi wizytówkę.

— Jeżeli podejmie pan decyzję, proszę się ze mną skontaktować. Propozycja jest zawsze aktualna.

Zeskoczyła ze stołka i ruszyła w tłum, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć czy ją zatrzymać.

Barman, mijając mnie, popatrzył na nietknięte drinki.

— Coś nie w porządku z drinkami? — zapytał.

— Bynajmniej — odparłem.

Położyłem wizytówkę na barze. Zauważyłem, że leży odwrotną stroną. Wziąłem ją do ręki i nachyliłem się, żeby ją odczytać w słabym świetle żarówki.

Właściwie wiedziałem, co tam było napisane. Była tylko jedna różnica: zamiast „Handel nieruchomościami” widniało „Handlujemy wszystkim”.

Siedziałem na stołku, skulony i przejęty chłodem. W lokalu panował półmrok, miałem wrażenie, że unosi się w nim mgła. Zewsząd dobiegały oderwane fragmenty rozmów brzmiących nie jak ludzka mowa, ale jak pomruki jakichś potworów. Przez to wszystko przedzierało się jak nieprzyzwoity żart pobrzękiwanie pianina.

Wychyliłem szkocką i siedziałem, obracając szklaneczkę w dłoni. Poszukałem wzrokiem barmana, by zamówić następnego drinka, ale właśnie obsługiwał nowych gości.

Ktoś oparł się o bar i przewrócił łokciem kieliszek z manhattanem. Płyn rozlał się na wypolerowaną powierzchnię kontuaru jak brudny olej; nóżka pękła tuż przy czarce, która roztrzaskała się na kawałki. Wiśnia potoczyła się na samą krawędź blatu.

— Przepraszam. Ależ jestem niezdarny! — tłumaczył się mężczyzna.
— Kupię panu następnego drinka.

— Nie trzeba — powiedziałem. — Ona już nie wróci.

Zsunąłem się ze stołka i ruszyłem w stronę drzwi.

Na ulicy zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę.

13.

Ostatnie światła dnia zgasły i zapalono uliczne latarnie. Zegar umieszczony na budynku banku pokazywał szóstą trzydzieści. Musiałem się pośpieszyć, bo o siódmej miałem randkę z Joy i wiedziałem, że będzie zła, jeśli się spóźnię.

— Zapowiada się wspaniała noc — zauważył taksówkarz. — Jest ciepło, bezwietrznie i niedługo wzejdzie księżyc. Chciałbym wybrać się do lasu, by zapolować na szopy, razem z psem. Jest czarno—brązowy i ma najśłodsza mordę, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Poluje pan na szopy. — Bardziej stwierdziłem, niż zapytałem. Nie interesowało mnie to, ale było jasne, że kierowca oczekiwał ode mnie jakiejś reakcji.

Tego tylko potrzebował, prawdopodobnie na nic więcej nie liczył.

— Tak, polowałem już jako chłopiec. Mój ojciec zwykle zabierał mnie z sobą, miałem wtedy dziewięć czy dziesięć lat. Mówię panu, to wchodzi człowiekowi w krew. Kiedy przychodzi taka noc jak dzisiejsza, po prostu trudno wytrzymać, chce się zaraz jechać za miasto. O tej porze roku jest coś szczególnego w zapachu lasu. Wiatr tak niezwykle szumi wśród drzew, spadają liście, a w powietrzu czuć rychłe nadejście mrozów.

— Dokąd pan jeździ?

— Jakies siedemdziesiąt kilometrów na zachód, w górę rzeki. W korycie leży mnóstwo drzew.

— I jakie efekty? Ile pan upolował?

— Tu nie chodzi o szopy. Wielokrotnie wraca się z niczym. To tylko pretekst; tak naprawdę chodzi o to, by nacieszyć się lasem. Niech pan nie myśli, że jestem jednym z tych facetów, którzy namawiają wszystkich dokoła do kontaktów z przyrodą, ale po przyjacielsku panu

powiem, że wystarczy spędzić na łonie natury trochę czasu, by stać się lepszym człowiekiem.

Patrzyłem na bloki, które właśnie mijaliśmy. To było ciągle to samo stare, znane mi miasto, a jednak teraz wydawało się, że kryje ono w sobie mnóstwo pułapek, z ciemnych zaułków zaś spoglądają jakieś chytre oczy.

— Pan nigdy nie polował na szopy? — zapytał kierowca.

— Nie, nigdy. Czasem poluję na kaczki i wyjeżdżam do Dakoty Południowej na bażanty.

— Tak — przyznał kierowca. — Ja też to lubię, ale polowanie na szopy to coś specjalnego. — Zamilkł, a po chwili dodał: — Chociaż przypuszczam, że każdy woli co innego: pan kaczki i bażanty, a ja szopy. Znam pewnego starego dziwaka, który ma bzika na punkcie skunksów. Przyjaźni się z nimi i mógłbym przysiąc, że mówi do nich. Uważa, że nie ma nic lepszego niż skunksy. Przywołuje je, a one wdrapują mu się na kolana i pozwalają się głaskać jak koty. Prawdopodobnie potem zabiera je do domu, z czego są bardzo zadowolone. Mówię panu, to nie do wiary! Mieszka w chatce nad rzeką, w górach, a w całym obejściu roi się od skunksów. Pisze o nich książkę—pokazywał mi ją — ołówkiem na pospolitym, tanim papierze rysunkowym, jakiego dzieciaki używają w szkołach. Siedzi zgarbiony nad stołem z ogryzkiem ołówka w ręce i pisze. Od czasu do czasu musi polizać grafit, żeby lepiej pisał. Przyświeca sobie starą dymiącą lampą. Mówię panu, nie zdołał jeszcze napisać nic wartościowego. A szkoda, bo ma dużo dobrych pomysłów.

— Tak to właśnie jest — powiedziałem.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

— Pan mieszka w następnym domu, tak?

Potwierdziłem.

Kierowca zahamował.

— Może któreś nocy wybierze się pan ze mną na szopy? — zaproponował, — Zwykle zaczyna się około szóstej.

— Byłoby wspaniale — odparłem.

— Nazywam się Larry Higgins. Numer znajdzie pan w książce telefonicznej. Proszę do mnie kiedyś zadzwonić.

Obiecałem, że na pewno to zrobię.

14.

Wszedłem na górę i zobaczyłem, że ktoś uzupełnił brakujący kawałek dywanu przed moimi drzwiami. Byłbym tego nie zauważył, bo żarówka świeciła słabiej niż zwykle.

Omaliem nie stanąłem na tym półkolu, zanim zauważyłem zmianę. Dawno zapomniałem o dywanie; miałem na głowie tyle innych rzeczy.

Zesztywniałem, stojąc na samej krawędzi półkola, jakbym się znalazł nad przepaścią. Najśmieszniejsze było to, że wstawiono poprzedni stary, brudny i wytarty kawałek, a nie nowy.

Zastanawiałem się, czy to możliwe, by dozorca znalazł gdzieś, ukryty w jakimś kącie, wycięty kawałek dywanu. Uklęknąłem. Nie było znać, że z dywanu został wycięty fragment. Nie widziałem też śladu szwów. Pociągnąłem dłonią po powierzchni dywanu w miejscu, gdzie poprzednio było wycięte półkole. Tym razem nie była to papierowa imitacja maskująca pułapkę — wyczuwałem pod palcami strukturę dywanu. A jednak patrzyłem na niego z podejrzliwością. Już raz o mało co się nabrałem i nie chciałem, żeby to się powtórzyło.

Powoli wstałem, odnalazłem klucz i pochyliłem się ponad fragmentem dywanu, gdzie było półkole. Gdyby mnie ktoś zobaczył, pomyślałby, że zwariowałem — stać na środku korytarza i otwierać drzwi.

Otworzyłem drzwi i nie dotykając dywanu, jednym susem znalazłem się w mieszkaniu. Zamknąłem za sobą drzwi, przyłgnąłem do nich plecami i zapaliłem światło. Mieszkanie wyglądało jak zwykle. To był mój dom, gdzie mogłem znaleźć spokój i bezpieczeństwo. Naraz przypomniałem sobie, że mieszkanie będzie należało do mnie jeszcze tylko przez dziewięćdziesiąt dni.

Zadałem sobie pytanie, co będzie potem. Co stanie się nie tylko ze mną, ale ze wszystkimi ludźmi, z całym miastem?

Na wizytówce widniał napis „Handlujemy wszystkim”, tak jakby firma handlowała starociami, skupowała wszystko: butelki, kości, szmaty, cokolwiek ludzie mieli. Handlarze starociami byli uczciwi, robili to dla zysku. A ci ludzie — w jakim celu kupowali? W jakim celu kupował Fletcher Atwood? Z pewnością nie dla zysku, skoro zapłacił za firmę więcej, niż była warta, a potem ją zamknął.

Zdjąłem płaszcz i rzuciłem go na krzesło, na wierzchu położyłem kapelusz. Wyjąłem z szuflady biurka książkę telefoniczną i otworzyłem ją na nazwisku „Atwood”. Wielu ludzi nosiło takie nazwisko, ale żaden z nich nie miał na imię Fletcher. Nie znalazłem nawet jednego imienia zaczynającego się na literę „f”.

Zatelefonowałem do informacji.

Telefonistka po sprawdzeniu danych odpowiedziała mi śpiewnym głosem:

— Nikt o takim nazwisku nie jest u nas zarejestrowany.

Odłożyłem słuchawkę. Zacząłem się zastanawiać, co mam robić. Sytuacja była krytyczna i wymagała natychmiastowego działania, tylko od czego należało zacząć? I co właściwie można było zrobić, kiedy ktoś wykupywał całe miasto?

Ale przede wszystkim jak to wytłumaczyć w przekonujący sposób?

Zastanawiałem się, kto mógłby mi uwierzyć, ale nie miałem większych nadziei. Oczywiście, był stary i właściwie jemu powinienem o tym powiedzieć, chociażby dlatego że pracowałem dla niego. Gdybym jednak choć słówkiem wspomniał mu o dziwnych wydarzeniach, prawdopodobnie wyrzuciłby mnie z pracy za opowiadanie bzdur.

Byli poza tym: burmistrz, szef policji, sędziowie, prokurator okręgowy, ale na pewno nie uwierzyliby mi i natychmiast znalazłbym się w szpitalu dla wariatów albo w areszcie.

Postanowiłem w końcu zwrócić się do senatora Rogera Hilla. Rog przynajmniej mnie do końca wysłucha. Wyciągnąłem rękę w stronę

telefonu, lecz zaraz ją cofnąłem. Co powiem Rogerowi, kiedy uzyskam połączenie z Waszyngtonem?

W myślach dobierałem odpowiednie słowa: „Słuchaj, Rog, ktoś próbuje kupić miasto. Włamałem się do biura, gdzie znalazłem umowy, wieszak z ubraniami i pudełko po butach pełne lalek. W ścianie była wielka dziura...

To było śmieszne, zbyt fantastyczne, bym mógł mieć nadzieję, że ktoś mi uwierzy. Gdyby jakiś człowiek próbował opowiedzieć mi taką historię, pomyślałbym, że ma nie po kolei w głowie.

Zanim zwrócę się z tym do kogokolwiek, muszę zebrać więcej dowodów, przyskrzynić organizatorów tej akcji, by pokazać, kto to robi, jak i dlaczego. Trzeba zacząć od Fletchera Atwooda, znaleźć go, gdziekolwiek przebywa. Wiedziałem o nim już dwie rzeczy: nie miał telefonu i przed paru laty kupił dom Belmontów na Timber Lane. Oczywiście, nie mogłem mieć pewności, że tam mieszka, ale był to przynajmniej jakiś punkt zaczepienia. Jeśli Atwooda tam nie będzie, nawet jeśli nigdy go tam nie było, to istniała możliwość, że znajdę przynajmniej następną wskazówkę.

Zegarek wskazywał za kwadrans siódmą. Musiałem zabrać Joy i nie miałem czasu się przebrać. Miałem zamiar tylko zmienić koszulę i wybrać odpowiedni krawat; wiedziałem, że Joy nie przywiązuje do stroju zbyt wielkiej wagi. W końcu chcieliśmy tylko zjeść razem kolację.

Wszedłem do sypialni; nie zapaliłem światła, bo lampa z pokoju wystarczająco ją oświetlała. Wyjąłem z szuflady koszulę, zdjąłem z niej plastikową torbę z pralni, Strząsnąłem ją i powiesiłem na oparciu krzesła. Podeszedłem do szafy. Kiedy otwierałem drzwi, uświadomiłem sobie, że jest zbyt ciemno, by znaleźć odpowiedni krawat, i postanowiłem zapalić światło. Zamknąłem drzwi. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem; mogłem równie dobrze zostawić je otwarte i podejść do kontaktu.

Wtem zobaczyłem, wyczułem czy usłyszałem — sam dokładnie nie wiem — jakiś ruch. Jak gdyby ubrania ożyły i czekały na mnie, jakby

krawaty uległy metamorfozie i teraz już jako węże wisiały nieruchomo, gotowe w odpowiedniej chwili zaatakować.

Gdybym zwlekał z zamknięciem szafy, by przyjrzeć się, co się w niej dzieje, mogłoby już być za późno.

Zacząłem wycofywać się w stronę drzwi, jak najdalej od niebezpieczeństwa czającego się w szafie. Byłem przerażony. To chyba całkiem zrozumiałe, skoro nawet własny dom zastawia na człowieka pułapki.

Nie mogłem opanować strachu, choć próbowałem sobie wytłumaczyć, że to wszystko jest niemożliwe. Gdyby krzesła wysuwały szczęki i chwytaly siadającego na nich człowieka, dywany usuwały się zdradziecko spod nóg, lodówka zniecka przewracała się — to jeszcze można zrozumieć. Ale w szafie nie mogło być nic złego, bo szafa jest niemal częścią człowieka. Tutaj wieszka się swoją drugą, sztuczną skórę i dlatego szafa jest bliższa niż inne meble.

Mimo że powtarzałem to sobie, zza drzwi szafy dochodziło szalone furkotanie ubrań. Choć to dziwnie zabrzmiało, niechętnie wycofałem się z sypialni. Przejęty, stanąłem tuż za drzwiami i wpatrywałem się w półmrok. Jeśli nie oszalałem i nie straciłem zmysłów, to nie mogłem zaprzeczyć, że tam coś było. Coś, co, jak sądziłem, wiązało się z pułapką zastawioną pod moimi drzwiami i ze zwykłym pudełkiem po butach wypełnionym niezwykłymi lalkami.

Zadawałem sobie pytanie, dlaczego akurat ja? Jeśli wziąć pod uwagę włamanie do biura, lalki i spotkanie z dziewczyną, która zamówiła drinka, to było nawet zrozumiałe: mogłem stać się ofiarą z powodu tych wydarzeń. Ale pułapkę znalazłem wcześniej i od niej się wszystko zaczęło.

Wyteżyłem słuch — nic nie było słyhać; albo dźwięki dochodzące z szafy musiały ustać, kiedy się oddaliłem, albo tłumiła je ściana.

Podszedłem do komody, gdzie przechowywałem broń, otworzyłem jedną z szuflad i wyjąłem pistolet. Odnalazłem pudełko z nabojami, naładowałem magazynek i wsunąłem go na miejsce.

Wyjąłem z pudełka pozostałe naboje i wrzuciłem je do kieszeni. Założyłem płaszcz, włożyłem pistolet do prawej kieszeni i zacząłem szukać kluczyków od samochodu. Nie znalazłem ich ani w płaszczu, ani w marynarce, ani w spodniach. Miałem w pęku wiele kluczy: od drzwi wejściowych, od szafki z bronią, od biurka w redakcji, od skrytki i jeszcze wiele innych o nieznanym przeznaczeniu — taka śmieszna kolekcja, której nie miałem czasu się pozbyć. Brakowało jednak kluczyków od samochodu. Przeszukałem biurko, sprawdziłem w kuchni — bezskutecznie.

W kuchni przypomniałem sobie, gdzie je zostawiłem: na pewno tkwiły w stacyjce w samochodzie. Kiedy dzisiaj wróciłem z pracy, musiałem je tam zostawić, to było jasne jak słońce. Nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło.

Ruszyłem do wyjścia, ale po paru krokach zatrzymałem się. Wiedziałem, że nie mogę iść na parking i wsiąść do otwartego samochodu z kluczykami w stacyjce. To brzmi głupio i nielogicznie, ale nie mogłem nic na to poradzić. Gdybym nie zostawił kluczyków w samochodzie, wyszedłbym na parking. Jednak pozostawienie ich w stacyjce wiązało się z nieznanym, irracjonalnym niebezpieczeństwem.

Włosy zjeżyły mi się ze strachu, ręce się trzęsły, co uświadomiłem sobie dopiero patrząc na nie.

15.

Była siódma — Joy już na mnie czekała. Będzie wściekła, że nie jestem punktualny — nie mogłem jej o to obwiniać.

„Ani minuty później — powiedziała. — Szybko robię się głodna”.

Podszedłem do biurka, by sięgnąć po słuchawkę, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Przyszła mi do głowy przerażająca myśl. Może to już nie jest telefon? Może wszystko w tym pokoju jest czym innym, niż mi się wydawało? Może wszystkie przedmioty zamieniły się w pułapki?

Wyjąłem z kieszeni pistolet i ostrożnie dotknąłem lufą telefonu. Na szczęście okazał się zwyczajny, nie zmienił się w nic innego. Podniosłem słuchawkę, trzymając wciąż pistolet, położyłem ją na biurko i wykręciłem numer. Czekaając na połączenie, zastanawiałem się, co mam powiedzieć.

Po chwili odezwała się Joy.

— Coś cię zatrzymało? — zapytała odrobinę za słodko.

— Joy, mam kłopoty.

— Jakie tym razem?

Kpiła sobie ze mnie — rzadko miewałem kłopoty.

— Mam na myśli prawdziwe kłopoty — odpowiedziałem. — Nie mogę z tobą dzisiaj zjeść kolacji.

— Biedactwo, już po ciebie jadę.

— Joy! — krzyknąłem — posłuchaj mnie, na Boga! Trzymaj się ode mnie z daleka. Wiem, co robię, wierz mi. Może jutro będę się czuł jak głupiec, ale...

— Jesteś trzeźwy, Parker?

— Przysięgam, że wolałbym nie być trzeźwy.

— Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

— Tak — odpowiedziałem. — Ale coś jest w mojej szafie, a przed drzwiami leżała pułapka. Znalazłem też pudełko z lalkami... — urwałem, bo przecież wcale nie chciałem jej tego powiedzieć. Miałem ochotę odgryźć sobie język.

— Zostań na miejscu — rzuciła Joy. — Będę za parę minut.

— Joy! — krzyknąłem — Joy, nie rób tego!

Rozmowa została przerwana.

Zrozpaczony, stuknąłem w widełki i ponownie wykręciłem numer. Pomyślałem, że Joy jest szalona, naiwna i że muszę ją powstrzymać. Dzwoniłem bez przerwy, ale słyszałem tylko przerażająco pusty dźwięk.

Szkoda, że nie udawałem zalanego w pestkę — byłoby jasne, że w takim stanie nie mogę zabrać Joy na kolację. Z pewnością Joy wpadłaby w szal i odłożyła słuchawkę. Mogłem też wymyślić jakąś w miarę wiarygodną historyjkę, tylko że nie miałem na to czasu. Byłem zbyt przerażony, by myśleć logicznie.

Odłożyłem słuchawkę, wziąłem kapelusz i ruszyłem do wyjścia. Przy drzwiach zatrzymałem się, by popatrzeć na pokój. Wydawał mi się obcy, jakbym nigdy przedtem go nie widział, pełen szelestów i szeptów. Pokój, w którym o mało co nie wpadłem w pułapkę.

Otworzyłem drzwi, wyskoczyłem na korytarz i biegiem ruszyłem w dół. Dotarłem na parter i wyszedłem na ulicę. Wieczór był spokojny i bezwietrzny, w powietrzu unosił się zapach palonych liści.

Naraz usłyszałem tupot — rytmiczny i dziwny. Zza rogu budynku, z ulicy prowadzącej na parking wyskoczył pies. Biegł rażno, wymachując figlarnie ogonem. Był wielkości żrebaka i tak kudłaty, że niemal bezkształtny.

— Cześć, piesku — powiedziałem, a on podszedł do mnie i usiadł. W psiej ekstazie zaczął uderzać ogonem o chodnik.

Wyciągnąłem rękę, żeby go pogłaskać, ale nie zdążyłem tego zrobić, bo właśnie nadjechał samochód i zahamował ostro tuż przy mnie.

Znajdowaliśmy się w jednym z tych banalnych miejsc, które Joy tak uwielbiała — nie był to jednak nowy nocny klub na Pinecrest Drive. Tylko Joy jadła, ja nie.

Doprawdy, kobiety są niesamowite. Opowiedziałem Joy o wszystkim. Już tyle powiedziałem jej przez telefon zupełnie nierozważnie, że musiałem wyjawić całą resztę. W rzeczywistości nie było powodów, dla których miałbym coś przed Joy ukrywać. Wyszła z tego naprawdę soczysta historyjka, Joy zaś dalej jadła, słodka i spokojna, jakbym przekazywał jej najnowsze ploteczki redakcyjne.

Mogłoby się wydawać, że nie uwierzyła ani jednemu mojemu słowu, choć jestem pewien, że tak nie było. Może widząc, że jestem zdenerwowany (a kto na moim miejscu nie byłby zdenerwowany?), chciała mnie po prostu uspokoić, jak to potrafią kobiety.

— Parker, proszę cię, jedz — powiedziała. — Musisz normalnie jeść, bez względu na to, co się dzieje.

Spojrzałem na talerz i zacisnąłem usta. Nie na widok tego, co było na talerzu, ale na samą myśl o jedzeniu. Zresztą w promieniach świateł i tak nie mógłbym dojrzeć, co miałem na talerzu.

— Joy, dlaczego bałem się iść na parking? — dopytywałem się.

To mi nie dawało spokoju, to mnie bolało.

— Bo jesteś tchórzem — stwierdziła Joy.

Niewiele mi tym pomogła.

Zacząłem dłużyć w daniu; smakowało tak, jak się tego można spodziewać po jedzeniu, którego się nie widzi. Mała orkiestra, jakie zwykle spotyka się w takich miejscach, grała jakąś dźwięczną melodię. Rozejrzałem się dokoła, myśląc o pułapce zastawionej na mnie w szafie. W tej przytulnej atmosferze to, co działo się w domu, wydawało się nierealne niby koszmar. Wiedziałem jednak, że to było prawdziwe. Na zewnątrz tego ciepłego gniazdka była groźna rzeczywistość, z którą nikt się dotąd nie spotkał. Ja się o nią otarłem.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytała Joy, jakby czytała w moich myślach.

— Nie wiem — odpowiedziałem.

— Jesteś dziennikarzem, a to jest historia czekająca na twoje pióro. Tylko proszę cię, Parker, uważaj na siebie.

— Oczywiście, będę uważał.

— Jak sądzisz, o co w tym chodzi?

Bezradnie pokręciłem głową.

— Ty w to nie wierzysz — zauważyłem. — W tej chwili sam nie wiem, jak ktokolwiek mógłby mi uwierzyć.

— Wierzę w twoją interpretację tych wydarzeń, ale czy ona jest właściwa?

— To jedyna, jaką mam.

— Byłeś w nocy pijany, mówiłeś, że aż chwiałeś się na nogach. Pułapka...

— Ale wycięty dywan widziałem także na trzeźwo. Poza tym to biuro...

— Przeanalizujmy to po kolei, krok po kroku — zaproponowała Joy.

— Nie możesz dać się temu przytłoczyć. Nie możesz pozwolić, żeby cię to zwaliło z nóg.

— Właśnie! — wykrzyknąłem. — Właśnie coś sobie przypomniałem.

— Nie krzycz — powiedziała Joy. — Ludzie zaczną się nam przyglądać.

— Zapomniałem jeszcze o kulach do gry w kręgle — rzekłem. — Ulicą toczyło się kilkanaście kul do gry w kręgle.

— Parker!

— Na Timber Lane. Joe Newman telefonował, żeby mi o tym powiedzieć.

Widziałem wyraz twarzy Joy po drugiej stronie stolika — wyglądała na przestraszoną. Zgodziła się ze wszystkim, co powiedziałem, ale kule do gry w kręgle wyczerpały jej cierpliwość. Myślała, że oszalałem.

— Przepraszam — powiedziałem najdelikatniej, jak umiałem.

— Ależ, Parker, kule do gry w kręgle toczą się ulicą!

— Uroczyście, jedna za drugą.

— I Joe Newman to widział?

— Nie, Joe nie widział, jakieś dzieciaki ze średniej szkoły. Zatelefonowały, a potem Joe przekazał to mnie. Powiedziałem mu, żeby o tym zapomniał.

— W pobliżu domu Belmontów?

— Tak, właśnie tam. Widzisz więc, że to się wszystko z sobą wiąże. Sam nie wiem jak, ale to jest na pewno z sobą powiązane!

Odsunąłem talerz i wstałem od stolika.

— Parker, dokąd idziesz?

— Najpierw mam zamiar zabrać cię do domu. A potem, jeśli pożyczysz mi samochód...

— Oczywiście, ale... ach, już rozumiem, dom Belmontów

16.

Pośród drzew okrytych ciemnością królował wielki ciemny kształt — dom Belmontów. Zatrzymałem samochód na wzniesieniu, niedaleko jeziora i wyłączyłem silnik. Słyszałem szum fal sunących po plaży. Na wodzie i wysoko w jednym z okien domu odbijał się księżyc. W nocnej ciszy szelest suchych liści brzmiał jak ukradkowe stąpanie wielu małych nóg.

Wysiadłem z samochodu i delikatnie zamknąłem drzwi, żeby nie robić hałasu. Stałem, przyglądając się domowi. Nie mogę powiedzieć, że się bałem, ale też nie czułem się zbyt pewnie.

Pomyślałem, że tu też mogą być pułapki, choć innego rodzaju niż ta przed moim mieszkaniem. Naprawdę szatańskie pułapki.

Musiałem zbesztać sam siebie za taką głupotę, bo, na chłopski rozum, było to przecież niemożliwe. Gdyby zastawiono tu jakieś pułapki, mógłby w nie wpaść ktoś niewinny — ktoś przechodzący na skróty w kierunku jeziora albo bawiące się dzieci, które zawsze znęci widok opuszczonego domu. Dom mógłby ściągnąć na siebie uwagę ludzi, czego pewnie właściciel sobie nie życzył. Pułapek mogłem się spodziewać jedynie w domu, choć po zastanowieniu i to uznałem za mało prawdopodobne. Ktokolwiek to był, mógł rozprawić się z intruzem na swoim własnym terenie bez uciekania się do pułapek.

Powiedziałem sobie, że wiązanie domu Belmontów z poprzednimi wydarzeniami prawdopodobnie jest błędne, ale musiałem to sprawdzić.

Ruszyłem w kierunku domu. Byłem napięty, przygotowany na odparcie nagłego ataku. Bezskutecznie próbowałem się rozluźnić

Wszedłem po schodach do drzwi frontowych i zawahałem się nie wiedząc, co robić. Na początek wybrałem uczciwy sposób: chciałem zadzwonić lub zapukać. W ciemnościach odszukałem przycisk

dzwonka. Poruszał się luźno pod moim palcem — zrozumiałem, że dzwonek nie działa. Mimo to przycisnąłem go kilkakrotnie; z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Zapukałem — w nocnej ciszy zabrzmiało to bardzo głośno.

Czekałem, ale nic się nie wydarzyło. Przez moment wydawało mi się, że słyszę kroki, nie powtórzyły się jednak — widocznie musiałem się przesłyszeć.

Zszedłem ze schodów i okrążyłem dom. Zaniedbane od wielu lat krzewy utworzyły gęsty żywopłot. Suche liście szeleściły pod stopami, w powietrzu unosił się ostry, cierpki zapach jesieni.

Piąte okno okazało się nie zamknięte.

Pomyślałem, że to zbyt proste. Jeżeli szukałem pułapki, mogła kryć się właśnie tutaj. Podniosłem okno i czekałem, ale nic się nie stało. Słyszać było tylko szum wody i wiatru w koronach drzew. Upewniłem się, czy mam w kieszeni pistolet i latarkę elektryczną, którą wziąłem ze schowka w samochodzie Joy.

Zebrałem się w sobie, zręcznym susem przesadziłem parapet i znalazłem się w pokoju. Przesunąłem się szybko na bok i przyłgnałem do ściany, by nie być widocznym na tle okna. Wstrzymałem oddech.

Nic się nie zmieniło, nie poruszyło, nie rozległ się żaden dźwięk. Wyjąłem z kieszeni latarkę i omiotłem pokój strumieniem światła. Meble były przykryte pokrowcami, na ścianach wisiały obrazy, na kominku stało jakieś trofeum. Wyłączyłem latarkę i zacząłem szybko posuwać się wzdłuż ściany, na wypadek gdyby ktoś ukrywał się wśród poprzykrywanych mebli i zechciał mnie zaatakować.

Nic takiego się nie stało.

Przystanąłem.

To był nadal zwyczajny pokój.

Wyszedłem cichutko na korytarz, zajrzałem do kuchni, jadalni i do gabinetu, gdzie ogołoczone z książek półki wyglądały jak uśmiech bezzębnego starca. Nie znalazłem nic ciekawego.

Zostawiałem ślady na pokrytej kurzem podłodze. Wszystkie meble były przykryte pokrowcami, cały dom pachniał trochę pleśnią. Sprawiał wrażenie, jakby z nieznanego powodu ludzie dawno go opuścili, bez zamiaru powrotu.

Pomyślałem, że niepotrzebnie tu przyszedłem. Nie było tu nic ciekawego — dałem się ponieść wybujałej wyobraźni.

Ale skoro już tu byłem, powinienem przynajmniej maksymalnie to wykorzystać. Chciałem jeszcze rzucić okiem na piętro i piwnicę. Skierowałem się do holu, w stronę spiralnych schodów z błyszczącymi poręczami. Wszedłem na trzeci stopień, kiedy nagle zatrzymał mnie jakiś głos.

— Panie Graves — usłyszałem.

To był normalny, czysty głos kogoś niewątpliwie kulturalnego. Była w nim nutka pytania, ale i zachęty do rozmowy. Mimo to ze strachu podniosły mi się włosy na głowie.

Odwróciłem się, sięgając do kieszeni po pistolet.

Już go niemal wyjąłem, kiedy ponownie odezwał się głos:

— Nazywam się Atwood. Przepraszam, że dzwonek jest zepsuty.

— Pukałem — powiedziałem.

— Nie słyszałem pańskiego pukania, pracowałem na dole.

Wreszcie dostrzegłem ciemną postać. Wsunąłem pistolet do kieszeni.

— Moglibyśmy pójść na dół — zaproponował mężczyzna — i uciąć sobie miłą pogawędkę. Tu raczej nie ma na to miejsca.

— Jak pan woli — zgodziłem się.

Zszedłem ze schodów i podążyłem za mężczyzną w stronę drzwi prowadzących do sutereny. Przyjrzałem mu się, kiedy weszliśmy na oświetlone schody. Wyglądał bardzo przeciętnie — na spokojnego, miłego, godnego zaufania człowieka.

— Lubię siedzieć tu na dole — powiedział Atwood, schodząc beztrudno i lekko. — Poprzedni właściciel miał tu salę przeznaczoną do

rozrywki. Uważam ją za najlepszą część tego domu, jedyną nadającą się do mieszkania. Chyba dlatego że jest ona stosunkowo nowa.

Znaleźliśmy się na dole i skręciliśmy do sali rozrywkowej. Było to duże pomieszczenie, zajmowało całą długość sutereny. W każdej ścianie umieszczono kominek, tu i tam stały meble. Podłoga wyłożona była czerwonymi płytkami. Przy jednej ścianie stał zavalony papierami stół, a naprzeciwko w wewnętrznej ścianie budynku była dziura — okrągła dziura na wylot wielkości kuli do gry w kręgle. Wpadające przez nią zimne powietrze owiewało mi kostki. Czułem też słaby zapach płynu po goleniu.

Kątem oka dostrzegłem, że Atwood obserwuje mnie, i starałem się zachować nie zmieniony wyraz twarzy. Widocznie mi się to udało, bo Atwood nie uśmiechał się — prawdopodobnie byłby zadowolony, gdyby zauważył u mnie zdziwienie czy strach.

— Ma pan rację, to pomieszczenie bardzo nadaje się na mieszkanie.

Powiedziałem to, by przerwać milczenie. To miejsce nie nadawało się na mieszkanie, przynajmniej dla ludzi. Warstwa kurzu na podłodze była niemal tak gruba jak na parterze, a po kątach walały się najróżniejsze rupiecie.

— Zechce pan usiąść. — Atwood wskazał mi wyściełane krzesło stojące przy stole.

Kiedy szedłem w stronę krzesła, coś zaszeleściło mi pod nogami. Spojrzałem w dół i zobaczyłem kawałek folii, która walała się po całej podłodze.

— To zostało po poprzednim właścicielu — niedbale stwierdził Atwood. — Któregoś dnia zabiorę się tutaj do sprzątnięcia.

Usiadłem na wskazanym mi krześle.

— Pański płaszcz — powiedział Atwood.

— Wolę go zatrzymać, tu chyba jest przeciąg.

Obserwowałem jego twarz, ale pozostała bez wyrazu.

— Szybko pan się orientuje — stwierdził. W jego głosie nie było groźby. — Może trochę za szybko.

Milczałem.

— Jestem zadowolony, że pan przyszedł — dodał. — Nieczęsto spotyka się tak bystrych ludzi jak pan.

— To znaczy, że chce mi pan zaproponować pracę w waszej organizacji? — zażartowałem.

— Miałem taki zamiar — przyznał Atwood cichym głosem.

— Wątpię, czybym się wam na coś przydał. Zrobiliście kawał dobrej roboty, wykupując całe nasze miasto.

— Miasto! — krzyknął gniewnie Atwood.

Skinąłem głową.

Atwood odwrócił stojące przy stole krzesło i ostrożnie usiadł.

— Widzę, że pan nic nie rozumie — powiedział. — Muszę wyprowadzić pana z błędu.

— Bardzo proszę — rzekłem. — Właśnie po to tu jestem.

Atwood pochylił się do przodu.

— Nie miasto — powiedział cichym napiętym głosem. — Proszę mnie tak nisko nie cenić. Znacznie więcej niż miasto, panie Gra—ves. Wielokrotnie więcej, i myślę, że mogę to panu powiedzieć, bo już nic mnie nie powstrzyma. Kupuję całą Ziemię!

17.

Niektóre pomysły są tak potworne, przewrotne i oburzające, że potrzeba trochę czasu, by się z nimi oswoić. Do takich należała między innymi myśl, że ktoś mógłby kupić Ziemię. Pokonać ją — oczywiście, bo to jest stara, dobrze znana tradycja, podtrzymywana przez wielu ludzi. Zniszczyć ją — to też jest zrozumiałe, byli przecież tacy szaleńcy, dla których groźba zniszczenia naszej planety była elementem, jeśli nie podstawą, ich polityki. Ale kupić Ziemię? To było nie do pomyślenia.

Przede wszystkim dlatego że nikt nie miałby tyle pieniędzy. A gdyby nawet, to nadal zakrawało to na czyste szaleństwo, bo co można było zrobić z całą planetą? A po trzecie, to było nieetyczne i wbrew zwyczajom. Nikt przecież nie rujnuje doszczętnie swoich partnerów w interesach. Może ich wchłonąć lub kontrolować, ale nie zabić.

Atwood siedział na krześle, czujny jak jastrząb. Musiał coś wyczytać z mojego milczenia.

— Nie ma w tym nic złego — powiedział. — To jest całkowicie legalne.

— Tak też przypuszczam — rzekłem, choć wiedziałem, że to jest jedno wielkie oszustwo. Gdybym tylko mógł zebrać myśli, powiedziałbym mu, co w tym jest złego.

— Działamy według ludzkich zasad. Przestrzegamy ludzkich praw i przepisów. Nie łamiemy nawet waszych niepisanych zwyczajów. Nie pogwałciliśmy ani jednego paragrafu prawa, choć powiem panu, przyjacielu, że nie jest to wcale taka łatwa sprawa. Rzadko daje się cokolwiek zrobić, nie łamiąc przy tym waszych zwyczajów.

Próbowałem coś powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle. To było bez znaczenia, nawet nie wiedziałem, co chciałem powiedzieć.

— Nasze pieniądze i papiery wartościowe są w porządku — przekonywał mnie Atwood.

— Jest tylko jeden problem — zauważyłem — macie ich za dużo, o wiele za dużo.

Jednak co innego niż pieniądze zajmowało moje myśli, coś o wiele ważniejszego. Zastanowiły mnie słowa, których użył Atwood, i sposób, w jaki to zrobił. Powiedział „nasze”, mając na myśli siebie i swoich wspólników, oraz „wasze” na określenie całego świata, który nie należał do jego grupy. I nacisk, z jakim mówił o działaniu według ludzkich praw.

Czułem, jakby mi się rozdziwił umysł — jakby jedna część krzyczała z przerażenia, podczas gdy druga nakazywała rozsądek. To było zbyt potworne, by mogło być prawdą.

Rozwścieczył mnie uśmiech Atwooda. Przerażona połowa mojego rozdwojonego umysłu zatriumfowała. Wstałem z krzesła i sięgnąłem do kieszeni po pistolet.

Zabiłbym go w jednej chwili, bez zastanowienia i bezlitośnie. Strzelałbym, by zabić, jak zabija się jadowitego węża czy muchę — nie inaczej.

Nawet nie miałem szansy pociągnąć za spust.

Atwood zniknął.

Nie wiem, jak to powiedzieć, nie ma na to odpowiednich słów. Nikt z ludzi nie widział dotąd czegoś takiego. Atwood nie znikł, nie zapadł się w siebie. Cokolwiek to było, zrobił to w mgnieniu oka. W jednej chwili siedział na krześle, a w następnej już go nie było.

Rozległ się cichy brzęk, jak gdyby ktoś upuścił lekki metalowy przedmiot. Na podłodze pojawiła się gromada kul czarnych jak węgiel. Przedtem ich nie było.

Mój mózg musiał wykonać jakieś skomplikowane akrobacje, choć nie zdawałem sobie z tego sprawy. Zdaje się, że od tej chwili robiłem wszystko instynktownie, niemal bez namysłu — nieświadomy

powiązania przyczyn i skutków, nieświadomy poleceń wydawanych mi przez mózg.

Rzuciłem pistolet, złapałem kawał plastikowej folii, leżący na podłodze i ruszyłem do dziury w ścianie, skąd wpadały zimne podmuchy wiatru.

Kule zbliżały się do mnie, kierując w stronę otworu w ścianie. A ja, już przygotowany, czekałem na nie, zastawiając im folią drogę ucieczki.

Pierwsza kula uderzyła w folię i zagięła ją. Cztery następne wpadły za nią. Ściągnąłem brzegi folii i wyciągnąłem ją z otworu. W środku hałasowały podniecone czarne kule. Po podłodze toczyły się jeszcze te kule, które wystraszyły się pułapki, uciekły na boki, a teraz szukały jakiejś kryjówki.

Podniosłem plastikową torbę i potrząsnąłem nią, żeby kule w środku ułożyły się lepiej na dnie. Mocno skręciłem brzegi mojej prowizorycznej torby i przerzuciłem ją przez ramię. Wkoło rozlegały się szepty i odgłosy toczących się kul.

— W porządku! — krzyknąłem. — Uciekajcie do swojej dziury! Uciekajcie tam, skąd przyszłyście!

Nie było żadnej odpowiedzi. Wszystkie kule już się pochowały w cieniu poustawianych wokoło gratów. Teraz obserwowały mnie, może nie widziały, tylko wyczuwały; śledziły moje ruchy, nieważne jak.

Podążyłem w stronę drzwi i nadepnąłem na coś. Aż podskoczyłem ze strachu.

To był mój pistolet, o którym zdążyłem już zapomnieć.

Stałem, patrząc na niego i czułem, jak cały drzę wewnątrz; byłem tak spięty, że to się nie mogło ujawnić na zewnątrz. Chciałem dzwonić zębami i nie mogłem, bo miałem tak mocno zaciśnięte szczęki, że aż rozboleły mnie mięśnie twarzy.

Byłem śledzony ze wszystkich stron, przez otwór w ścianie wpadał zimny wiatr, a na ramieniu trzymałem torbę ze schwytanymi niespokojnymi i trochę rozszluszczonymi kulami. I ta pustka — pustka pomieszczenia, gdzie było dwóch ludzi, a teraz nagle został tylko jeden.

A najgorszy w tym wszystkim był pusty, szalony skowyt wypełniający cały wszechświat wraz z Ziemią, która utraciła swe znaczenie i kulturę i staczała się w przepaść, nawet o tym nie wiedząc.

I jeszcze ten zapach — zapach, który czułem tego ranka — woń tych stworzeń, czymkolwiek one były. Nie wiedziałem, skąd pochodzą ani jaki mają cel, ale na pewno nie były to ziemskie istoty, nie pochodziły z naszej starej, ojczystej planety. Nigdy przedtem człowiek nie spotkał się z czymś takim.

Trudno było uświadomić sobie, że oto stoję w obliczu istot z kosmosu, z jakiejś innej planety. Innej odpowiedzi nie było. Zsunąłem torbę z ramienia i schyliłem się, by podnieść pistolet, kiedy zauważyłem coś obok. Nie podniosłem pistoletu, lecz ów przedmiot i kiedy już trzymałem go w dłoniach, spostrzegłem, że to lalka. Nawet nie musiałem się jej przyglądać — wiedziałem, co to za lalka. Pamiętałem, że w chwili, kiedy zniknął Atwood, rozległ się cichy, metaliczny dźwięk.

Nie myliłem się: lalka była doskonałą imitacją Atwooda. Oddawała każdy szczegół budowy jego ciała, każdą zmarszczkę na twarzy; czułem, jakbym naprawdę dotykał jego ciała. Miało się wrażenie, że ktoś wziął żywego Atwooda i zmniejszył go do rozmiarów jednej setnej jego naturalnej wielkości, bardzo przy tym uważając, by nie naruszyć właściwych proporcji.

Wrzuciłem lalkę do kieszeni, podniosłem pistolet i wyprostowałem się. Ponownie zarzuciłem torbę na ramię i ruszyłem przez suterенę w stronę schodów.

Chciałem biec, ale wysiłkiem woli się od tego powstrzymałem. Zmusiłem się, żeby iść, jakbym się nie bał. Jakby nic na całym bożym świecie, czy raczej w całym kosmosie, nie mogło przestraszyć człowieka, zmusić go do ucieczki. Przecież musiałem im to pokazać!

Pod wpływem natchnienia czy instynktu zrozumiałem, że muszę im pokazać, że w tej chwili działam w imieniu całej ludzkości. Musiałem zademonstrować im ludzką odwagę, determinację i wrodzoną wytrwałość.

Nie wiem, jak to zrobiłem, ale udało się — bez pośpiechu dotarłem do schodów i wspiąłem się na nie; przez cały czas zdawało mi się, że czuję na plecach dotyk ich macek. Wszedłem do korytarza i uważnie zamknąłem za sobą drzwi.

Uwolniony od uciążliwej obecności istot i od konieczności udawania, dotarłem jakoś do frontowych drzwi i zdołałem je otworzyć. Czyste powietrze znad jeziora przewietrzyło moje nozdrza i umysł z zapachu stęchlizny.

Oparłem się o drzewo. Byłem słaby i nie mogłem złapać tchu, jakbym właśnie skończył wyścig. Było mi niedobrze, drżałem, zaciskając usta. Zwymiotowałem; smak żółci w ustach nie wydał mi się aż tak nieprzyjemny. To było jak smak nagiego człowieczeństwa.

Oparłem czoło o szorstką korę pnia i doznałem pocieszenia. To był bezpośredni kontakt ze światem, który znałem. Słyszałem szum fal uderzających o brzegi jeziora i martwy taniec suchych liści, wiszących jeszcze na drzewach. Z daleka dochodziło stłumione szczekanie psa.

W końcu wyprostowałem się i otarłem rękawem usta. Należało zacząć działać — miałem już dowody. Miałem worek pełen tego czegoś i musiałem komuś o tym powiedzieć.

Poprawiłem swój tobołek i znowu poczułem delikatną woń tych obcych istot. Czułem słabość w kolanach, bolał mnie żołądek i cały drżałem z zimna. W tej chwili najbardziej potrzebowałem kieliszka wódki.

Chwiejnie ruszyłem w stronę ciemnej plamy samochodu. Za moimi plecami górowała czarna bryła opuszczonego domu. Tylko w jednym z okien strychu igrały srebrne promienie księżyca.

Śmieszna myśl przyszła mi do głowy: zostawiłem otwarte okno i może powinienem wrócić, aby je zamknąć, w przeciwnym razie wiatr nawieje do pokoi suchych liści, a deszcze i śniegi zniszczą parkiet.

Zaśmiałem się na tę niedorzeczną myśl. Teraz liczyła się każda minuta, by się stąd wydostać i odjechać jak najdalej. Doszedłem do

samochodu i otworzyłem drzwi. Na siedzeniu obok coś się poruszyło i powiedziało do mnie:

— Cieszę się, że cię znowu widzę. Już zacząłem się niepokoić, jak sobie poradzisz.

Skamieniałem, nie wierząc własnym oczom.

To, co siedziało na siedzeniu obok i właśnie do mnie mówiło, to był ten wesoły kudłaty pies, którego spotkałem tego wieczora na ulicy przed moim domem!

18.

— Widzę, że masz jednego z nich — powiedział Pies. — Trzymaj go mocno; zapewniam cię, mają podstępne charaktery.

Kiedy to mówił, ja, ze wszystkich sił starałem się zachować zdrowy rozsądek. Stałem, oniemiały. Co innego mogłem robić? Spróbujcie zrobić kilka przewrotów pod rząd, a na pewno zakręci się wam w głowie.

— Cóż — odezwał się Pies z dezaprobatą — chyba już najwyższy czas, żebyś zapytał mnie, kim, do diabła, jestem.

— W porządku — rzekłem. — Kim, do diabła, jesteś?

— Nareszcie, cieszę się, że o to zapytałeś. — Pies był wyraźnie zadowolony. — Wyznam ci szczerze, że jestem przeciwnikiem — sądzę, że to właściwe określenie — tych rzeczy, które masz w worku.

— To mi rzeczywiście wiele mówi — próbowałem ironizować. — Kimkolwiek jesteś, lepiej, żebyś zaczął mi to wyjaśniać.

— Dlaczego? — Pies był zdziwiony moją głupotą. — Myślę, że to zupełnie jasne, kim jestem. Jako przeciwnik tych kul, jestem automatycznie twoim przyjacielem.

Do tego czasu moje osłupienie minęło przynajmniej na tyle, że mogłem wsiąść do samochodu. Z jakichś przyczyn nie dbałem o to, co dalej się wydarzy. Przeleciało mi przez myśl, że Pies może być inną bandą kul do gry w kręgle. Teraz mógł przybrać postać psa zamiast człowieka; jeżeli tak było, mogłem w każdej chwili go zdemaskować. Częściowo opanowałem strach i robiłem się coraz bardziej wściekły. Pomyślałem, że widocznie świat zamienia się w piekło, skoro jakiś człowiek rozpada się na wiele czarnych kul, a w twoim własnym samochodzie czeka na ciebie pies, by zacząć ożywioną rozmowę, kiedy tylko się pojawisz.

Przypuszczam, że w owej chwili nie wierzyłem w to wszystko. Rozmowny Pies nadal siedział koło mnie i nie pozostawało mi nic innego, jak pogodzić się z tym całym szaleństwem.

— A może dałbyś mi ten worek — zaproponował Pies. — Zapewniam cię, że będę go pilnował z największą uwagą, trzymając końce w moim żelaznym uścisku. Mnie też zależy na tym, żeby nie uciekły.

Wyciągnąłem do niego rękę z torbą foliową, on wyciągnął łapę i, na Boga, chwycił nią torbę tak sprawnie, jakby mu wyrosły nagle długie palce.

Wyjąłem pistolet z kieszeni i położyłem go sobie na kolanach.

— Co to za przyrząd? — Nic nie mogło umknąć jego uwagi.

— To jest broń zwana pistoletem — wyjaśniłem — i mogę przestrelać cię nią na wylot. Jeden fałszywy ruch, koleś, a dostaniesz ode mnie kulkę.

— Zrobię, co będę mógł, by uniknąć fałszywych ruchów — zapewnił mnie Pies rzeczowym tonem. — Zapewniam cię, jestem jak najbardziej po twojej stronie, jeżeli chodzi o to w torbie.

— To świetnie — stwierdziłem — tylko tak dalej.

Włączyłem silnik, zawróciłem i ruszyłem drogą.

— Dobrze, że zgodziłeś się oddać mi ten worek — powiedział Pies. — Mam już trochę doświadczenia w obchodzeniu się z tymi rzeczami.

— Może więc proponujesz, gdzie mamy teraz jechać? — rzekłem.

— Och, można się ich pozbyć na wiele sposobów. Ośmielę się zasugerować, że powinniśmy wybrać jakąś metodę wystarczająco skuteczną i jednocześnie bolesną.

— Nie myślałem o pozbyciu się ich. Zbyt wiele trudu kosztowało mnie złapanie ich w ten worek.

— To bardzo źle. — Pies był wyraźnie zawiedziony. — Wierz mi, niewłaściwie jest zostawiać te rzeczy przy życiu.

— Nazywasz je bez przerwy „rzeczami” — zauważyłem — a jednocześnie mówisz, że znasz je. Czy one nie mają nazwy?

— Nazwy?

— Tak. Określenia, terminu opisowego. Przecież trzeba je jakoś nazywać.

— Już rozumiem. Czasami nie jestem zbyt bystry, potrzebuję trochę czasu.

— I zanim zapomnę, powiedz mi, jak to możliwe, że możesz ze mną rozmawiać? Nie ma takich rzeczy jak mówiące psy.

— Psy?

— Tak, to, czym jesteś. Wyglądasz zupełnie jak pies.

— Jak cudownie! — wykrzyknął Pies, wyraźnie zachwycony. — A więc to tym jestem. Spotkałem stworzenia podobne wyglądem do mnie, ale było ich wiele rodzajów i znacznie się ode mnie różniły. Na początku próbowałem się z nimi porozumieć, ale...

— To znaczy, że naprawdę jesteś tym, czym jesteś. Nie jesteś zbudowany z czegoś innego jak nasi przyjaciele w worku?

— Jestem sobą — odparł Pies z dumą. — Nie byłbym niczym innym, nawet gdybym mógł się zmieniać.

— Ale nie odpowiedziałeś mi, w jaki sposób ze mną rozmawiasz.

— Pozwól, przyjacielu, że nie będziemy wchodzili w szczegóły. To wymaga zbyt wielu wyjaśnień, a my nie mamy na to czasu. Widzisz, ja wcale do ciebie nie mówię. Komunikujemy się za pomocą...

— Telepatii? — powiedziałem.

— Powtórz to, tylko wolno.

Niewiele wiem o telepatii, ale starałem się wytłumaczyć mu to jak najlepiej.

— W przybliżeniu — powiedział — niezupełnie.

Poprzestałem na tym, mieliśmy wiele ważniejszych rzeczy do zrobienia.

— Kręciłeś się koło mojego domu — rzekłem. — Wczoraj też cię widziałem.

— Tak, to prawda — zgodził się. — Byłeś w centrum wydarzeń. Sądzę, że to dobre określenie.

— W centrum wydarzeń? — Naprawdę mnie zaskoczył. Przez cały czas myślałem, że wplątałem się w to wszystko przypadkowo. Niektórzy faceci mają taką dziwną zdolność. Kiedy taki gość jest w lesie o powierzchni setek tysięcy kilometrów kwadratowych, piorun uderza akurat w to drzewo, pod którym on stoi.

— Oni to wiedzieli, no i oczywiście ja — tłumaczył mi Pies. — Czy chcesz powiedzieć, że o niczym nie wiedziałeś?

— Doskonale to ująłeś, kolego.

Wyjechaliśmy z Timber Lane na drogę prowadzącą do miasta.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, czym są te rzeczy — przypomniałem mu. — Jakiej nazwy używacie na ich określenie. Na dobrą sprawę, to nie odpowiedziałeś mi jeszcze na wiele pytań.

— Bo mi nie pozwoliłeś — rzekł Pies. — Zadajesz za dużo pytań naraz, a poza tym masz śmieszny mózg. Bez przerwy kręci się w kółko.

Okno po jego stronie było uchylone, do wnętrza samochodu wpadały zimne podmuchy wiatru i wygładzały kudły na jego pysku. Miał ciężkie, brzydkie szczęki i przez cały czas trzymał je zaciśnięte. Musiałyby się poruszać, gdyby mówił normalnie, to znaczy używając do tego swojego pyska.

— A więc znasz mój mózg? — zapytałem.

— A jak inaczej mógłbym z tobą rozmawiać? Twój mózg porusza się bardzo szybko, ale beładnie. Nie zatrzymuje się ani na moment.

Zastanowiłem się nad tym i byłem skłonny przyznać mu rację. Choć nie byłem zachwycony wnioskami, które mi się nasuwały. Coś mi podpowiadało, że on może wiedzieć wszystko, co ja wiedziałem lub pomyśle, ale Bóg jeden wie, dlaczego nie zachowywał się w taki sposób.

— Wracając do twojego pytania o to, czym są te rzeczy — powiedział Pies. — My mamy na nie określenie, tylko nie mogę tego przetłumaczyć tak, żebyś to zrozumiał choćby w przybliżeniu. W związku z tym, w jakim celu się tutaj znaleźli — i dlatego właśnie musimy się nimi zajmować — nazwę ich pośrednikami w przekazywaniu nieruchomości.

Oczywiście, musisz sobie uświadomić, że to nie jest najlepsza nazwa i nie ma w niej tylu subtelnych znaczeń, które chciałbym ci przekazać.

— To znaczy, że sprzedają domy?

— O, nie, bynajmniej. Nie przyszłoby im nawet do głowy zajmować się takimi drobiazgami, jak pojedyncze budynki.

— Może w takim razie planeta?

— Tak, choć musiałyby to być naprawdę niezwykła planeta, o ogromnej wartości. Oni zwykle nie schodzą poniżej poziomu układu słonecznego; jeśli już, robią to tylko w wyjątkowych przypadkach. Do kiepskiego interesu nie przyłożą ręki.

— Dobrze, wyjaśnijmy to do końca — powiedziałem. — Mówiłeś, że oni handlują układami słonecznymi.

— Twoje rozumowanie jest prawidłowe. To jest tylko prosty fakt, zrozumienie całej sytuacji może okazać się bardziej skomplikowane.

— Dla kogo oni kupują te systemy słoneczne?

— No, teraz wypływamy na głębsze wody — stwierdził Pies. — Cokolwiek bym ci powiedział, będziesz próbował umieścić to w ramach waszego systemu ekonomicznego. Musisz mi wybaczyć to, co teraz powiem, ale wasz system ekonomiczny jest najbardziej dziwaczny spośród tych, które zdarzyło mi się spotkać.

— Tak się składa, że wiem, iż oni kupują naszą planetę — powiedziałem.

— Tak, to jest ich najbrudniejszy interes, ale oni zawsze zajmują się brudnymi interesami.

Nic nie odpowiedziałem; uświadomiłem sobie, jak śmieszna jest ta cała sytuacja. Rozmawiałem z przybyszem z kosmosu, który nie otwierał przy tym ust i był łudzaco podobny do psa, a on opowiadał mi o innych kosmitach, którzy chcieli kupić Ziemię i według niego robili to na swój zwykły brudny sposób.

— Zrozum — ciągnął Pies — te rzeczy mogą być wszystkim, ale nigdy nie są sobą. Ich działanie zawsze oparte jest na oszustwie.

— Powiedziałeś, że są twoimi przeciwnikami, więc ty też musisz być pośrednikiem w handlu nieruchomościami.

— Tak. — Pies wyglądał na bardzo zadowolonego. — Jestem pośrednikiem najwyższej klasy.

— Mogę więc przyjąć, że jeżeli im się nie uda kupić tej planety, to ty to zrobisz.

— Nie, nigdy. To byłoby nieetyczne. Dlatego jestem zainteresowany ich niepowodzeniem. Ta operacja stałaby się czarną plamą na honorze wszystkich pośredników w całej galaktyce. Pośrednictwo to stara, szanowana profesja i trzeba zachować jej nieskalaną reputację.

— Jak miło to usłyszeć — powiedziałem. — Jakie więc masz plany?

— Sam nie wiem, co robić, bo mi przeszkadzacie. Nie mogę liczyć na żadną pomoc z waszej strony. Te wasze bzdurne przepisy...

— Ale na co jest im potrzebna Ziemia, co z nią zrobią, jeżeli już ją kupią?

— Widzę, że nie zdajecie sobie sprawy z tego, co naprawdę posiadacie. Muszę cię poinformować, że niewiele jest takich planet jak ta, zwana przez was Ziemią. Tutaj zmęczeni mogą odpocząć i sycić swoje oczy delikatnym pięknem, tak rzadko spotykanym. W niektórych układach słonecznych zbudowano sztuczne satelity, na których odtwarza się warunki występujące u was naturalnie. Satelity nigdy jednak nie dorównają Ziemi, dlatego ma ona taką wartość jako uzdrowisko i miejsce wypoczynku. Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że używam określeń jedynie w przybliżonym znaczeniu. Po prostu staram się dopasować do waszego języka i do waszych pojęć. Naprawdę to nie jest tak, jak to opisałem. Z pewnego punktu widzenia jest zupełnie inaczej. To wszystko, co mogę zrobić, by dać ci o tym ogólne wyobrażenie.

— Czy to znaczy — zapytałem — że kiedy te rzeczy będą miały Ziemię, to zrobią z niej coś w rodzaju kurortu galaktycznego?

— O, nie, to nie w ich stylu. Oni odsprzedadzą ją innym z dużym zyskiem i dopiero tamci zamienią ją w uzdrowisko galaktyczne.

W kosmosie wybudowano wiele miejsc do rozrywki, wiele sztucznych planet na wzór Ziemi, dokąd można wyjeżdżać na wakacje. W rzeczywistości jednak nic nie może zastąpić prawdziwej planety. Zapewniam cię, dostaną za nią wszystko, czego zażądatają.

— A czego zażądatają w zamian?

— Zapach, woń, odór — nie mogę znaleźć odpowiedniego słowa.

— Perfumy?

— Właśnie — perfumy, przyjemny zapach. Dla nich zapach jest czymś pięknym. Kiedy istnieją w swojej naturalnej postaci, to zapach jest ich największym skarbem, może nawet jedynym. Wyglądają wtedy inaczej, niż nam się...

Przerwałem mu:

— Widziałem ich w formie, która, jak przypuszczam, jest ich naturalnym stanem. W takiej postaci są właśnie w tej torbie.

— Już chyba to rozumiesz. Oni są nicością, kulami nicości. — Potrząsnął trzymaną przez siebie torbą, tak że kule zbliżyły się jeszcze bardziej do siebie. — Są bryłami nicości — powtórzył — i leżą sobie, zanurzone w swoich perfumach. To jest dla nich pełnia szczęścia, jeśli coś takiego w ogóle może dać szczęście.

To wszystko było niewiarygodne; zastanawiałem się nawet, czy Pies nie żartuje sobie ze mnie, chociaż wiedziałem, że nie, w przeciwnym razie on sam musiałby być częścią tego żartu. On także, na swój sposób, był równie groteskowy i niewiarygodny, jak te rzeczy w worku.

— Współczuję wam — powiedział Pies, choć nie zabrzmiało to zbyt przekonująco — ale możecie mieć pretensje tylko do siebie samych. Te wasze bzdurne przepisy...

— Już to słyszałem — zniecierpliwilem się. — Co masz na myśli, mówiąc „bzdurne przepisy”?

— Przepisy dotyczące posiadania rzeczy.

— Masz na myśli nasze prawa o własności prywatnej?

— Możliwe, że tak to się nazywa.

— Ale powiedziałaś, że te kule sprzedadzą Ziemię...

— To całkiem co innego. Musiałem to powiedzieć waszymi słowami, bo nie było innego sposobu, żebyś mnie zrozumiał, mogę cię jednak zapewnić z całą powagą, że jest zupełnie inaczej.

Pomyślałem, że to oczywiste, bo na pewno dwie różne kultury nie wypracują takich samych metod działania. Kultury nie będą nigdy identyczne; ich motywy postępowania, nawet języki — nie słowa, ale sposób porozumiewania się — będą zawsze odmienne.

— Ten środek lokomocji, który właśnie prowadzisz — rzekł Pies — od początku mnie intrygował, ale nie miałem możliwości się z nim zapoznać. Możesz sobie wyobrazić, byłem bardzo zajęty zbieraniem niezbędnych informacji o innych sprawach. — Westchnął i dodał: — Nie masz nawet pojęcia — no bo skąd? — jak dużo trzeba się nauczyć, kiedy ktoś znajdzie się w innej kulturze bez żadnego wstępnego przygotowania.

Opisałem mu, jak umiałem, budowę silnika spalinowego i układu napędowego. Nie wyszło to najlepiej, ale Pies chyba uchwycił zasadę. Z jego zachowania wywnioskowałem, że jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim. Widziałem też wyraźnie, że uważał tę konstrukcję za absurdalną.

— Bardzo ci dziękuję za ten przejrzysty opis — powiedział z kurtuazją. — Nie kłopotałbym cię w tej sprawie, ale moja ciekawość jest ogromna. Byłoby dużo lepiej i pożyteczniej podyskutować o pozbyciu się tych rzeczy. — Potrząsnął torbą.

— Wiem, co z nimi zrobię—powiedziałem. — Zawiozę je do jednego z moich przyjaciół, Carletona Stirlinga. On jest biologiem.

— Biologiem?

— To ktoś, kto bada żywe istoty. Rozłoży je na kawałki i powie nam, czym są.

— Czy to będzie dla nich bolesne? — ucieszył się Pies.

— Przypuszczam, że w pewien sposób tak.

— To dobrze. Ten biolog... wydaje mi się, że już słyszałem o czymś podobnym.

Po sposobie, w jaki to powiedział, jasno było widać, że myśli o czymś innym. Pomyślałem, że życie można badać na wiele sposobów.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Zbliżaliśmy się do centrum miasta i ruch stawał się większy. Pies siedział sztywno, porażony widokiem zbliżającego się nieskończonego szeregu świateł. Próbowałem spojrzeć na światła tak, jakbym widział je pierwszy raz w życiu. Zrozumiałem, jak musiały one przerazić tę istotę na siedzeniu obok.

— Posłuchajmy radia — zaproponowałem, włączając odbiornik.

— To środek łączności? — upewnił się Pies.

Pokiwałem głową.

— Pora na wiadomości wieczorne — dodałem.

Agresywnie radosny spiker kończył właśnie reklamę jakiegoś cudownego środka czyszczącego. Potem zaczęły się wiadomości.

Godzinę temu — mówił reporter — na parkingu na tyłach Wellington Arms zginął od wybuchu bomby jakiś mężczyzna. Przypuszcza się, że był to Parker Graves, dziennikarz „Evening Herald”. Policja sądzi, że bombę umieszczono w samochodzie; wybuch nastąpił, kiedy ofiara przekreśliła kluczyk w stacyjce. Prowadzi się intensywne działania w celu zidentyfikowania ofiary.

Zmieniono temat.

Zamarłem na chwilę z przerażenia. Wyłączyłem radio.

— Czy coś się stało, przyjacielu?

— Ten zabity człowiek — powiedziałem — to byłem ja.

— O, to ciekawe!

19.

Zobaczyłem światło w oknie laboratorium na trzecim piętrze; wiedziałem, że Stirling pracuje. Załomotałem do drzwi wejściowych. Korytarzem przykuśtykał rozgniewany portier i przez szybę w drzwiach pokazał mi, żebym odszedł. Upierałem się, aż w końcu musiał mi otworzyć. Powiedziałem mu, kim jestem, i wpuścił mnie do środka. Pies wszedł razem ze mną.

— Niech pan zostawi psa na zewnątrz — polecił portier. — Nie wpuszczamy tu żadnych zwierząt.

— To wcale nie jest pies — odpowiedziałem.

— Więc co?

— To jest specjalny okaz — oświadczyłem.

Portier znieruchomiał, zaskoczony; mineliśmy go i zaczęliśmy wchodzić po schodach. Po chwili dobiegło nas jego gderanie, kiedy kuśtykał korytarzem.

Stirling pisał coś, pochylony nad laboratoryjnym stołem. Ubrany był w niewiarygodnie brudny biały fartuch. Kiedy weszliśmy, obrzucił nas nieuważnym spojrzeniem. Widać było, że nie wie, która jest godzina. Wcale nie był zdziwiony, że odwiedzamy go o tak późnej porze.

— Przyszedłeś po spluwę? — spytał.

— Przyniosłem ci coś. — Pokazałem mu torbę.

— Musisz wyprowadzić psa — powiedział. — Tu nie wpuszcza się psów.

— To nie jest żaden pies — zaprzeczyłem. — Nie wiem, jak to się nazywa ani skąd pochodzi, ale to jest coś pozaziemskiego.

Stirling odwrócił się do nas z zainteresowaniem i przyjrzał się psu.

— Pozaziemskiego — powiedział bez zdziwienia. — Czy to znaczy, że to jest przybysz z kosmosu?

— Tak, dokładnie — odezwał się Pies.

Stirling unióśł brwi, ale nic nie powiedział. Niemal było słychać, jak myśli.

— To musiało się kiedyś zdarzyć — powiedział w końcu Stirling, jakby wypowiadał opinię wielkiej wagi. — Oczywiście, nikt nie mógł przewidzieć, jak do tego dojdzie.

— A więc nie jesteś zdziwiony? — zapytałem.

— Och, oczywiście, jestem zdziwiony, ale raczej wyglądem naszego gościa niż samym faktem jego przybycia.

— Miło mi pana poznać — rzekł Pies. — Wiadomo mi, że jest pan biologiem, i szalenie mnie to interesuje.

— Tak naprawdę to przyszliśmy z powodu tego worka — wyjaśniłem.

— Worka? Ach, tak.

Przybliżyłem torbę, aby mógł się jej przyjrzeć.

— W nim też są przybysze z kosmosu — rzekłem.

To wszystko zaczynało przypominać farsę. Brwi Stirlinga uniosły się jeszcze wyżej; patrzył na mnie wyczekująco.

Powiedziałem mu pośpiesznie, co wiedziałem. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się spieszyłem. Może sądziłem, że nie mamy czasu i muszę mu o wszystkim opowiedzieć. I chyba miałem rację.

Twarz Stirlinga rozpromieniła się podnieceniem, oczy nabrały ciemnego, intensywnego blasku.

— To są istoty, o których mówiłem dziś rano — stwierdził.

Nie pamiętałem, by wspominał o tym.

— Istota nieekologiczna — wyjaśnił. — Coś, co może żyć w każdych warunkach, co może w sposób nieograniczony się zmieniać.

Forma żywa o doskonałych zdolnościach adaptacyjnych, mogąca przystosować się do każdego środowiska...

— Ale ty miałeś na myśli co innego — zauważyłem, bo właśnie przypominałem sobie naszą rozmowę.

— Rzeczywiście — zgodził się — może nie mówiłem dokładnie o tym, ale to sprowadza się do tego samego.

Odwrócił się w stronę stołu, otworzył szufladę i zaczął energicznie w niej grzebać, rozrzucając wszystko dokoła. W końcu wyjął plastikową, przezroczystą torbę.

— Przełożmy to tutaj — zaproponował — będziemy mogli się im przyjrzeć.

Przytrzymał torbę, rozchylając brzegi jak najszerzej. Z pomocą Psa odwróciłem worek i wytrząsnąłem kule do plastikowej torby. Kilka czarnych kawałków spadło na podłogę; nawet nie przybierając kulistego kształtu, pomknęły one szybko do umywalki, wdrapały się po rurze i znikły w zlewie.

Pies ruszył za nimi w pościg, ale były szybsze od niego. Wrócił, strapiiony, z opuszczonym ogonem i położonymi uszami.

— Uciekły do rury odpływowej — oznajmił.

— Och, to nic — rzekł podniecony i zadowolony Stirling — większość z nich mamy tutaj.

Związał końce torby w mocny węzeł i podniósł ją. Przyciągnął hak zwisający z rury nad stołem i zawiesił na nim torbę. Plastik był przezroczysty i widzieliśmy dokładnie czarne kule.

— Czy zamierza pan je rozebrać? — spytał Pies z niecierpliwością.

— Później — odpowiedział Stirling. — Najpierw będę je obserwował i poddawał różnym próbom.

— Bolesnymi próbom? — dopytywał się Pies.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zdziwił się Stirling.

— On bardzo nie lubi naszych nowych przyjaciół — wyjaśniłem. — Wchodzą mu w drogę i robią różne świństwa.

Z kąta laboratorium odezwał się cicho telefon.

Umilkliśmy wszyscy, zaskoczeni.

Dzwonek powtórzył się.

W tym dźwięku było coś przerażającego. Kiedy byliśmy sami w zaciszu laboratorium, czarne kule były tylko obiektem czysto

naukowego zainteresowania. Dzwonek telefonu przerwał ten stan, świat dobijał się do nas, utraciliśmy odosobnienie i spokój. Teraz te rzeczy w plastikowym worku to z pewnością nie był problem nauki — to było zagrożenie. To byli nasi wrogowie, których trzeba było się bać i których należało nienawidzić.

Za oknem panowały ciemności, czułem chłód i arogancję przenikające cały świat. Pokój skurczył się do plamy zimnego światła na laboratoryjnym stole, szkle i zlewie. Byłem tylko pyłkiem, Pies i Stirling też niewiele więcej znaczyli.

— Halo — powiedział Stirling, podniósłszy słuchawkę, a po chwili: — Nie, nie słyszałem o tym. To musi być jakaś pomyłka, on tu właśnie jest ze mną. — Słuchał przez chwilę i powtórzył: — On jest teraz ze mną. On i mówiący pies. Nie, nie jest pijany. Nie, czuję się zupełnie dobrze.

Ruszyłem w jego stronę.

— Hej, daj mi tę słuchawkę! — krzyknąłem.

Podał mi ją i usłyszałem głos Joy:

— To ty, Parker? Co się dzieje? W radiu...

— Tak, słyszałem. Faceci z radia mają bzika.

— Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? Wiedziałeś, że o tym usłyszę...

— Nie, skąd mogłem wiedzieć? Byłem zajęty, miałem wiele spraw na głowie. Znalazłem Atwooda, a on rozpadł się na kawałki, to znaczy na czarne kule do gry w kręgle, które złapałem do worka. W samochodzie czekał na mnie pies...

— Dobrze się czujesz, Parker?

— Oczywiście. Zapewniam cię, że nic mi nie jest.

— Parker, tak się boję.

— Czego tu się bać, do diabła. W tym samochodzie to nie byłem ja, i w dodatku znalazłem Atwooda i...

— Nie to miałam na myśli. Coś jest na zewnątrz mojego domu.

— Na zewnątrz zawsze coś jest — tłumaczyłem jej. — Są psy, koty, wiewiórki, ludzie...

— Ale te rzeczy obijają się o drzwi. Są wszędzie dookoła domu, zaglądamy do środka i... Proszę cię, Parker, przyjedź tu i zabierz mnie.

Przestraszyła mnie. To nie była głupia kobietka wylękniona — powodu ciemności i własnych urojeń. W jej głosie było coś szerególnego, jakby ze wszystkich sił powstrzymywała się przed histerią. To mnie przekonało.

— Dobrze — zgodziłem się. — Trzymaj się, przyjadę najszybciej, jak będę mógł.

— Parker, proszę...

— Załóż płaszcz, stań przy drzwiach i wyglądaj samochodu. Tylko nie wychodź, zanim nie przyjdę po ciebie.

— W porządku — powiedziała spokojniejszym tonem.

Odłożyłem słuchawkę i szybko odwróciłem się do Stirlinga.

— Mój karabin — powiedziałem.

— Tam, w rogu.

Zauważyłem go i podszedłem do niego. Stirling poszperał w szufladzie, wyjął pudełko naboju i podał mi je. Otworzyłem paczkę, kilka naboju wypadło na podłogę; Stirling schylił się, żeby je pozbiierać.

Naładowałem magazynek, resztę naboju wrzuciłem do kieszeni.

— Jadę zabrać Joy — powiedziałem.

Wyskoczyłem z laboratorium i ruszyłem po schodach w dół.

Pies nie odstępował mnie na krok.

20.

Joy mieszkała w małym domu w północnej części miasta. Od lat, to jest od śmierci matki, planowała, że sprzeda dom i przeprowadzi się do wieżowca w pobliżu redakcji. Nigdy jednak nie zdecydowała się na to. Coś ją trzymało w tym miejscu — może wspomnienia albo dawne sentymenty. Obawiała się poza tym, że nowe mieszkanie nie spodoba się jej i będzie żałowała swojej decyzji.

Wybrałem ulicę, o której wiedziałem, że ruch regulują tam światła, co mogło ułatwić mi jazdę. Jechałem na pełnym gazie i ustanowiłem chyba rekord prędkości na tej trasie.

Pies siedział obok mnie, wiatr wpadający przez uchyloną szybę gładko przylizywał mu kudły na pysku. Przez całą drogę odezwał się tylko raz.

— Ta Joy — rzekł — to dobry kompan?

— Najlepszy — zapewniłem go.

Siedział, zastanawiając się nad moją odpowiedzią, niemal słyszałem tok jego rozważań. Nie powiedział już ani słowa.

Przekroczyłem dozwoloną prędkość, przejechałem na czerwonym świetle — przez cały czas zastanawiałem się, co powiem glinom, jeśli nagle zaczną mnie ścigać wóz policyjny. Na szczęście tak się nie stało. Zahamowałem gwałtownie przed domem Joy, aż zapiszczały opony. Pies poleciał na przednią szybę—był bardzo zaskoczony.

Dom stał w pewnej odległości od ulicy i był ogrodzony starym płotem. Dookoła rosły drzewa i krzewy, tu i tam widać było zygzakowate klomby. Brama wjazdowa jak zwykle była otwarta i skrzypiała na zardzewiałych zawiasach. Zobaczyłem światło przed domem. Korytarz i pokój też były oświetlone.

Złapałem karabin, wyskoczyłem z samochodu i biegiem ruszyłem w stronę domu. Pies towarzyszył mi do bramy, minął ją i dał nura w dżunglę krzaków rosnących w pobliżu ścieżki wyłożonej ceglami. Uszy przylegały mu do głowy, ogon miał sztywno postawiony i warczał przez rozchylone wargi.

Biegłem ścieżką, kiedy na lewo ode mnie, w miejscu gdzie zniknął Pies, wybuchła nagle wściekła, mrożąca krew w żyłach wrzawa.

Drzwi otworzyły się i wybiegła mi naprzeciw Joy; spotkaliśmy się na schodach. Zawahała się na moment, patrząc na trawnik, skąd dobiegał straszny hałas.

Wrzawa wzmogła się. Brzmiało to trochę jak szalona gra na organach, a z tymi wściekłymi dźwiękami mieszał się złowrogi głos czegoś wielkiego, co pędziło jak burza przez trawnik.

Złapałem Joy za ramię i pociągnąłem ją.

— Psie! — krzyknąłem. — Psie!

Hałas nie ustawał.

Wybiegliśmy na ulicę, wepchnąłem Joy do samochodu i zatrzasnąłem drzwi.

Nigdzie nie było widać Psa.

W kilku domach przy ulicy zapaliły się światła, usłyszałem trzask zamykanych drzwi — ktoś wyszedł na ganek.

Pobiegłem z powrotem do bramy.

— Psie! — krzyknąłem.

Wyskoczył z krzaków z ogonem schowanym pod siebie, z pyska spływała mu piana. Coś go goniło — czarna bryła z rozdziawioną i głodną paszczą była tuż za nim.

Nie miałem pojęcia, co to jest ani co mam robić.

To, co zrobiłem, było całkowicie instynktowne. Użyłem karabinu jak kija golfowego. Nie wiem, dlaczego nie strzelałem. Może nie było na to czasu, a może z jakiegoś innego powodu. Być może przewidywałem, że kule karabinowe nic nie zrobią tej żarłocznej paszczy.

Złapałem za lufę i zamachnąłem się. Pies minął mnie. Czarna bryła była w bramie, kiedy rozległ się świst karabinu przecinającego powietrze; uderzyłem i nie było żadnego oporu. Czarna bryła rozpadła się, kolba przeszła obok niej, to znaczy przez nią jak nóż przez masło. Galaretowata substancja toczyła się po chodniku, z ogrodzenia kapały jej krople.

Z krzaków dobiegały dziwne odgłosy i wiedziałem, że zbliżają się następne bryły. Nie czekałem ani chwili dłużej. Odwróciłem się, biegiem okrążyłem samochód, położyłem karabin na siedzeniu obok Joy i wskoczyłem do środka. Silnik miałem już włączony, ruszyłem z miejsca z pedałem gazu wciśniętym do końca.

Joy siedziała skulona i cicho płakała.

— Przestań — powiedziałem.

Próbowała się opanować, ale bezskutecznie.

— Oni zawsze robią wszystko na pół gwizdka — odezwał się Pies z tylnego siedzenia. — Wszystko robią połowicznie. Nie mają wystarczająco dużo powagi, żeby zrobić coś jak należy.

— Chyba chciałeś powiedzieć: odwagi — poprawiłem go.

Joy przestała pochlipywać.

— Carleton powiedział, że masz mówiącego psa — odezwała się, rozzłoszczona i jednocześnie przestraszona — ale ja w to nie wierzę. Co to za sztuczka?

— To wcale nie jest sztuczka, moja piękna — zapewnił ją Pies. — Czy nie sądzisz, że wyrażam się całkiem jasno?

— Joy — zacząłem — odrzuć wszystko, co dotąd wiedziałaś, pozbądź się wszelkich przekonań. Zapomnij o tym, co normalne, właściwe i logiczne. Istnieją kule do gry w kręgle, które mogą zamieniać się, w co tylko zechcą. Właśnie wykupują Ziemię i możliwe, że człowiek nie jest już jej właścicielem, a ty i ja jesteśmy teraz jak ścigane szczury.

W przedniej szybie zobaczyłem odbicie jej twarzy, na której malowały się zaskoczenie, zdumienie i ból. Chciałem objąć Joy, przytulić i spróbować usunąć z jej twarzy część tego bólu i zaskoczenia. Nie

mogłem tego zrobić, musiałem prowadzić samochód i zastanowić się, co mamy dalej robić.

— Nie rozumiem tego — powiedziała spokojniejszym tonem, choć czułem, że nadal jest spięta i przerażona. — Był samochód... — Wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za ramię. — Był samochód — powtórzyła.

— Uspokój się, maleńka — rzekłem. — Nie przejmuj się, to wszystko już minęło. Ja martwię się raczej o to, co nas jeszcze czeka.

— Bałeś się iść do samochodu — mówiła. — Myślałeś, że jesteś tchórzem, nawet się tym martwiłeś. A ten strach uratował ci życie.

— Może cię zainteresuje, że jedzie za nami jakiś samochód — odezwał się Pies.

21.

Spojrzałem we wsteczne lusterko. Pies miał rację. Za nami jechał samochód z jednym światłem.

— Może to jeszcze nic nie znaczy — powiedziałem.

Zwolniłem i skręciłem w lewo, samochód za nami zrobił to samo. Skręciłem ponownie w lewo, potem w prawo — samochód podążał za nami.

— Może to policja? — powiedziała Joy.

— Tylko z jednym światłem? — zdziwiłem się. — Mieliby włączoną syrenę, a na dachu czerwone światło.

Skręcałem jeszcze kilkakrotnie. Wydostałem się na główną ulicę i rozwinąłem większą prędkość. Samochód za nami też przyspieszył.

— Co teraz zrobimy? — spytałem. — Miałem zamiar wrócić do uniwersytetu do laboratorium Stirlinga. Musimy z nim porozmawiać, ale teraz to niemożliwe.

— Ile mamy benzyny? — zapytała Joy.

— Trochę więcej niż pół baku.

— Więc jedźmy do domku.

— Do domku Stirlinga?

Skinęła głową.

— Może weźmiemy łódkę i wypłyniemy na jezioro — dodała.

— A wtedy oni zamienią się w potwora z Loch Ness.

— Może nie; jest nadzieja, że nigdy o nim nie słyszeli.

— To w jakiegoś innego potwora wodnego z nieznannej planety.

— Nie możemy zostać w mieście. Policja zaraz by się w to wmieszała.

— Może byłoby to dla nas najlepsze — powiedziałem, choć wcale tak nie uważałem.

Policja zatrzymałaby nas i stracilibyśmy kupę czasu. Do końca świata moglibyśmy im mówić o toczących się kulach, a i tak nie uwierzyliby ani jednemu naszemu słowu. Zadrżałem na myśl, co by się stało, gdyby odkryli mówiącego psa. Myśleliby, że jestem brzuchomówcą i że robię sobie z nich żarty. To by ich naprawdę rozzłościło.

Minąłem kilka bloków i wydostałem się na autostradę prowadzącą na północ od miasta. Jeśli już miałem dokądś jechać, równie dobrze mógł to być domek Stirlinga.

Nie było wcale ruchu, tylko czasami przemknęła jakaś ciężarówka. Dodałem gazu. Wskazówka szybkościomierza doszła do 120 i zatrzymała się. Mogłem jeszcze przyspieszyć, ale bałem się, bo było kilka ostrych zakrętów. Z trudem przypominałem sobie, gdzie dokładnie się znajdują.

— Ciągłe za nami? — spytałem.

— Tak — powiedział Pies — ale zostali trochę w tyle, już nie są tak blisko jak przedtem.

Zrozumiałem, że tak się ich nie pozbędziemy. Mogliśmy oddalić się od nich, ale i tak będą za nami o dwie, trzy minuty w tyle. Chyba że zgubilibyśmy ich, skręcając w kierunku domku, ale i tego nie mogłem być pewny. Musiałem znaleźć jakiś inny sposób, żeby ich przechytrzyć.

Ukształtowanie terenu stopniowo się zmieniało. Zostawiliśmy w tyle równinne tereny rolnicze i wjechaliśmy między piaszczyste, spłaszczone pagórki, porośnięte lasami iglastymi i upstrzone plamami jezior. Jeśli mnie pamięć nie zawodziła, to tutaj zaczynały się te zdradliwe zakręty — kilka mil drogi wijącej się wśród nierównych wzgórz, zarośli i jezior.

— Jak daleko są za nami? — zapytałem.

— Mniej więcej o milę — odpowiedziała Joy:

— Posłuchaj...

— Słucham cię.

— Zatrzymam samochód za którymś z tych zakrętów i wysiądę. Przejmiesz kierownicę i odjedziesz trochę dalej. Potem staniesz i

będziesz czekać. Kiedy usłyszysz strzały, wróć po mnie.

— Oszalałeś! — powiedziała Joy z gniewem. — Wpadniesz przez to w tarapaty. Przecież nie wiesz, co oni mogą zrobić.

— Więc mamy równe szanse — zauważyłem. — Oni też nie wiedzą, co ja zrobię.

— Ale ty sam...

— Nie sam — zaprzeczyłem. — Mam swoją starą Betsy. Ona może powalić słonia.

Na pierwszym zakręcie za szybko skręciłem kierownicą i musiałem odbijać z całej siły, aż opony piszczwały na znak protestu. Drugi zakręt też wziąłem za ostro, potem trzeci. Z całych sił wcisnąłem hamulec, samochód przejechał poślizgiem jeszcze kawałek i stanął w poprzek drogi. Złapałem karabin, otworzyłem drzwi i wyskoczyłem na zewnątrz.

— Twoja kolej — powiedziałem do Joy.

Nie protestowała, nie powiedziała ani słowa. Nie chciała się przedtem zgodzić, ale przekonałem ją i uznała sprawę za zakończoną. Równa z niej była dziewczyna.

Wsunęła się za kierownicę. Odszedłem na bok i samochód odjechał na pełnym gazie. Tylne światła znikły za zakrętem i zostałem sam.

Było przerażająco cicho. Słyszałem tylko szelest ostatnich liści na osice i upiorne westchnienia rosnących dookoła sosen. Na tle nieba majaczyły czarne plamy wzgórz. Czułem zapach lasów i jesieni.

Karabin kleił mi się do rąk. Przeciągnąłem po nim dłonią i wyczułem pod palcami lepką maź. Pachniała płynem po goleniu, który poznałem zaledwie dziś rano.

„Dzisiaj rano — pomyślałem. — Dobry Boże, to przecież tak niedawno!” Próbowałem prześledzić kolejne wydarzenia i zdawało mi się, że minęło tysiąc lat. To nie mogło być dziś rano.

Stałem na skraju drogi. Próbowałem wytrzeć kolbę karabinu z lepkiej mazi, ale bezskutecznie — ręka ślizgała się.

Za parę sekund samochód wyjedzie z za zakrętu z dużą szybkością. Musiałem strzelić natychmiast i prawie na wycucie; było przecież ciemno.

Zastanawiałem się, co będzie, jeżeli się okaże, że to zwyczajny samochód z porządnymi ludźmi w środku. A jeśli wcale nas nie ścigali, tylko z jakiegoś dziwnego powodu jechali tą samą drogą co my? Na myśl o tym zrobiło mi się gorąco.

Pomyślałem, że to niemożliwe. Skręcałem przecież tyle razy, a jednak samochód z jednym światłem wciąż trzymał się za nami.

Droga prowadziła na szczyt jednego ze wzgórz i wiła się w dół po przeciwległym zboczu. Kiedy samochód wyjedzie z za zakrętu, zobaczę go na tle nieba i w tym momencie powinienem strzelać.

Uniosłem trochę karabin. Ręce mi się trzęsły i wiedziałem, że nie mogło być gorzej. Opuściłem broń, próbowałem się uspokoić i opanować drżenie rąk. Bezskutecznie.

Znów uniosłem karabin, a wtedy z za zakrętu wyjechał samochód. W ułamku sekundy zobaczyłem coś, od czego ustało mi drżenie rąk. Miałem już całkowitą pewność i byłem zupełnie opanowany.

Wystrzeliłem, załadowałem ponownie, znów strzał, zamek i... nie strzeliłem po raz trzeci, bo nie było takiej potrzeby. Samochód zjechał z drogi i toczył się po zboczu, objijając się o drzewa i krzaki. Przedni reflektor jakimś cudem świecił się nadal i przy skrętach samochodu strumień światła omiatał niebo jak sonda.

Po chwili światło zgasło i zaległa cisza.

Opuściłem karabin, zwolniłem zamek i zabezpieczyłem broń. Wypuściłem powietrze i wziąłem głęboki oddech. To nie był samochód, nie było w nim żadnego człowieka. Kiedy wyjechał z za zakrętu, zauważyłem, że to pojedyncze światło nie było po jednej stronie, po boku, ale na środku przedniej szyby. Na placu przed domem stał samochód. Zatrzymałem się przed nim.

— Co tu się dzieje? — powiedziałem.

— Czyżby Carleton wynajął komuś domek? — rzekła Joy.

— Ja przynajmniej nic o tym nie wiem — odparłem.

Wysiadłem z samochodu.

Szumiały niskie sosny, kołysane wiatrem i fale opływające plażę. Słyszałem, jak przy molo kolebie się łódź Stirlinga.

Joy i Pies też wysiedli i stanęli przy mnie. Zostawiłem włączony silnik i zapalone reflektory, które oświetlały dom.

Drzwi domu otworzyły się i na zewnątrz wyszedł jakiś mężczyzna. Najwidoczniej ubierał się w pośpiechu, bo jeszcze dopinał pasek od spodni. Stał, przyglądając się nam przez chwilę, a potem wolno zszedł po schodkach. Miał na sobie górę od pidżamy, a na nogach ranne pantofle.

Staliśmy czekając. Szedł, mrużąc oczy od światła i wyraźnie się wahał. Był chyba w średnim wieku, ale wyglądał starzej. Miał zarośniętą twarz, nie uczesane włosy sterczały mu na wszystkie strony.

— Szukacie tu kogoś? — odezwał się.

Stał parę metrów od nas i przypatrywał się nam spod przymrużonych powiek. Światło raziło go w oczy.

— Przyjechaliśmy tu przenocować — powiedziałem. — Nie wiedzieliśmy, że ktoś tu jest.

— Czy to pański dom?

— Nie, to dom mojego przyjaciela.

Zauważyłem, jak mężczyzna przełyka ślinę.

— My jesteśmy tu bezprawnie — wyjaśnił. — Nikt tu nie mieszkał i wprowadziliśmy się...

— Wprowadziliście się, nie pytając nikogo o pozwolenie.

— Niech pan posłucha — zaczął — ja nie chcę mieć żadnych kłopotów. Jest tu tyle domów, do których moglibyśmy się wprowadzić, ale wybraliśmy akurat ten. Nie mieliśmy gdzie się podziać, a moja żona jest chora. Przypuszczam, że najpewniej ze zmartwienia. Nigdy przedtem nie chorowała.

— Jak to się stało, że nie macie gdzie mieszkać?

— Straciłem pracę, nie mogłem znaleźć żadnej innej i na dodatek straciliśmy dom, bo bank nie chciał nam udzielić pożyczki Szeryf musiał nas eksmitować, choć wcale tego nie chciał. Było mu naprawdę przykro z tego powodu.

— A ci ludzie z banku?

— Zupełnie nowi. Ktoś obcy przyszedł i wykupił bank. Stary właściciel nigdy by nas nie wyrzucił, dałby nam jeszcze trochę czasu.

— Ktoś nowy kupił też to miejsce, gdzie pan pracował — dodałem.

— Skąd pan wie? — Spojrzał na mnie, zaskoczony.

— Domyśliłem się — odparłem.

— To był sklep z artykułami żelaznymi, kawałek dalej, za nocną stacją obsługi. Sprzedawałem głównie sprzęt do polowania i wędkarski. Nie miałem za wiele roboty i mało zarabiałem, ale przynajmniej starczało na życie.

Nie powiedziałem ani słowa, w tej sytuacji nie mogłem wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi.

— Przepraszam za zniszczenie zamka — powiedział mężczyzna.

— Musieliśmy włamać się tylnymi drzwiami. Gdybyśmy znaleźli jakiś otwarty dom, to zostalibyśmy tam, ale wszystkie były pozamykane.

— Jedno z okien w sypialni nie jest zamknięte — powiedziałem.

— Trudno je otworzyć, ale to jest jednak możliwe. Stirling zawsze je tak zostawia, na wypadek gdyby ktoś z jego przyjaciół chciał dostać się do środka. Trzeba tylko stanąć na czymś, żeby dosięgnąć okna.

— Czy ten Stirling jest właścicielem tego domu?

W odpowiedzi pokiwałem głową.

— Proszę mu powiedzieć, że jest nam bardzo przykro, żeśmy zepsuli ten zamek i wprowadzili się bez pytania. Obudzę rodzinę i zaraz stąd odjedziemy.

— Nie — rzekłem — zostańcie tu. Czy znalazłoby się jakieś miejsce, gdzie ta pani mogłaby się trochę przespać?

— Nic mi nie jest — wtrąciła Joy — mogę spać w samochodzie.

— Zmarznie pani — powiedział mężczyzna. — O tej porze roku robi się już dosyć zimno.

— Wystarczy kilka koców na podłogę i jakoś sobie poradzimy.

— Dlaczego nie jest pan na mnie zły, co? — zaciekawiał się nagle mężczyzna.

— Przyjacielu, to nie czas, by się na siebie gniewać. Teraz musimy wspólnie działać i dbać o siebie. Musimy trzymać się razem.

Przyglądał mi się podejrzliwie, lekko zaniepokojony.

— Pan jest kaznodzieją albo kimś w tym rodzaju? — zapytał.

— Nie, nie jestem — odparłem i zwróciłem się do Joy: — Jadę do tej stacji obsługi zadzwonić do Stirlinga. Powiem mu, że u nas wszystko w porządku. Mógł się spodziewać, że wrócimy do jego laboratorium.

— Idę do domu przygotować wam coś do spania — powiedział mężczyzna. — A jeśli chcecie, to się wyprowadzimy.

— Nie, skądże — powiedziałem.

Wsiadliśmy z Joy do samochodu, zawróciliśmy. Mężczyzna patrzył za nami.

22.

— Co tu się dzieje? — rzekła Joy, kiedy jechaliśmy drogą do autostrady.

— To tylko początek — powiedziałem. — Będzie coraz gorzej, więcej ludzi straci pracę i domy, a nowi właściciele banków zamkną im kredyty. Fabryki zostaną wykupione i zamknięte, żeby ludzie nie mieli pracy. Wykupią domy i bloki mieszkalne, wyeksmitują mieszkańców, a ci nie będą mieli gdzie się podziać.

— Ale to jest nieludzkie! — powiedziała Joy.

— Oczywiście, to jest nieludzkie.

Jakżeby mogło być inaczej, skoro wszystko to robili nie ludzie, lecz istoty z kosmosu. Ludzie ich nie obchodzili, nie byli dla nich niczym więcej, jak tylko stworami zaśmiecającymi planetę, którą oni mogli wykorzystać do innych celów. Wykorzystują nas, jak kiedyś myśmy wykorzystali zwierzęta. Pozbędą się nas, nieważne, w jaki sposób. Zepchną ludzi na bok, stłoczą ich razem i zadbają o to, żeby wymarli.

Próbowałem przewidzieć, jak to się stanie, ale to nie było łatwe. Sposób działania był jasny, lecz jego ogromny zasięg wymykał się mojemu umysłowi. Operacja musiałaby ogarnąć cały świat, jeśli miała być skuteczna. A jeżeli już uwidoczniła się w banku i w sklepach w małej miejscinie, to znaczy, że rozprzestrzeniła się na całe Stany Zjednoczone — przynajmniej w takich dziedzinach jak przemysł, handel czy finanse. Nie kupowaliby przydrożnej fabryczki, gdyby już nie mieli w ręku wielkich kombinatów przemysłowych, od których zależało życie całego kraju. Nie zajmowałiby się małym bankiem, gdyby wcześniej nie wzięli pod kontrolę wielkich instytucji finansowych. Od wielu lat te kule do gry w kręgle kupowały akcje, obligacje i na pewno wprowadzały na strategiczne stanowiska pseudoludzi takich jak

Atwood. Te istoty nie mogłyby sobie pozwolić na tak otwarte działanie jak teraz, dopóki nie zawładnęłyby podstawowymi dziedzinami życia kraju.

Oczywiście, w niektórych państwach ta operacja mogła się nie powieść. Mogła być skuteczna jedynie tam, gdzie istniała własność prywatna przedsiębiorstw produkcyjnych, instytucji finansowych, surowców naturalnych i gdzie rozwijała się prywatna działalność gospodarcza. Ten plan nie mógł być zrealizowany w Rosji i w Chinach, nie było to zresztą potrzebne. Może wystarczyło, że objął swym zasięgiem większość państw wysoko uprzemysłowionych. Wystarczy zniszczyć większość światowego przemysłu i pozamykać światowe instytucje finansowe, by pokonać Ziemię. Nie istniałby handel, nie byłoby przepływu gotówki, kredytów, a wtedy to, co nazywamy cywilizacją, rozsypałoby się w gruzy.

Ale pozostało jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi — pytanie ukrywające się tuż pod warstwą tych rozważań: skąd się wzięło tyle pieniędzy? Na taką operację potrzeba było mnóstwo pieniędzy, może nawet więcej, niż było ich na całym świecie.

Równie uporczywie powracało inne pytanie: kiedy i jak te wszystkie pieniądze zostały wpłacone?

Odpowiedź była prosta: nie mogły być wpłacone. Gdyby ktoś je wpłacił, w bankach byłoby zbyt wiele gotówki i zorientowano by się, że coś jest nie w porządku.

Wtedy przypomniałem sobie, co Dow Crane powiedział mi tego dnia. Powiedział, że banki pękają w szwach od pieniędzy, że są przepełnione gotówką, którą ludzie umieszczali w bankach mniej więcej od tygodnia.

Więc chyba pieniądze zostały wpłacone, przynajmniej w dużej części, i to jednocześnie. Wszystko zostało tak zorganizowane, żeby operacje finansowe zajęły co najwyżej tydzień; wszystkie umowy i transakcje przeprowadzono tak, by zbyt wcześnie nie zakłócić obrazu ogólnej sytuacji finansowej, by nie dać nikomu powodów do podejrzeń, że dzieje się coś na dużą skalę. Pomyślałem, że jeżeli doszli już do

takiego punktu, to ludzkość stała na straconych pozycjach. Żadne jednak domysły nie dawały nadal odpowiedzi na podstawowe pytanie: skąd wzięły się te wszystkie pieniądze?

Na pewno nie ze sprzedaży czegoś, co te kule mogły sprowadzić ze swojej planety i sprzedać na Ziemi. Żeby uzyskać tyle pieniędzy, istoty te musiałyby sprzedać tego bardzo dużo, a wtedy rozeszłyby się o tym pogłoski. Chyba że miałyby to tak fantastyczną wartość, że kolekcjonerzy skarbów ukrywaliby fakt kupna w obawie, że mogłoby to utracić wartość.

— Skontaktujemy się z biologiem z tego laboratorium — odezwał się Pies.

— Tak, masz rację — zgodziłem się. — Na pewno zastanawia się, gdzie jesteście.

— Musimy go ostrzec, żeby bardzo uważał. Nie mogę sobie przypomnieć, czy przedtem to zrobiliśmy. Rzeczy, które zanieśliśmy mu w torbie, potrafią być bardzo przebiegłe.

— Nie bój się — uspokoiłem go. — Stirling na pewno będzie się miał na baczności. Prawdopodobnie już wie o nich więcej niż my.

— Zadzwonimy do niego — wtrąciła się do rozmowy Joy — potem się trochę prześpimy, ale co zrobimy jutro rano?

— A skąd mam wiedzieć? — odparłem. — Pomyślimy. Musimy przekonać ludzi, że dzieje się coś strasznego i trzeba temu zaradzić.

23.

Wyjechaliśmy na autostradę; widać już było światła całodobowej stacji obsługi. Wjechałem na podjazd i zatrzymałem się przy dystrybutorze.

Z budynku wyszedł pracownik stacji.

— Do pełna — powiedziałem. — Gdzie tu jest telefon?

— Zaraz za rogiem. — Wskazał ręką. — Obok automatu z papierosami.

Wszedłem do środka, wykręciłem numer i wrzuciłem monetę. Odpowiedział nie znany mi głos, gruby i oficjalny.

— Kto mówi? — spytałem. — Chcę rozmawiać z Carletonem Stirlingiem.

— Kim pan jest? — rozmówca zignorował moje pytanie.

To mnie rozwścieczyło. Zawsze mnie denerwują takie rzeczy, ale opanowałem się i podałem swoje nazwisko.

— Skąd pan dzwoni?

— Słuchaj pan...

— Panie Graves — przerwał mi głos — jesteśmy z policji i chcemy z panem rozmawiać.

— Z policji?! Co się stało?

— Carleton Stirling nie żyje. Portier znalazł go martwego godzinę temu.

Zatrzymałem samochód przed instytutem biologii i wysiadłem.

— Lepiej, żebyś tu został — powiedziałem do Psa. — Portier cię nie lubi i nie chciałbym tłumaczyć policji, skąd mam mówiącego psa.

Pies westchnął głęboko, aż rozwiały mu się kudły na pysku.

— Przypuszczam, że byliby mocno zaskoczeni — powiedział. — Chociaż ten nieżyjący już biolog przyjął mnie bardzo spokojnie. Nawet

lepiej niż ty.

— Miał nade mną przewagę — powiedziałem. — Stać go było na spojrzenie czysto naukowe.

W chwilę później sam się dziwiłem, jak w takim momencie w ogóle mogłem żartować. Stirling był moim przyjacielem i możliwe, że to ja przyczyniłem się do jego śmierci, choć nie wiedziałem nawet, jaka była jej przyczyna.

Przypomniałem sobie, jak tego ranka spał, wyciągnięty w fotelu redakcyjnym. Miał wówczas przed sobą jeszcze tylko niespełna dzień życia... Obudził się spokojnie, bez zdziwienia, i zaczął opowiadać tak niezwykle rzeczy, jakich tylko jego znajomi mogli się po nim spodziewać.

— Poczekaj na nas — powiedziałem do Psa. — Niedługo powinniśmy wrócić.

Joy i ja weszliśmy po schodach i już miałem zapukać do drzwi, kiedy okazało się, że są otwarte. Kiedy dotarliśmy na górę, zobaczyliśmy, że drzwi do laboratorium Stirlinga też są otwarte.

Na ławce w środku siedzieli dwaj mężczyźni, czekając na nas. Rozmawiali, ale kiedy usłyszeli nasze kroki, zamilkli. Jednym z nich był Joe Newman, który zadzwonił, by powiedzieć mi o toczących się po ulicy kulach.

— Cześć, Parker — powiedział Joe wstając. — Cześć, Joy.

— Witaj — odpowiedziała Joy.

— Poznajcie Billa Liggetta z wydziału zabójstw.

— Z wydziału zabójstw? — zdziwiłem się.

— Tak — odparł Joe. — Uważają, że ktoś sprzątnął Stirlinga.

Obróciłem się do detektywa.

Pokiwał głową.

— Został uduszony — powiedział. — Ale nie ma żadnych śladów na jego ciele.

— Nie rozumiem...

— Niech pan posłucha, Graves: jeśli ktoś dusi człowieka, to na szyi zostają ślady, siniaki, przebarwienia. Trzeba dużo siły, żeby kogoś udusić i zwykle występują znaczne uszkodzenia tkanek.

— A na nim nic nie było?

— Ani śladu.

— Więc mógł się zwyczajnie czymś udławić albo nastąpił skurcz mięśni.

— Lekarze twierdzą, że nie.

— To jest zupełnie bez sensu. — Pokręciłem z niedowierzaniem głową.

— Może coś wykaże sekcja — powiedział Liggett.

— Trudno w to wprost uwierzyć — rzekłem. — Widziałem go jeszcze dziś wieczorem...

— Sądzymy, że to pan jako ostatni widział go przy życiu. Był żywy, prawda?

— Jak najbardziej.

— Która to było godzina?

— Około wpół do jedenastej, może kilka minut przed jedenastą.

— Portier mówi, że wpuścił pana i psa. Dobrze to pamięta, bo jeszcze zwracał panu uwagę, że nie wolno tu wprowadzać zwierząt. Podobno odpowiedział pan, że to jakiś szczególny pies. Czy to prawda, panie Grayes?

— Nie, do diabła — odparłem. — To był tylko żart.

— Dlaczego zabrał pan psa z sobą, skoro portier powiedział panu, żeby tego nie robić?

— Chciałem go pokazać Stirlingowi, wcześniej o nim rozmawialiśmy. To był szczególny pies z wielu powodów, bardzo przyjazny. Od kilku dni wałęsał się koło mojego bloku.

— Stirling lubił psy?

— Nie wiem. Przypuszczam, że nie za bardzo.

— Gdzie teraz jest ten pies?

— W samochodzie.

- Pański samochód wyleciał w powietrze dziś wieczorem?
- Podobno. Mówili o tym w radiu. Myśleli, że to ja w nim byłem.
- Ale to nie był pan?
- Cóż, to chyba widać, prawda? Czy już zidentyfikowali tego faceta? Liggett pokiwał głową.
- To był młody punk, zgarniany już wiele razy za kradzież samochodów. Robił zwykle krótką przejażdżkę i kilka ulic dalej porzucał samochód.
- To przykre — powiedziałem.
- Tak, to prawda — zgodził się Liggett. — Przyjechał pan samochodem?
- To mój wóz — odezwała się Joy.
- Czy pani była z panem Gravesem przez całą wieczór?
- Jedliśmy kolację i od tamtej pory jesteśmy razem.
- Pomyślałem, że dobra z niej dziewczyna: nie powie glinom ani słowa. Mogliby wszystko spartaczyć.
- Pani czekała w samochodzie, kiedy pan Graves z psem wszedł na górę, tak?
- Joy skinęła głową.
- Podobno dziś wieczorem w okolicy pani domu była jakaś wrzawa. Czy pani wie coś o tym?
- Nie, nic — odparła Joy.
- Nie przejmuj się nim — wtrącił Joe. — On zawsze zadaje dużo pytań i jest podejrzliwy, bo musi. W ten sposób zarabia na życie.
- To piekielnie dziwne, byliście oboje wmieszani w tyle rzeczy i wyszliście z tego wszystkiego cało.
- Tacy już jesteśmy — odpowiedziała Joy.
- Po co byliście nad jeziorem? — zapytał Liggett.
- To była taka mała przejażdżka — wyjaśniłem.
- Czy pies też był z wami?
- Jasne, wzięliśmy go z sobą, bo to niezły kumpel.

Torba, którą Stirling zawiesił na haku, zniknęła, nie widziałem jej nigdzie w pobliżu. Nie mogłem rozglądać się zbyt otwarcie, bo Liggett by to zauważył.

— Będziecie musieli pojechać z nami do komisariatu — powiedział Liggett. — Oboje. Chcemy wyjaśnić jeszcze parę spraw.

— Stary już wie o tym — wtrącił Joe. — Zatelefonowali do niego z działu miejskiego, kiedy zjawiłeś się tu w laboratorium.

— Dzięki, Joe — powiedziałem. — Myślę, że sami damy sobie radę.

Nie byłem jednak tego taki pewien, jak mogłoby się wydawać. Obawiałem się, że kiedy zejdziemy na dół, Pies od razu zacznie kłapać pyskiem na wszystkie strony, a wtedy Liggett usłyszy go i będziemy musieli gęsto się tłumaczyć. W samochodzie był karabin z załadowanym do połowy magazynkiem i osmoloną lufą. W kieszeni miałem naładowany pistolet i amunicję do obydwu rodzajów broni. Nikt o czystych intencjach nie chodzi uzbrojony po zęby.

Były też inne rzeczy, o których gliny mogły się dowiedzieć. Joy dzwoniła do Stirlinga. Jeśli gliny wezmą się ostro do roboty, to wkrótce się o tym dowiedzą. Możliwe też, że ktoś, kto wyszedł zobaczyć, co się dzieje przed domem Joy, ujrzał samochód Joy zaparkowany przed bramą i zauważył, jak później ruszyliśmy pełnym gazem.

Pomyślałem, że może powinniśmy powiedzieć Liggettowi trochę więcej albo przynajmniej nie okłamywać go w pewnych sprawach. Gdyby chciał nas przyłapać na kłamstwie, nie sprawiłoby mu to większych trudności. Gdybyśmy jednak zdradzili mu choć część prawdy, to prawie pewne, że trzymaliby nas u siebie godzinami i drwili z naszych wyjaśnień albo próbowaliby wytłumaczyć je jakąś solidną, nowoczesną teorią.

Miałem wciąż nadzieję, że coś się wydarzy i zapobiegnie temu. Kiedy otworzyłem pudełko z nabojami, kilka z nich wypadło na podłogę. Stirling pozbierał je, ale czy dał mi je, czy włożył do swojej kieszeni, czy położył na ławce? Za nic nie mogłem sobie tego przypomnieć. Skoro

policja znalazła naboje, mogli skojarzyć je z karabinem w moim samochodzie i nabrać co do mnie większych podejrzeń.

Pomyślałem, że gdybym tylko miał czas, mógłbym im to wszystko wyjaśnić. Ale nie było na to czasu, a same wyjaśnienia ściągnęłyby lawinę pytań, dociekań i sceptycznych uwag, które do reszty zagmatwałyby całą sprawę. Gdybym w ogóle miał komuś o wszystkim opowiedzieć, to na pewno nie w pokoju pełnym policjantów.

Wiedziałem, że sam nie dam rady wyjść z tego całego zamieszania. Musiałem znaleźć kogoś, kto wyciągnąłby mnie, ale z pewnością nie mógł to być nikt z policji.

Rozglądałem się po laboratorium, szukając wzrokiem torby. Naraz zauważyłem coś, kątem oka pochwyciłem jakieś poruszenie w umywalce — jakby jakaś bezkształtna czarna masa zakradła się do krawędzi, wyjrzała podejrzliwie i zaraz się cofnęła.

— No cóż, to może chodźmy — rzekł Liggett.

— Dobrze — zgodziłem się.

Wziąłem Joy pod rękę i poczułem, jak drży.

— Spokojnie, maleńka — powiedziałem. — Pan porucznik chce tylko uzyskać zeznanie na piśmie.

— Od was obojga — dodał Liggett.

— Od psa też? — zapytałem.

Widziałem, że go to rozgniewało. Powiniennem był siedzieć cicho.

Ruszyliśmy do drzwi, kiedy Joe odezwał się do mnie:

— Jesteś pewien, Parker, że nie chcesz, bym coś przekazał staremu?

Odwróciłem się do niego i uśmiechnąłem się.

— Nie, ani słowa — odpowiedziałem.

Wyszliśmy na korytarz, ja z Joy pierwsi, Joe za nami, porucznik na końcu. Słyszałem, jak Liggett zamknął drzwi.

— Do komisariatu jedźcie razem — powiedział Liggett. — Pojadę za wami swoim wozem.

Zgodziłem się.

Wyszliśmy frontowymi drzwiami na ulicę.

— Pies — szepnęła do mnie Joy.

— Zaraz go uciszę — odpowiedziałem.

Na jakiś czas znów musiał się przemienić w przyjaznego kundla. Już i bez niego sprawy stały nie najlepiej. Niepotrzebnie się jednak martwiliśmy. Tylne siedzenie było puste. Pies zniknął. Porucznik zaprowadził nas do małego pokoju, powiedział, że zaraz wraca, i wyszedł. Pokój wyposażony był w stół i kilka niewygodnych krzeseł. Był bezbarwny, zimny i unosił się w nim zapach wilgoci. Joy popatrzyła na mnie. Wiedziałem, że się boi, choć bardzo starała się opanować.

— I co teraz? — spytała.

— Nie wiem — powiedziałem i zaraz dodałem: — Przepraszam, że wciągnąłem cię w to wszystko.

— Przecież my nie zrobiliśmy nic złego.

To było właśnie najgorsze, że nie zrobiliśmy nic złego, a znaleźliśmy się w tym miejscu, wplątani w jakieś przestępstwa. Mieliśmy na wszystko dobre wytłumaczenie, tylko że nikt by nam nie uwierzył.

— Napiłabym się czegoś — rzekła Joy.

Ja też, ale nie powiedziałem tego.

Siedzieliśmy w pokoju, czas dłużył się niemiłosiernie, nie mieliśmy właściwie nic do powiedzenia i to było najgorsze.

Pochylony na krzesło, myślałem o Stirlingu. Był z niego równy gość, będzie mi go bardzo brakowało, a także wizyt w jego laboratorium, kiedy można było go posłuchać i popatrzeć, jak pracuje.

Joy widocznie myślała o tym samym, bo nagle zapytała:

— Czy myślisz, że ktoś go zabił?

— Nie ktoś, tylko coś — rzekłem.

Byłem pewien, że zrobiły to te rzeczy, które przyniosłem mu w torbie. Przyniosłem śmierć swojemu najlepszemu przyjacielowi.

— Obwiniasz się — odgadła Joy. — To nie twoja wina. W żaden sposób nie mogłeś o tym wiedzieć.

Oczywiście, nie mogłem, ale to mi niewiele pomogło.

24.

Otworzyły się drzwi i wszedł stary.

— Chodźcie — powiedział. — Wszystko się już wyjaśniło.

Wstaliśmy i wyszliśmy z pokoju.

Popatrzyłem na starego trochę zaskoczony.

Zaśmiał się.

— Nie pociągnąłem za żadne sznurki — powiedział. — Nie użyłem swoich wpływów i nie wywierałem żadnych nacisków.

— Więc co to było?

— Lekarz stwierdził, że to był zawał.

— Ale Stirling nie miał z sercem żadnych kłopotów.

— Cóż, nie znaleziono nic innego, a oni musieli podać jakąś przyczynę.

— Chodźmy stąd — odezwała się Joy. — To miejsce mnie przygnębia.

— Jedźmy do redakcji — zaproponował stary. — Napijemy się razem czegoś. Chcę z tobą pomówić o kilku sprawach — zwrócił się do mnie. — Jedziesz z nami, Joy, czy wolisz jechać do domu?

— Pojadę z wami. — Joy aż zadrżała na myśl o domu.

Wiedziałem, że boi się wrócić do siebie i znowu słyszeć jakieś hałasy.

— Niech Joy jedzie z panem — powiedziałem do starego — a ja poprowadzę jej wóz.

Wyszliśmy z budynku, prawie nie rozmawiając. Spodziewałem się, że stary zapyta mnie o mój wysadzony w powietrze samochód i inne sprawy, ale niewiele się odzywał.

Kiedy jechaliśmy windą do jego gabinetu, także milczał. W gabinecie podszedł do barku i zaczął przygotowywać nam drinki.

— Dla ciebie szkocka, Parker — przypomniał sobie. — A dla ciebie, Joy?

— Poproszę to samo — odpowiedziała Joy.

Podał nam szklaneczki. Nie usiadł za biurkiem, ale na jednym z krzeseł obok nas. Może chciał nas przekonać, że nie jest tu szefem, tylko jednym z szeregowych pracowników. Czasami posuwał się aż do granic śmieszności, pokazując swoją pokorę, a czasami nie miał jej nawet za grosz.

Wyraźnie chciał ze mną o czymś porozmawiać, tylko zupełnie nie wiedział, jak zacząć. Byłem szalenie zajęty swoją szkocką i pozwoliłem mu się pomęczyć. Ciekawiło mnie, jak dużo już wie i czy w ogóle ma pojęcie o tym, co naprawdę się dzieje.

Nagle uświadomiłem sobie, że Stirling nie umarł na atak serca i że stary bardzo się napracował, by nas wyciągnąć z kłopotów. Zdobyl się dla nas na tak wiele, bo wiedział, albo przynajmniej domyślał się, że mam coś na tyle cennego, że warto mnie ratować.

— Co za dzień — rzekł.

Zgodziłem się z nim.

Powiedział coś o głupocie policji i przytaknąłem mu niewyraźnie.

W końcu zdobył się na stwierdzenie:

— Parker, wplątałeś się w coś wielkiego.

— Możliwe — zgodziłem się — ale nie wiem, co to jest.

— Na tyle wielkiego, że ktoś próbował się zabić.

— To prawda.

— Możesz być ze mną szczery. Jeśli trzeba zachować to w tajemnicy, to możesz na mnie polegać.

— Jest coś, o czym nie mogę panu powiedzieć, bo uznałby mnie pan za szaleńca. Nie uwierzyłyby pan w ani jedno moje słowo. Muszę zdobyć więcej dowodów, zanim komuś o tym powiem.

— To jest coś aż tak wielkiego?

— Tak, coś tak wielkiego — potwierdziłem.

Chciałem mu powiedzieć. Chciałem komuś o tym powiedzieć, podzielić się moimi obawami i strachem, ale tylko z kimś, kto spróbuje mi uwierzyć i postara się skutecznie mi pomóc.

— Szefie — rzekłem — czy mógłby pan powstrzymać się od niedowierzania? Czy może mi pan obiecać, że spróbuje uwierzyć we wszystko, co powiem?

— Dobra, sprawdź mnie — rzekł szef.

— Do diabła, to nie wystarczy.

— W porządku, uwierzę.

— Co pan na to, gdybym powiedział panu, że są tutaj przybysze z innej planety i wykupują Ziemię?

Myślał, że sobie z niego żartuję.

— Powiedziałbym, że oszalałeś — odezwał się zimnym tonem.

Wstałem i odstawiłem szklankę na stół.

— Tego się właśnie obawiałem. Właściwie to nie spodziewałem się po panu niczego innego.

Joy też wstała.

— Chodź, Parker — powiedziała — nic tu po nas.

— Parker, czekaj! — krzyknął stary. — To nie może być prawda. Żartowałeś sobie ze mnie.

— Do diabła, no pewnie — powiedziałem.

Wyszliśmy na korytarz. Myślałem, że stary zawoła nas, ale nie zrobił tego. Kiedy skręcaliśmy na schody, spostrzegłem go: siedział, wpatrując się w nas, jakby nie mógł się zdecydować, czy pogniewać się na nas, czy lepiej wyrzucić z pracy, czy też przyjąć, że w tym, co powiedziałem, jest choć trochę prawdy. Jego postać była mała i odległa, jakbym patrzył na niego przez lornetkę z odwrotnej strony.

Zeszliśmy na dół. Nie wiem, dlaczego nie jechaliśmy windą. Najwidoczniej żadne z nas o tym nie pomyślało. Może chcieliśmy wydostać się stąd jak najprędzej.

Na dworze mżyło — taka zimna, nieprzyjemna mżawka.

Podszedłem do samochodu i stanąłem niezdecydowany. Myślałem o tym, co było w mojej szafie w mieszkaniu (choć nie wiedziałem na pewno, czy coś tam było) i o tym, co stało się z moim samochodem na parkingu. Wiedziałem, że Joy myśli o tych stworach grasujących przed

domem i boi się, że nadal tam są — choć mogły istnieć tylko w jej wyobraźni.

Przysunęła się do mnie, objąłem ją. Milczeliśmy, przytuleni do siebie w deszczową noc. Byliśmy jak dwoje dzieci błądzących w deszczu, zagubionych i przestraszonych. Po raz pierwszy w życiu baliśmy się ciemności.

— Słuchaj, Parker... — odezwała się Joy.

Wyciągnęła rękę dłonią odwróconą do góry. Trzymała coś.

Schyliłem się i w słabym świetle lampy ulicznej zobaczyłem klucz.

— Wyjęłam go z drzwi do laboratorium Stirlinga, kiedy nikt nie patrzył — wyjaśniła. — Ten głupi detektyw zamknął drzwi, w ogóle nie myśląc o kluczu. Zapomniał, bo był zły na ciebie, kiedy wtrąciłeś tę uwagę o psie.

— Dobra robota. — Objąłem jej twarz dłońmi i pocałowałem.

Nawet teraz nie wiem jednak, dlaczego tak mnie ucieszyło, że mieliśmy ten klucz. Może po prostu chodziło o przechytrzenie policji, o to, że w tej raczej smutnej i okropnej grze zdobyliśmy nad nią przewagę.

Otworzyłem drzwi, pomogłem wsiąść Joy, po czym usadowiłem się za kierownicą. Znalazłem kluczyki, odpowiedni wsunąłem do stacyjki i przekręciłem. Silnik zapalił, a ja próbowałem jednocześnie wyciągnąć kluczyk, choć wiedziałem, że już było za późno.

Nic się jednak nie stało. Motor warczał i wszystko było w porządku. Bomby nie było.

Siedziałem, spocony ze strachu.

— Co ci jest, Parker?

— Nic — odpowiedziałem.

Wrzuciłem bieg i ruszyłem. Przypomniałem sobie, że tyle razy zapalałem dzisiaj silnik — przed domem Belmontów, dwa razy przed instytutem biologii, przed posterunkiem policji — i w ogóle nie pomyślałem o niebezpieczeństwie; może rzeczywiście samochód był bezpieczny.

Skręciłem w boczną uliczkę prowadzącą do University Avenue.

— Może niepotrzebnie tam jedziemy — powiedziała Joy. — Pewnie frontowe drzwi będą zamknięte.

— Kiedy wychodziliśmy, nie były zamknięte — przypomniałem jej.

— Portier mógł je później zamknąć.

Okazało się, że jednak tego nie zrobił.

Najciszej, jak mogliśmy, weszliśmy do budynku i wspięliśmy się po schodach.

Przy drzwiach do laboratorium Stirlinga Joy podała mi klucz. W końcu trafiłem w dziurkę, przekręciłem klucz i pchnąłem drzwi.

Weszliśmy do środka i zamknęliśmy drzwi na klucz.

Na stole laboratoryjnym paliła się mała lampka spirytusowa. Byłem pewien, że przedtem jej tutaj nie było. Na stołku obok zaś siedziała jakaś dziwnie powykręcana postać.

— Dobry wieczór, przyjaciele — powiedziała.

Od razu rozpoznałem ten wyraźny, kulturalny głos.

To był Atwood.

25.

Staliśmy, wpatrując się w niego. Zachichotał — miał to być chyba swobodny śmiech.

— Wyglądam trochę dziwnie — powiedział — ale to dlatego że nie jestem tu w całości. Część mnie poszła do domu.

Mój wzrok przystosował się do słabego światła i teraz widziałem go lepiej. Był wyraźnie powykrzywiany i zniekształcony, i trochę mniejszy, niż być powinien. Jedno ramię miał krótsze, był chudy i miał zniekształconą twarz. Mimo to ubranie leżało na nim znakomicie, jakby zostało specjalnie uszyte dla tak powykręcanej sylwetki.

— Poza tym — powiedziałem — nie ma pan swojego modelu. Wygrzebałem z kieszeni płaszcza małą lalkę, którą podniosłem z podłogi w suterenie domu Belmontów. — Daleki jestem od sprawiania panu kłopotu — dodałem.

Rzuciłem mu laleczkę, a on pomimo mroku chwycił ją bezbłędnie krótszą ręką. W tej samej sekundzie, kiedy ją chwycił, kiedy jego palce zetknęły się z nią, laleczka wtopiła się w niego — jakby ręka była ustami, które ją połknęły. Twarz stała się symetryczna, ramiona wyrównały się do tej samej długości i całkowicie ustąpiły zniekształcenia ciała. Teraz ubranie nie pasowało już: jeden rękaw sięgał tylko do łokcia na wydłużonej ręce. Atwood nadal był mniejszy, dużo mniejszy w porównaniu z tym, jakim go zapamiętałem.

— Dzięki — powiedział. — To bardzo pomaga. Nie trzeba tak bardzo się starać, żeby zachować swój kształt.

Rękaw rósł mu na rękę. Reszta ubrania też się zmieniła, by lepiej na nim leżeć.

— Ubrania to wielki kłopot — powiedział.

— Dlatego w biurze zostawiacie je na wieszakach.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

— Tak, był pan tam, oczywiście. Wyleciało mi to z pamięci... Muszę powiedzieć, panie Graves, że sporo się pan kręci w różnych miejscach.

— To już moja sprawa — odparłem.

— A ta druga osoba z panem?

— Przepraszam, powinienem państwa przedstawić: panna Kane — pan Atwood.

— Proszę się nie obrazić o to, co powiem — rzekł Atwood, przyglądając się Joy — ale wydaje mi się, że wy, ludzie macie najgorszy system reprodukcji, jaki kiedykolwiek widziałem.

— My to lubimy — powiedziała Joy.

— Ale to jest takie niewygodne, czy raczej uczyniono to tak nieporęcznym i skomplikowanym, otaczając tyloma nakazami moralnymi i zwyczajami społecznymi. Przypuszczam, że poza tym jest to całkiem niezłe.

— Pan, oczywiście nie wie tego na pewno — powiedziałem.

— Panie Graves — rzekł Atwood — musi pan zrozumieć, że chociaż odwzorowujemy wasze ciała, to nie musimy koniecznie wykonywać wszystkich związanych z nimi czynności.

— Nie tylko nasze ciała, ale może też inne rzeczy, na przykład bomby podłożone w samochodach.

— Och, tak — przypomniał sobie — takie proste rzeczy także.

— I pułapki ustawiane pod drzwiami.

— Następna prosta rzecz, niezbyt wymyślna, sam pan rozumie. Skomplikowane rzeczy to nie dla nas.

— Ale dlaczego właśnie pułapka? — dopytywałem się. — Na tym powinęła się wam noga. Przedtem nie wiedziałem o was, nawet do głowy by mi nie przyszło coś takiego. Gdyby nie było pułapki...

— I tak by się pan dowiedział. Pan umie zliczyć do dwóch. Widzi pan, my wiedzieliśmy o panu. Może nawet znamy pana lepiej, niż pan zna siebie. Wiedzieliśmy, co pan mógł zrobić i co pan by zrobił. Nie zawsze,

ale czasami wiemy też, co zdarzy się w najbliższym czasie. To zależy od pewnych czynników...

— Zaraz, czekaj pan, do diabła. Mówi pan, że wiedzieliście o mnie. Z pewnością nie tylko o mnie... ?

— Oczywiście, nie tylko o panu. Wiedzieliśmy trochę o każdym, kto mógł w jakimś momencie znaleźć się w takiej sytuacji, że odkryłyby naszą obecność. Chodziło o dziennikarzy, sędziów, pewnych urzędników państwowych, ważnych przemysłowców i...

— Zbadaliście te wszystkie przypadki?

— Każdy z nich — powiedział niemal z uśmiechem.

— Więc oprócz mnie byli też inni.

— Och, oczywiście, i to nawet sporo osób.

— Były pułapki i bomby...

— Dysponujemy szerszą gamą środków.

— Zamordowaliście ich wszystkich!

— Przyznaję, że tak, skoro pan nalega. Muszę jednak przypomnieć panu, że pan też nie jest całkiem w porządku. Kiedy pan tu szedł, miał pan zamiar wlać trochę kwasu do umywalki.

— Oczywiście — nie ukrywałem tego — ale teraz zdaję sobie sprawę, że nie na wiele by się to zdało.

— Możliwe, że pozbyłby się pan mnie, przynajmniej większej części mnie. Jak pan wie, byłem w rurze odpływowej.

— Mógłbym pozbyć się pana, ale, niestety, nie was wszystkich.

— Co pan ma na myśli?

— Mógłbym pozbyć się pana, ale w każdej chwili może być inny Atwood. Szczerze mówiąc, bez sensu jest ciągle pozbywać się Atwoodów, kiedy zawsze może powstać następny.

— Nie wiem. — Atwood zamyślił się. — Nie mogę was rozszyfrować. Jest w was coś nie do opisania, jakaś bezsensowna niekonsekwencja. Ustalacie sobie reguły zachowania, tworzycie wzory życia społecznego, a nie macie wzoru dla samych siebie. W jednej chwili możecie być niewiarygodnie głupi, a w następnej szalenie błyskotliwi. Wasza

najgorsza cecha to wrodzona wiara w przeznaczenie, w wasze własne przeznaczenie, nie cudze. To przerażająca właściwość, nawet jeśli się tylko o niej pomyśli.

— Nie miałyby pan mi za złe, gdybym wylał na pana kwas?

— Raczej nie.

— Na tym właśnie polega różnica pomiędzy nami — zauważyłem — i powinien ją pan uwzględnić. Mam panu czy też pańskiemu rodzajowi za złe to, że próbowaliście mnie zabić. A jeszcze bardziej to, że zamordował pan mojego przyjaciela.

— Proszę to udowodnić. — Atwood przybrał wyzywającą postawę.

— Co takiego?

— Proszę udowodnić, że zabiłem pańskiego przyjaciela — powtórzył. — To jest właśnie typowo ludzkie. Można się od wszystkiego wywinąć, jeżeli nikt ci nic nie udowodni. Ponadto, panie Graves, może pan myli punkty widzenia. Warunki zmieniają obraz tej sprawy.

— To znaczy, że w innych miejscach morderstwo nie jest przestępstwem, czy tak?

— Dokładnie — rzekł Atwood.

Płomyk lampki spirytusowej migotał nierówno i rzucał ruchome cienie. Wydawało się, to takie zwykłe: choć byliśmy przedstawicielami różnych planet i kultur, rozmawialiśmy jak dwaj ludzie. Było tak dlatego, że te rzeczy, bez względu na to, czym były, przybrały ludzki kształt, nauczyły się ludzkiej mowy i zachowywały się po ludzku, a nawet do pewnego stopnia przejęły ludzki sposób myślenia. Ciekawiło mnie, jak długo były na Ziemi i ile ich było. Możliwe, że od wielu lat zapoznawały się cierpliwie z naszą planetą, poznawały ludzkość, badały systemy społeczne, ekonomiczne i finansowe. Zrozumiałem, że musiało zabrać im to wiele czasu.

Joy położyła mi dłoń na ramieniu.

— Chodźmy stąd — powiedziała. — Nie podoba mi się ten typek.

— Panno Kane — odezwał się Atwood — jesteście nieźle przygotowani na waszą niechęć do nas. Prawdę mówiąc, po prostu o to nie dbamy.

— Dziś rano rozmawiałam z rodziną, która zamartwia się, bo nie ma gdzie mieszkać. Wieczorem spotkaliśmy inną rodzinę, też wyrzuconą na bruk, bo ojciec stracił pracę.

— Takie rzeczy zdarzają się od początku waszych dziejów — rzekł Atwood — więc proszę mnie o to nie oskarżać. Czytałem waszą historię; my nie stworzyliśmy tu nic nowego, to jest bardzo stare zjawisko. Zrobiliśmy to uczciwie i zapewniam panią, że całkowicie legalnie.

Pomyślałem, że wszyscy troje zachowujemy się jak aktorzy grający w moralitecie, w którym zwielokrotniono miliony razy grzechy ludzkości, by przez tę przesadę pokazać zło.

Poczułem, jak Joy zaciska dłoń na moim ramieniu. Być może dopiero teraz uświadomiła sobie amoralność istoty, z którą się zetknęliśmy. Może zrozumiała, że Atwood jest tylko widzialnym reprezentantem ogromnej, niezliczonej armii najeźdźców zdecydowanych odebrać nam Ziemię. Pod tą postacią siedzącą na stołku kryło się zło odległej planety, której mieszkańcy przybyli na Ziemię, by położyć kres ludzkości; co gorsza, nie tylko ludzkości, ale wszystkim jej wytworom i marzeniom.

Zrozumiałem, że tragedią jest nie koniec samej ludzkości, lecz koniec wszystkiego, czego była symbolem, wszystkiego, co stworzyła i co zamierzała stworzyć.

— Mimo że ludzkość może nas odrzucić — tłumaczył Atwood —a może nawet znienawidzić nas, nie zrobiliśmy nic nielegalnie, nawet według waszego sposobu pojmowania dobra i zła. Nie ma prawa, które zabraniałoby komukolwiek, nie wyłączając przybyszów z innych planet, zdobywać i posiadać dobra materialne. Pan, przyjacielu, czy ta dama towarzysząca panu macie niepodważalne prawo kupowania wszystkiego, czego zapagniecie, nawet gdybyście chcieli kupić i zatrzymać dla siebie cały świat.

— Dwie rzeczy stanęłyby nam na przeszkodzie — zauważyłem. — Jedna z nich to brak wystarczającej ilości pieniędzy.

— A druga?

— To byłoby cholernie w złym guście. Tego się po prostu nie robi. I może jeszcze trzecia rzecz: mianowicie prawo antymonopolowe.

— Ach, to już wzięliśmy—pod uwagę i przedsięwzięliśmy odpowiednie kroki.

— Nie wątpię.

— Kiedy się dojdzie do sedna sprawy, to właściwie potrzeba tylko pieniędzy.

— Mówi pan tak, jakby pieniądze były dla pana nowym pojęciem — zauważyłem, bo tak to właśnie zabrzmiało w jego ustach. — Czy to możliwe, że poza Ziemią pieniądze są zupełnie nie znane?

— Niech pan nie będzie śmieszny — odparł Atwood. — Wszędzie istnieje jakiś handel i są środki wymiany, ale nie takie, jak wasze pieniądze. Wasze pieniądze są więcej warte niż papier czy metal, z którego zostały zrobione, więcej niż rzędy cyfr na oznaczenie ich nominału. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby pieniądze miały wartość symboliczną, jaką wy im nadajecie. Z nimi związana jest władza i cnota, a ich brak uznajecie za nikczemność, nawet za swego rodzaju przestępstwo. Oceniacie ludzi według ich pieniędzy — one są miarą sukcesu i niemal obiektem czci.

Mówiłby dalej w takim tonie, gdybym mu pozwolił. Był przygotowany na wygłoszenie pełnego kazania.

— Niech pan spojrzy na to z praktycznej strony — przerwałem mu. — Zanim uporacie się z całym projektem, będziecie musieli wyłożyć więcej pieniędzy, niż kosztowała was sama Ziemia; więcej, niż ta cała planeta jest warta. Pozwalniacie ludzi z pracy i powyrzucacie ich z domów, a wtedy ktoś będzie musiał przynajmniej spróbować zatroszczyć się o nich. Rządy ustanowią programy pomocy na szeroką skalę i zaczną wypłacać ludziom zapomogi, które będą czerpać z podatków. Proszę zauważyć, że to będą podatki od własności, które wy

kupicie. Wyrzucacie ludzi z pracy i zabieracie im domy — w porządku, więc zaopiekujcie się nimi i zapłaćcie podatki przeznaczone na cele socjalne.

— Widzę, że pańskie serce krwawi z żalu nad nami — zakpił Atwood. — To bardzo ludzkie i dziękuję za współczucie, ale niepotrzebnie się pan o nas martwi. Będziemy płacili podatki, i to z największą przyjemnością.

— Moglibyście obalić rządy — powiedziałem — a wtedy nie byłoby podatków. Może już nad tym myślicie.

— Ależ skąd — zaprzeczył Atwood — nigdy nie planowaliśmy czegoś takiego. To byłoby nielegalne, a my, przyjacielu, nie łamiemy prawa.

Wiedziałem, że to nic nie pomoże. Nic nam już nie pomoże. Kosmici przejmą kontrolę nad Ziemią, surowcami naturalnymi i wszystkim, co zostało dotychczas stworzone, ale nie będą tego wykorzystywać we właściwy sposób, zgodnie z przeznaczeniem. Nie będą orali pól i siali zbóż, staną wszystkie fabryki, nie będzie się wytapiało metali ani ścinało drzew. Ludzie zostaną pozbawieni nie tylko swojej własności, ale i swego odwiecznego dziedzictwa. Razem z ziemią, domami, fabrykami i pracą, ze sklepikami i towarami przepadną nadzieje i marzenia, a może nawet wiara — atrybuty ludzkości. Nie miało większego znaczenia, jaką część Ziemi w rzeczywistości oni wykupią — nie musieli kupować całej planety. Wystarczyło, by zatrzymali przemysł, uniemożliwili handel i zniszczyli efektywność działania instytucji finansowych. Jeśli to zrobią, to położą kres pracy, kredytom i wszelkim interesom. Marzenia ludzkości legną w gruzach.

Właściwie nie miało znaczenia, że ci kosmici wykupowali domy i bloki mieszkalne, bo kiedy zrobią całą resztę, to te cztery ściany, które nazywamy domem, staną się naszą umieralnią. Kupowanie domów mogło być kampanią służącą przestraszeniu ludzi. Mogło to również świadczyć o tym, że kosmici nie zdawali sobie sprawy, jak niewiele potrzeba, żeby zadać nam śmiertelny cios.

Oczywiście, będą zapomogi i ulgi, żeby nie odbierać ludziom chleba i by zapewnić im dach nad głową. Nie będzie brakowało na to pieniędzy, bo kosmici chętnie zapłacą podatki. Ale w takiej sytuacji pieniądze będą bezwartościowe. Jaka będzie cena ziemniaków czy bochenka chleba, kiedy okaże się, że to już ostatnie ziemniaki i ostatni kilogram mąki na chleb?

Kiedy wszystko wyjdzie na jaw, zrodzi się opór, zarówno ze strony obywateli, jak i rządów. Tylko że do tego czasu kosmici na pewno ustalą jakieś metody samoobrony, o jakich nie mamy nawet pojęcia. Może będzie to strategia spalonej ziemi: spalą lub w jakiś inny sposób zniszczą domy, fabryki i inne budynki, żeby człowiek nie mógł odzyskać swoich środków utrzymania. Wtedy pozostanie już tylko walczyć o samą ziemię, ale to nie wystarczy do przetrwania.

Wiedziałem, że jeśli natychmiast zaczniemy działać, to jeszcze da się ich pokonać. Najpierw jednak trzeba było uwierzyć w to, co się działo. Nie było nikogo, kto by mi uwierzył. Z goryczą uświadomiłem sobie, że świat dopiero wtedy uzna tę groźną sytuację za prawdziwą, kiedy pograży się w chaosie — tylko że wtedy będzie już za późno.

Zrozumiałem, że jestem pokonany i że świat jest pokonany. Dawno temu Wells pisał o kosmitach, którzy zaatakowali Ziemię. Później jeszcze wielu wymyślało różne wersje kosmicznej inwazji. Pomyślałem, że nikt z nich nie napisał czegoś podobnego do tego, co się naprawdę wydarzyło. Nikt nie przewidział, jak to się stanie, w jaki sposób system, który tworzyliśmy z takim trudem przez wieki, obróci się przeciwko nam samym — w jaki sposób wolność i prawo do własności zamienią się w pułapkę zastawioną na swych twórców.

— Chodźmy stąd. — Joy pociągnęła mnie za ramię.

Odwróciłem się i ruszyliśmy do drzwi.

Doszedł mnie chichot Atwooda.

— Proszę przyjść do mnie jutro — powiedział Atwood. — Może pan i ja ubijemy interes.

26.

Deszcz wzmógł się. Nie była to ulewa, tylko nieprzyjemny, jednostajny deszcz. W powietrzu czuć już było zimowy chłód. Świat obracał się w ruinę i ta noc oddawała to. Zabrzmiało to może zbyt dramatycznie — dopiero chylił się ku upadkowi. W taką noc nasz świat chylił się ku upadkowi, nie wiedząc, kiedy i jak został osłabiony.

Otworzyłem Joy drzwi samochodu i zaraz je zamknąłem, nim weszła do środka.

— Zapomniałem, że tu może być bomba — wyjaśniłem.

Spojrzała na mnie i podniosła rękę, by odgarnąć kosmyk włosów, który spadł jej na oczy.

— Nie — rzekła — on przecież chciał z tobą jutro rozmawiać.

— Tak tylko powiedział. To miał być dowcip.

— Nawet jeżeli tu jest bomba, to ja nie wracam do miasta na piechotę, nie w taki deszcz i nie o tej porze. Zresztą przedtem nie podłożyli nam bomby.

— Pozwól, że wsiądę i włączę silnik. Odsuń się...

— Nie. — Otworzyła drzwi.

Usiadłem za kierownicą. Przekręciłem kluczyk i silnik zapalił.

— No widzisz — powiedziała Joy.

— Ale mogła być — odrzekłem.

— Nawet gdyby była, nie możemy żyć w ciągłym lęku. Jeśli zechcą, mogą nas zabić na milion sposobów.

— Już zabili Stirlinga i prawdopodobnie innych ludzi, dwa razy próbowali pozbyć się mnie.

— I za każdym razem im się nie udało. Mam przeczucie, że już nie będą próbowali.

— Kobięca intuicja?

— Parker, może oni też mają intuicję.

— A co to ma do rzeczy?

— Nie to chciałam powiedzieć. Miałam na myśli, że bez względu na to, jak wiele się o nas dowiedzą, jak bardzo się do nas upodobnią, by realizować swój plan, nigdy nie nauczą się myśleć tak jak my.

— Myślisz, że zrezygnują, skoro dwa razy nie udało im się kogoś zabić, tak?

— Wydaje mi się, że nie będą już więcej próbowali.

— A więc nie grożą mi już pułapki, bomby i coś w szafie. Być może mają przesady. Może kierują się logiką, jakiej nie znamy.

To były obce istoty. Nigdy nie będą myślały tak jak my. Miały jednak większą możliwość zrozumienia nas niż my ich. Badały nas, nikt nie wie jak długo. Było ich wiele — ile? Tego też nikt nie mógł wiedzieć. A może nie tak należało o nich myśleć? Może była tylko jedna istota, podzielona na części w postaci kul, tak że mogła być w wielu miejscach naraz.

Nawet jeżeli każda kula była odrębną istotą, stworzenia te były i tak bardziej sobie bliskie niż ludzie. Potrzeba ich było wiele, żeby stworzyć taką postać jak Atwood albo ta dziewczyna, z którą siedziałem w barze — potrzeba było wiele tych kul, żeby stworzyć imitację człowieka. Przyjmując ludzki kształt, musiały z sobą współpracować, wtedy dopiero mogły stać się jednością!

Wyjechaliśmy z miasteczka uniwersyteckiego na opustoszałą University Avenue i skierowaliśmy się do miasta.

— I co teraz? — zapytałem.

— Nie mogę jechać do swojego domu — rzekła. Joy. — Nie wrócę tam, bo może oni nadal tam są. — Po chwili dodała: — Musimy trochę odpocząć, schować się gdzieś przed deszczem i przespać się parę godzin.

— Tak — zgodziłem się — wiem. Moje mieszkanie...

— Nie myślałam o twoim mieszkaniu; jest równie niebezpieczne, jak mój dom. Może znajdziemy jakiś motel.

— Joy, mam w kieszeni najwyżej ze dwa dolary. Zapomniałem odebrać forszę.

— Ale ja odebrałam swoją.

— Joy...

— Tak, wiem, nie martw się, wszystko w porządku.

Jechaliśmy dalej.

— Która godzina? — spytałem.

Joy opuściła rękę, by światło z tablicy rozdzielczej padło na jej zegarek.

— Prawie czwarta.

— Co za noc — rzekłem.

Joy, zmęczona, oparła się na siedzeniu.

Po pewnym czasie skręciłem z ulicy, którą jechaliśmy.

— Dokąd jedziesz, Parker?

— Do redakcji. Muszę zadzwonić, i to daleko. Równie dobrze redakcja może za to zapłacić.

— Waszyngton? — domyśliła się Joy.

Skinąłem głową.

— Senator Roger Hill. Już czas pogadać z nim o tym.

— O tej porze?

— Przecież jest urzędnikiem państwowym, prawda? Tak przynajmniej mówi ludziom, kiedy zbliżają się wybory. A teraz cały kraj potrzebuje oddanych urzędników państwowych.

— Nie będzie cię za to lubił.

— Nie oczekuję tego.

Zatrzymałem się przy krawężniku na wprost ciemnego budynku. Widać było tylko słabe światła na trzecim piętrze i w pokoju agencyjnym na parterze.

— Chcesz iść ze mną?

— Nie — odpowiedziała Joy — zostanę tu i poczekam na ciebie. Zamknę drzwi i będę pilnowała, żeby ktoś nie podłożył bomby.

27.

Redakcja była opustoszała i zimna, przepełniona atmosferą oczekiwania, jak to zwykle bywa w podobnych miejscach, kiedy już wszyscy pójdą do domu. Byli, oczywiście, portierzy, nie zauważyłem jednak żadnego z nich. Lightning powinien być na dyżurze, ale było wielce prawdopodobne, że zaszył się w jakimś kącie, żeby przespać się ze dwie godziny.

Paliło się tylko kilka świateł i redakcja pełna była upiornych cieni niczym mroczny zamglony bulwar, oświetlony odległymi lampami.

Podszedłem do swojego biurka, usiadłem i wyciągnąłem rękę po słuchawkę, ale nie podniosłem jej. Siedziałem cicho nasłuchując.

Panowała głęboka cisza. Wydawało się, że cały świat pogrążył się w ciszy — że cisza tego pokoju wymknęła się na zewnątrz i nastąpiła na całej planecie.

Wolno podniosłem słuchawkę i wykręciłem numer centrali. Telefonistka odpowiedziała mi zaspianym głosem. Zdziwiła się grzecznie, kiedy powiedziałem, z kim chcę rozmawiać o takiej porze. Powiedziała jednak, że oddzwoni do mnie.

Odłożyłem słuchawkę. Usiłowałem zastanowić się nad sytuacją, ale późna pora dawała mi się we znaki i mój umysł odmówił współpracy. Uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem zmęczony.

Po chwili zadzwonił telefon.

— Zgłosił się pański rozmówca, panie Graves — poinformowała telefonistka.

— Witaj, Rog — przywitałem się.

— Czy to ty, Parker? — usłyszałem. — Do diabła, co ty wyprawiasz? Budzisz mnie w środku nocy.

— Rog, to bardzo ważne. Wiesz, że nie dzwoniłbym do ciebie, gdyby tak nie było.

— Mam nadzieję. Późno położyłem się spać.

— Miałeś jakąś ważną sprawę?

— Mieliśmy małą naradę. Musieliśmy omówić parę spraw.

— Stało się coś niepokojącego?

— Niepokojącego?

— Na przykład okazało się, że w bankach jest za dużo pieniędzy.

— Słuchaj, Parker — rzekł Roger — jeśli próbujesz coś ze mnie wydobyć, to tracisz czas.

— Ależ ja nie chcę nic od ciebie wydobyć, tylko chcę ci coś powiedzieć. Musisz mnie wysłuchać.

— Słucham.

— Na Ziemi są kosmici — powiedziałem — przybysze z innej planety. Widziałem ich, rozmawiałem z nimi i...

— Już rozumiem — przerwał mi. — Jest piątkowa noc i ty masz kaca pierwszego stopnia.

— Mylisz się. Jestem trzeźwy jak...

— Wzięłeś wypłatę, poszedłeś gdzieś i...

— Nie wziąłem dzisiaj wypłaty. Byłem bardzo zajęty i zapomniałem o tym.

— No proszę, a jednak jesteś pijany. Ty nigdy nie zapominasz o wypłacie. Stoisz tam, uczepiony słuchawki...

— Do diabła, Rog, posłuchaj mnie...

— Wróć do łóżka — zignorował moje słowa — i prześpij się. Jeśli potem nadał będziesz chciał ze mną rozmawiać, to zadzwoń.

— A idź do diabła! — krzyknąłem, ale już mnie nie słyszał. Rozłączył się.

Miałem ochotę trzasnąć słuchawką, ale nie zrobiłem tego. Coś mnie powstrzymało, może od złości silniejsza była głęboka świadomość porażki.

Siedziałem, ściskając słuchawkę w dłoni. Wiedziałem, że nie ma nadziei, żeby ktoś mi uwierzył, albo przynajmniej wysłuchał tego, co miałem do powiedzenia. Pomyślałem, że ludzie zachowują się prawie tak, jakby wszyscy byli Atwoodami. Jakby każdy z nich był imitacją człowieka zbudowaną z tych obcych istot, które zaatakowały Ziemię.

Jeśli się nad tym zastanowić, być może tak właśnie było;.. To mogło się wydarzyć. Ci kosmici byli zdolni do czegoś takiego. Lodowaty dreszcz przebiegł mi po plecach. Poczułem się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie.

Pomyślałem, że może naprawdę zostałem tylko ja.

A jeśli senator Roger Hill nie był człowiekiem, nie był tym samym człowiekiem, co pięć lat temu? A jeśli to, co pozostało z prawdziwego ludzkiego Rogera Hilla, leżało gdzieś ukryte, a ze mną rozmawiał obcy, fałszywy Roger Hill? Co, jeśli stary nie był już prawdziwym starym tylko jakąś ohydłą rzeczą, która przybrała jego postać? Jeśli dyrektorzy wielkich hut nie byli już ludźmi? Jeśli ludzie na poważnych stanowiskach zniknęli jeden po drugim, a ich miejsce zajęło to coś z innej planety, tak uformowanej przeszkolone, że zostało przyjęte przez rodziny i znajomych w miejsce swych ofiar?

A jeśli ta kobieta, która czekała na mnie w samochodzie... Nie, to był absurd, niedorzeczny wytwór wyobraźni, który mógł powstać tylko w głowie kogoś tak zmęczonego i chorego, że nie mógł już rozsądnie myśleć.

Odłożyłem słuchawkę i odsunąłem aparat. Wstałem, drżąc cały; otaczała mnie pustka i cisza.

28.

Wyszedłem z budynku i skierowałem się do samochodu, w którym czekała na mnie Joy. Migający znak „Miejsc brak” rzucał zielone i czerwone błyski na mokrą nawierzchnię ulicy. To bezustanne miganie było jak ostrzeżenie dla świata. W głębi górowały ciemne bryły budynków ze słabymi światłami nad drzwiami wejściowymi. W karoseriach zaparkowanych samochodów odbijały się przytłumione błyski neonu.

— W motelu brak miejsc — oznajmiła Joy. — Człowiek czuje się niepotrzebny.

Pokiwałem głową. To był już piąty motel, w którym nie było wolnych miejsc; informowały o tym neony. Jeden z moteli był nie oznakowany i zupełnie ciemny. Zwolniłem i zatrzymałem samochód. Siedzieliśmy, patrząc na neon.

— Powinniśmy byli o tym wiedzieć — rzekła Joy. — Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że ubiegli już nas ci wszyscy ludzie, którzy nie mogli znaleźć mieszkania. Może niektórzy z nich mieszkają w hotelach już od tygodni.

Ciągle siąpiło, na przedniej szybie popiskiwały wycieraczki.

— Może to nie był dobry pomysł — odezwałem się. — Może...

— Nie, Parker — przerwała mi — żadne z naszych mieszkań — ja bym umarła.

Pojechaliśmy dalej. Dwa kolejne motele również były pełne.

— To niemożliwe — dziwiła się Joy. — Nigdzie nie ma miejsc. W hotelach chyba nie będzie lepiej.

— Możliwe, że gdzieś jest jeszcze wolne miejsce — pocieszyłem ją. — Być może w tym nie oświetlonym, zamkniętym motelu, który minęliśmy.

— Skoro było ciemno, to znaczy, że nikogo tam nie ma.

— Przynajmniej będziemy mieli tam dach nad głową. Ten człowiek nad jeziorem włamał się i my możemy zrobić to samo.

Zawróciłem na jezdni; nikt nie nadjeżdżał i nie groził nam wypadek.

— Pamiętasz, gdzie to było? — zapytała Joy.

— Chyba tak.

Przejechałem ze dwa bloki za daleko, cofnąłem się i zatrzymałem się przy ciemnym, nie oznakowanym motelu.

— Kupiony i zamknięty — odgadłem. — Zamknięty szybko i bez problemów. Nie tak jak w bloku, gdzie trzeba wcześniej zawiadomić lokatorów.

— Tak sądzisz? — rzekła Joy. — Myślisz, że to Atwood kupił to miejsce?

— Dlaczego więc jest zamknięty? Gdyby kto inny był właścicielem, motel byłby otwarty, nie uważasz?

Zjechałem na podjazd. Światła reflektorów omiotły zaparkowany samochód.

— Ktoś nas ubiegł — zaniepokoiła się Joy.

— Nie martw się — uspokoiłem ją. — Wszystko będzie dobrze.

Przejechałem przez plac przy motelu, zahamowałem; światła oświetlały ten drugi samochód. Za mokrą szybą widniały rozmazane plamy twarzy wpatrujących się w nas ze zdziwieniem.

Odczekałem chwilę, po czym wysiadłem z samochodu. Drzwi kierowcy w drugim samochodzie otwarły się i wysiadł jakiś mężczyzna. Ruszył w moim kierunku.

— Szuka pan noclegu? — zapytał. — Tu nie ma miejsc.

Był w średnim wieku, dobrze ubrany, choć jego ubranie było trochę wygniecione. Pod płaszczem miał elegancki garnitur, na głowie drogi kapelusz. Do wyczyszczonych butów przylegały kropelki deszczu i pobłyskiwały w świetle.

— Nie ma tu miejsc — powtórzył. — Sprawdzałem.

Potrząsnąłem głową. Na jego widok ścisnęło mnie w żołądku.

Miałem oto przed sobą następnego bezdomnego.

— Proszę pana — rzekł — niech mi pan powie, co się dzieje. Pan nie jest policjantem, prawda? A nawet jeśli pan jest, to i tak już mi wszystko jedno.

— Nie jestem gliną — uspokoilem go.

Ton jego głosu graniczył z histerią — mówił jak człowiek, który wyczerpał już wszystkie możliwości. To był człowiek, który widział, jak jego świat wali się w gruzy, powoli, nieubłaganie, a on był całkowicie bezradny.

— Jestem w podobnej sytuacji — wyjaśniłem. — Ja także szukam schronienia.

— Nazywam się John Quinn — przedstawił się. — Jestem wiceprezesem towarzystwa ubezpieczeniowego. Zarabiam prawie czterdzieści tysięcy rocznie i stoję tu bez dachu nad głową. Rodzina nie ma gdzie się schować przed deszczem, oczywiście poza samochodem. — Przyjrzał mi się. — No, niech się pan śmieje, proszę bardzo.

— To mnie wcale nie śmieszy — powiedziałem.

— Sprzedaliśmy dom prawie rok temu — tłumaczył mi Quinn. — Mieliśmy do przeprowadzki dosyć czasu i wzięliśmy za niego więcej, niż mogliśmy się spodziewać. Widzi pan, potrzebowaliśmy większego domu, bo rodzina się powiększyła. Bardzo nam nie odpowiadało, że musieliśmy go sprzedać. To był ładny dom i przyzwyczailiśmy się do niego, ale potrzebowaliśmy więcej miejsca.

Pokiwałem głową. Ta sama stara historia.

— Niech pan posłucha — przerwałem mu — nie stójmy tu na deszczu.

Jakby mnie wcale nie słyszał. Musiał się wygadać. Może byłem pierwszym człowiekiem, z którym mógł naprawdę porozmawiać, bo ja także, podobnie jak on, szukałem schronienia.

— Nigdy by nam to nie przyszło do głowy — kontynuował. — Myśleliśmy, że to będzie proste. Termin przeprowadzki był odległy i mieliśmy wystarczająco dużo czasu, by znaleźć odpowiedni dom.

Niestety, nie udało nam się. Oczywiście były ogłoszenia, ale zawsze zjawialiśmy się za późno i okazywało się, że dom został już sprzedany. Zwracaliśmy się do przedsiębiorstw budowlanych, ale każde obiecywało nam dom najwcześniej za dwa lata. Próbowałem nawet przekupić jednego czy dwóch facetów, ale na nic się to nie zdało. Powiedzieli, że mają masę zleceń. Wiele firm miało zamówienia na sto czy więcej domów. To niewiarygodne, prawda?

— Rzeczywiście — zgodziłem się.

— Powiedzieli, że przyjęliby moje zamówienie, gdyby mogli zdobyć więcej pracowników. Ale wszyscy murarze są już zajęci. Postaraliśmy się o przełożenie terminu przeprowadzki najpierw o trzydzieści dni, później o sześćdziesiąt, wreszcie o dziewięćdziesiąt, ale w końcu musieliśmy się wyprowadzić. Zaproponowaliśmy nabywcy pięć tysięcy dolarów za unieważnienie umowy o sprzedaż, ale się nie zgodził. Powiedział, że przykro mu, lecz kupił dom, bo go potrzebuje. Przypomniał mi, że i tak dał nam trzy miesiące więcej na przeprowadzkę. Nie mieliśmy się gdzie podziać, nie mamy żadnej rodziny, przynajmniej tutaj, która by nas przyjęła. Mogliśmy wysłać dzieciaki za miasto do krewnych, ale nie chcieliśmy rozdzielać rodziny, oni zresztą też mają swoje problemy. Oczywiście mamy wielu przyjaciół, ale nie można im sprawiać kłopotu. Nie chciałbym nawet, żeby się dowiedzieli, w jakiej jesteśmy sytuacji. Duma, rozumie pan... Człowiek robi dobrą minę w nadziei, że wszystko się jakoś ułoży. Próbowałem już wszystkiego — ciągnął. — Hotele i motele są przepełnione, nie ma żadnych wolnych miejsc. Próbowałem kupić domek kempingowy, ale była już lista czekających. Boże wielki, lista na pięć lat!

— I dzisiaj znalazł się pan tutaj — dokończyłem.

— Tak — potwierdził. — Tu, na uboczu, jest przynajmniej cicho.

Nie jeżdżą samochody, nie chodzą ludzie. Jest ciężko, zwłaszcza dla żony i dzieciaków. Mieszkamy w samochodzie już prawie miesiąc. Jemy w restauracjach, jeśli się uda, bo zwykle są pełne. Najczęściej jadamy

coś w przydrożnych knajpach albo kupujemy coś i jedziemy za miasto na taki piknik. Dawniej pikniki były przyjemne, ale teraz znudziły się nawet dzieciakom. Sprawy higieny załatwiamy na stacjach obsługi, pranie oddajemy do pralni. Każdego ranka ja jadę do pracy, a żona odwozi dzieci do szkoły, potem cały dzień szuka jakiegoś mieszkania, aż przyjdzie pora powrotu dzieci ze szkoły. Na koniec wszyscy przyjeżdżają po mnie i razem szukamy jakiegoś miejsca, by zjeść obiad. Wytrzymałiśmy tak przez miesiąc, ale dłużej już chyba nie damy rady. Dzieci się dopytują, kiedy znowu będziemy mieli dom, poza tym nadchodzi zima. Nie możemy mieszkać w samochodzie, kiedy zrobi się zimno i zacznie padać śnieg. Jeśli nie znajdziemy żadnego mieszkania, będziemy zmuszeni wyjechać do innego miasta, gdzie może coś się znajdzie. Będę musiał zrezygnować z pracy i...

— To nic wam nie pomoże — powiedziałem. — Nie ma dokąd jechać, wszędzie jest tak samo.

— Niech mi pan powie, co się dzieje? — Jego głos podniósł się ze zdenerwowania. — O co tu chodzi?

— Nie wiem — okłamałem go, nie mogłem mu powiedzieć prawdy. To by tylko pogorszyło sprawę. Lepiej, żeby jeszcze o niczym nie wiedział.

Pomyślałem, że wszędzie do tego dojdzie. Ludzie staną się nomadami wędrującymi w poszukiwaniu lepszego miejsca. Na początku całymi rodzinami, później może będą się łączyć w plemiona. W końcu większość z nich znajdzie się w obozach lub w czymś, co będzie je przypominało, bo tylko w taki sposób istniejące rządy będą mogły się nimi zaopiekować. Przetrwają jednak pojedynczy wędrowcy walczący, o dach nad głową i kawałek Chleba. Może uda im się pod wpływem szalonego gniewu zdobyć jakiś dom.

Będą zdobywali żywność kradnąc, będą gromadzili ją. Ale kosmici będą palili domy, czy też niszczyli je w inny sposób. Nikt im tego nie zabroni, bo będą ich prawowitymi właścicielami i nie będą się bali działać otwarcie. Nie ma sposobu, aby ich przekonać. Trudno ich złapać

i zabić, bo wszędzie mają nory, przez które mogą wycofać się do swojego świata.

Przyjdzie czas, kiedy zabraknie domów i żywności, mimo to człowiek być może przetrwa. Może z każdego tysiąca ludzi przeżyje tylko jeden człowiek i kiedyś przyjdzie dzień zwycięstwa kosmitów w tej wojnie, której nam nigdy nie wypowiedzieli. Człowiek stanie się intruzem na planecie, która niegdyś do niego należała.

— Proszę pana — odezwał się mężczyzna — nawet nie wiem, jak pan się nazywa.

— Nazywam się Graves — przedstawiłem się.

— Więc jaka jest odpowiedź, panie Graves? Co mamy robić?

— To, co już dawno powinien pan zrobić. Włamiemy się do tego motelu. Pan z rodziną zamieszka na górze, będziecie mieli kuchnię i łazienkę dla siebie.

— Włamać się?!

Pomyślałem, że w tym tkwi sedno sprawy. Nawet w krytycznej sytuacji człowiek ma poszanowanie dla prawa — nie wolno kraść, włamywać się, nie wolno przywłaszczać sobie cudzej własności. Te właśnie prawa doprowadziły nas na krawędź przepaści...

— Musi pan położyć gdzieś dzieci spać — powiedziałem. —I mieć miejsce, żeby się ogolić.

— Zaraz ktoś przyjdzie i...

— Jeśli ktoś się zjawi i spróbuje pana wyrzucić, to proszę użyć pistoletu.

— Nie mam broni.

— Więc proszę sobie kupić. Zaraz jutro z rana.

Sam się zdziwiłem, jak łatwo zmieniłem się z prawego obywatela w całkiem innego człowieka, gotowego ustanawiać nowe prawa, by dzięki nim przetrwać.

29.

Przez uchylone żaluzje wpadało poranne słońce. Pokój był cichy i ciepły. Nie mogłem przypomnieć sobie od razu, gdzie jestem. Leżałem z przymkniętymi oczami. Czułem ciepło promieni słonecznych, miękkość łóżka i zapach perfum.

Przypomniałem sobie, że takich perfum używa Joy.

— Joy — powiedziałem, siadając na łóżku. Momentalnie wszystko do mnie powróciło: deszczowa noc i kolejne wydarzenia.

Drzwi do sąsiedniego pokoju były uchylone, ale nikogo tam nie było.

— Joy — powtórzyłem, wygrzebując się z pościeli.

Bosymi stopami poczułem zimno posadzki; owionął mnie zimny powiew, który wpadł przez uchylone okno. Podszedłem do uchylonych drzwi i zajrzałem do pokoju. W łóżku nie było Joy; stało nie zasłane, przykryte tylko kocem.

Zauważyłem karteczkę przypiętą do drzwi. Oderwałem ją i zacząłem czytać:

Kochany! Biorę wóz i jadę do redakcji. Muszę przejrzeć artykuł do niedzielnego numeru. Wrócę po południu. I gdzie jest ta oślawiona męskość? Nawet nie próbowałeś się do mnie dobierać. Joy.

Trzymając wciąż kartkę, wróciłem do swojego pokoju i usiadłem na łóżku. Spodnie, koszula i marynarka leżały przerzucone przez oparcie krzesła, pod krzesłem zaś stały buty z wetkniętymi w środek skarpetami. W kącie stał karabin, który zabrałem z laboratorium Stirlinga. Przypomniałem sobie, że poprzednio był w samochodzie — widocznie przed odjazdem do redakcji Joy wyjęła go i przyniosła tutaj.

Joy, zdaje się, przyzwyczała się do warunków. Może człowiek z początku przystosuje się łatwo, zadowolony, że w ogóle udało mu się jakoś przetrwać, ale z czasem przyjdzie gniew, świadomość, jak wiele się utraciło, i to bezpowrotnie.

Ludzie musieli pracować, by mieć pieniądze na życie. Pomyślałem, że tu chodzi jednak o coś ważniejszego niż pieniądze. Może to był jedyny sposób, by zachować poczucie rzeczywistości, by zachować świadomość, że nie wszystko uległo zmianie.

Co dalej miałem robić?

Mogłem wrócić do redakcji, usiąść przy swoim biurku i spróbować napisać kilka kolumn przed moim zaplanowanym wyjazdem. Myśl o podróży wydała mi się śmieszna, zupełnie zapomniałem o wyjeździe. Odniosłem wrażenie, że to coś nowego, o czym dopiero się dowiaduję, albo coś tak dawnego, że po prostu zapomniałem o tym.

Mogłem udać się do redakcji, ale po co? Żeby napisać kilka stron tekstu, którego nikt nie przeczyta, dla gazety, która za kilka dni może przestanie wychodzić?

Może ludzie nie chcieli mnie słuchać, po prostu woleli nie wiedzieć. Upuściłem kartkę od Joy na podłogę i wziąłem z krzesła koszulę — przede wszystkim musiałem się ubrać.

Wyszedłem na werandę. Był piękny słoneczny dzień, bardziej letni niż jesienny. Tylko połyskujące gdzieś kałuże przypominały o nocnym deszczu.

Spojrzałem na zegarek: było prawie południe.

Przy drugiej części motelu stał samochód agenta ubezpieczeniowego, ale nie było nigdzie śladu Quinna ani nikogo z jego rodziny. Była sobota, pewnie wszyscy jeszcze spali. Pomyślałem, że należało im się to — porządny odpoczynek w prawdziwym domu.

Przy ulicy stał znak restauracji i uświadomiłem sobie, że jestem głodny. Może mieli tam telefon — powinienem zadzwonić do Joy.

Obsługa była w lokalu szybka, jedzenie dość tłuste. Było tłoczno. Przecisnąłem się przez tłum do bufetu i zająłem stołek, gdy tylko jakiś

mężczyzna skończył jeść i wstał.

Podeszła kelnerka, przekazałem jej zamówienie, potem znów przedzierając się przez tłum, skierowałem się do budki telefonicznej stojącej w kącie. Zdołałem wcisnąć się do kabiny i zamknąć za sobą drzwi. Wrzuciłem monetę i wykręciłem numer. Poprosiłem telefonistkę o połączenie mnie z Joy.

— Już przejrzałaś ten artykuł? — zapytałem na powitanie.

— Ty śpiochu — zbeształa mnie. — O której wstałaś?

— Przed paroma minutami. Dlaczego pytasz?

— Gavin jest cały w nerwach. Jest jakaś sprawa, a on nie może położyć na tym ręki.

— Chodzi o...

— Nie wiem. — Joy widocznie wiedziała, co miałem na myśli. — Możliwe. W bankach nie ma pieniędzy. Wiem, że...

— Brak gotówki! Wczoraj Dow powiedział, że toną w forsie.

— I chyba miał rację — rzekła Joy. — Ale dzisiaj już tak nie jest, większość pieniędzy zniknęła. Wczoraj w południe pieniądze jeszcze były, potem zamknęli banki na noc i część z nich po prostu wyparowała.

— Nikt się do tego nie przyzna.

— Dokładnie tak. Ci, do których dotarli Gavin i Dow, milczą jak grób, nic nie wiedzą. Wielu innych — zwłaszcza z dużych, znaczących banków — jest nieuchwytnych. Wiesz, jak to jest z bankierami w soboty — trudno ich złapać.

— Tak — zgodziłem się — wyjeżdżają pograć w golfa albo powędkować.

— Parker, myślisz, że Atwood maczał w tym palce?

— Nie wiem — odparłem. — Wcale nie byłbym zdziwiony. Sprawdzę to.

— Co możesz zrobić?

— Mogę iść do domu Belmontów. Atwood powiedział...

— Nie podoba mi się to. Już raz tam byłeś.

— Będę się trzymał z daleka od kłopotów. Poradzę sobie z Atwoodem.

— Nie masz samochodu.

— Wezmę taksówkę.

— Nie masz pieniędzy na taksówkę.

— Kierowca poczeka na mnie i wracając wstąpię do redakcji.

Odbiorę wypłatę.

— Ty myślisz o wszystkim.

— No, prawie o wszystkim.

Odwieszając słuchawkę, zastanawiałem się, czy w ogóle myślę o czymkolwiek.

30.

Od razu zauważyłem, że ktoś zamknął okno. Zostawiłem je otwarte, kiedy uciekałem stąd poprzedniej nocy. Miałem wtedy śmieszne uczucie, że mimo wszystko powinienem jednak wrócić i zamknąć je.

Dzisiaj okno było zamknięte i wisiały w nim zasłony. Próbowałem sobie przypomnieć, czy wczoraj też tu były.

W jasnym słońcu dom wyglądał staro i ponuro. Od wschodu słychać było odległy szum wody. Stałem, patrząc na dom, i powtarzałem sobie, że nie mam się czego obawiać. To był tylko stary, zwykły dom. Promienie słońca łagodziły jego ponure kształty.

— Czy chce pan, abym zaczekał? — zapytał taksówkarz.

— Tak. To nie będzie długo trwało — powiedziałem.

— To zależy od pana. Mnie jest wszystko jedno.

Ruszyłem w kierunku domu; pod stopami szeleściły liście na ścieżce. Zdecydowałem, że zacznę w sposób cywilizowany: wejść drzwiami. Jeśli nikt nie otworzy, będę musiał wejść przez okno jak poprzednio. Z pewnością taksówkarz będzie się zastanawiał, co mam zamiar zrobić, ale w końcu to nie jego interes.

Pomyślałem, że okno może być zabezpieczone od środka, skoro ktoś je zamknął. Nie stanowiło to jednak dla mnie przeszkody — teraz już nic nie mogło mnie powstrzymać.

A w ogóle po co ja tu przyjechałem? Może kierował mną instynkt. Joy mówiła coś o instynkcie — a może mówił o tym Atwood? Nie mogłem sobie przypomnieć.

Wszedłem po schodach, naciśnąłem dzwonek i czekałem. Już miałem zadzwonić ponownie, kiedy usłyszałem kroki.

Przypomniałem sobie, że wczoraj dzwonek był zepsuty. Teraz działał, poza tym okno było zamknięte i z korytarza dochodziły czyjeś

kroki.

Drzwi otwarły się i stanęła w nich dziewczyna ubrana w czarnobiałe fartuszki pokojówki.

Patrzyłem na nią, zaskoczony.

Pokojówka stała bez ruchu, czekając na moją reakcję. Miała impertynencki wyraz twarzy.

— Miałem nadzieję znaleźć tutaj pana Atwooda — wydusiłem z siebie.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Wszedłem do korytarza, który również uległ przemianie. Wczoraj dom był zakurzony i opuszczony, a nieliczne meble przykryto pokrowcami. Teraz wewnątrz wyglądało na zamieszkane, kurz zniknął, posadzka i boazeria były wypolerowane do połysku. W rogu stał antyczny drewniany wieszak. Obok błyszczało wielkie lustro, świeżo wypolerowane.

— Pański płaszcz i kapelusz — powiedziała pokojówka. — Pani czeka w gabinecie.

— Ale Atwood... tu był Atwood...

— Pana Atwooda tu nie ma, proszę pana.

Wzięła ode mnie kapelusz i czekała na płaszcz. Zdjąłem go i podałem jej.

— Tędy, proszę — wskazała drogę.

Drzwi były otwarte i wszedłem do pokoju, gdzie na półkach od podłogi do sufitu stały książki. Przy biurku pod oknem siedziała blondynka, którą spotkałem w knajpcie.

— Dzień dobry, panie Graves — przywitała się. — Cieszę się, że pan przyszedł.

— Atwood powiedział mi, że...

— Niestety, pana Atwooda nie ma już wśród nas.

— A pani z pewnością ma go zastąpić.

Była lodowata i pachniała fiołkami. Jasnowłosa bogini i zarazem sprawna sekretarka, a ponadto istota z innej planety i perfekcyjna lalka,

którą kiedyś trzymałem w dłoni.

— Jest pan zaskoczony, panie Graves?

— Nie, już nie. Może przedtem, ale teraz już nie.

— Przyszedł pan porozmawiać z Atwoodem. Mieliśmy nadzieję, że pan przyjdzie. Potrzebujemy ludzi takich jak pan.

— Podobnie jak ja potrzebuję dodatkowej głowy.

— Nie zechce pan usiąść, panie Graves? I proszę nie żartować sobie ze mnie.

Usiadłem naprzeciwko niej, oddzielało nas biurko.

— Czego ode mnie oczekujecie? — zapytałem. — Czy mam się załamać i zacząć rozpaczać?

— Pan nie musi nic robić — zapewniła mnie — proszę tylko być sobą. Porozmawiajmy tak, jakbyśmy byli dwojgiem ludzi.

— Pani, oczywiście, nie jest człowiekiem.

— Nie, panie Graves, nie jestem.

Siedzieliśmy, patrząc na siebie. Było to dosyć krępujące. Jej twarz pozostała nieruchoma, nie wyrażała żadnych uczuć — po prostu zimna piękność.

— Gdyby pan był inny — przerwała niezręczne milczenie — postarałabym się, aby pan zapomniał, że nie jestem człowiekiem. Ale pan nie dałby się na to nabrać.

Potrząsnąłem przecząco głową.

— Mnie też jest przykro z tego powodu — powiedziałem. — Proszę mi wierzyć. Nie pragnąłbym niczego innego, jak tylko móc uważać panią za kobietę.

— Gdybym była kobietą, panie Graves, uznałabym to za największy komplement w moim życiu.

— A skoro pani nią nie jest?...

— Chyba nadal jest to dla mnie komplement.

Przyjrzałem się jej uważniej. Zastanowiło mnie nie tylko to, co powiedziała, ale w jaki sposób to powiedziała.

— Może mimo wszystko jest w pani coś ludzkiego — rzekłem.

— Nie, nie oszukujmy się. Przede wszystkim powinien mnie pan nienawidzić, co, jak sędzę, jest prawdą. No, może nie do końca. Natomiast ja powinnam mieć dla pana głęboką pogardę, ale mówiąc szczerze, tak nie jest. Myślę, że mimo wszystko powinniśmy z sobą porozmawiać.

— Dlaczego akurat ze mną? Jest tylu ludzi...

— Pan o nas wie, panie Graves — pan i kilka innych osób. Na całym świecie tylko kilka osób, zdziwiłby się pan, jak niewiele.

— Mam siedzieć cicho.

— Doprawdy, panie Graves, sam pan wie najlepiej, jak jest. Ile znalazło się do tej pory osób gotowych wysłuchać pana?

— Dokładnie jedna — odparłem.

— Ta dziewczyna. Pan ją kocha i ona kocha pana.

Pokiwałem głową.

— Więc jak pan widzi, akceptacja pańskiej opowieści ma podłoże czysto emocjonalne.

— Sędzę, że można tak powiedzieć. — Czułem się jak skończony głupiec.

— Przejdźmy więc do interesów. Powiedzmy, że dajemy panu szansę na zrobienie bardzo korzystnego interesu. Nie zwrócilibyśmy się z tym do pana, gdyby nie wiedział pan o nas, ale skoro już pan wie, to nie mamy nic do stracenia.

— Interesu? — udałem zdziwienie.

— Tak, dlaczego by nie. Pan będzie... zaraz, jak wy to nazywacie? — współzałożycielem spółki, dobrze mówię?

— Ale w transakcji tego rodzaju...

— Niech pan posłucha, panie Graves. Proszę pozbyć się złudzeń. Nas nie można powstrzymać, już nic nie jest w stanie nas powstrzymać. Po prostu sprawy zaszły za daleko. Może wcześniej mieliście szansę, ale teraz już jej nie macie. Niech mi pan wierzy, panie Graves, już jest za późno.

— Skoro jest już za późno, to po co się mną zajmujecie?

— Pan może być dla nas użyteczny — wyjaśniła. — Są pewne rzeczy, które może pan dla nas zrobić. Kiedy ludzie dowiedzą się, co się dzieje, gotowi się zbuntować. Czy nie mam racji, panie Graves?

— Siostró — powiedziałem — nie wiesz nawet w połowie, co się stanie.

— Niech pan zrozumie, że my nie chcemy żadnych kłopotów, lub przynajmniej jak najmniejszych. Czujemy, że moralnie i prawnie stoimy na mocnym gruncie; przestrzegaliśmy wszystkich zasad ustanowionych przez wasze społeczeństwo. Nie złamaliśmy dotąd żadnego prawa i mamy nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do zastosowania programu pacyfikacji. Zapewniam pana, że ludzie też woleliby tego uniknąć, bo może się to okazać bardzo, bardzo bolesne. Chcemy już skończyć tę operację i przejść do następnego etapu. Zrobimy, co w naszej mocy, by wszystko przebiegło gładko, a pan może nam w tym pomóc.

— Dlaczego miałbym wam pomóc?

— Panie Graves, wyświadczy pan przysługę nie tylko nam, ale również całej ludzkości. Jeżeli zrobi pan coś, żebyśmy mogli działać sprawnie, to będzie to także korzystne dla ludzi. Bez względu na to, co zrobicie, koniec będzie taki sam. Nie ma więc powodów, dla których ludzie mieliby niepotrzebnie cierpieć. Jest pan ekspertem w dziedzinie komunikacji masowej...

— Nie aż takim ekspertem, jak pani myśli.

— Ale zna pan różne sposoby i sztuczki. Umie pan pisać przekonywająco...

— Są tacy, którzy robią to lepiej.

— Ale my mamy tylko pana, panie Graves.

Nie podobał mi się sposób, w jaki to powiedziała.

— Więc chcecie, żebym uspokajał ludzi, bym uspił ich czujność.

— Tak, a ponadto chcemy, by nam pan radził, jak mamy się zachowywać w różnych sytuacjach.

— Wy już to wiecie, dużo lepiej ode mnie.

— Chyba pan myśli, panie Graves, że całkowicie przyswoiliśmy sobie ludzki punkt widzenia, że możemy myśleć i działać jak ludzie. Ale tak nie jest. Na pewno znamy to, co wy nazywacie interesami. Zgodzi się pan chyba, że znamy to raczej dobrze, podobnie jeśli chodzi o wasze prawa. Są jednak dziedziny życia, których nie zdążyliśmy poznać. Ludzką naturę znamy tylko w pewnym stopniu, orientujemy się na przykład, jak postępujecie w świecie interesów. Niewiele wiemy o innych aspektach waszej natury. Nie mamy pojęcia, jak zachowują się ludzie, kiedy odkrywają prawdę.

— Boicie się?

— Nie, nie boimy się. Jesteśmy gotowi postępować bezwzględnie, jeśli to będzie konieczne.

— OK. Napiszę to dla was, ale co to da? Kto to opublikuje? Jak przekażecie to ludziom?

— Proszę to napisać — powiedziała jasnowłosa lodowata piękność — a wtedy już my się tym zajmiemy. Rozprowadzimy to i przekażemy ludziom. To już nie pańskie zmartwienie.

Bąłem się. Może byłem też trochę zły, ale strach był silniejszy. Uświadomiłem sobie, jak bezlitośni są kosmici. Nie działali z nienawiści czy żądzą zemsty, nie byli naszymi wrogami w takim sensie, jak my to rozumiemy. Byli nieubłaganą, niszczycielską siłą, która po prostu nie dbała o swoje ofiary. Dla nich Ziemia była tylko jedną z wielu nieruchomości, a ludzie znaczyli mniej niż nic.

— Prosi mnie pani, żebym zdradził swój ludzki rodzaj — zauważyłem.

Kiedy to powiedziałem, przyszło mi do głowy, że dla nich słowo „zdrada” nic nie znaczy. Na pewno rozumieli je w odpowiednim kontekście, ale nie miało dla nich żadnego znaczenia. Nie mogli mieć takiej samej etyki jak ludzie. Prawdopodobnie mieli jakieś zasady moralne, ale tak różne od naszych, że aż niepojęte.

— Niech pan spojrzy na to z praktycznego punktu widzenia — mówiła dziewczyna. — Dajemy panu szansę: albo podzieli pan los

ludzkości, albo przyłączy się pan do nas i będzie się panu nieźle powodziło. Jeśli pan odmówi, nie będzie to dla nas wielka strata. Jeśli się pan zgodzi, pomoże pan sobie i w pewnym stopniu ludzkości. Pan zyska i proszę mi wierzyć — ludzkość też na tym nie straci.

— Skąd mam pewność, że dotrzymacie umowy?

— Jak umowa, to umowa — powiedziała chłodno.

— Przypuszczam, że mi zapłacicie.

— I to dobrze.

Nagle po podłodze potoczyła się nie wiadomo skąd jedna z tych czarnych kul do gry w kręgle. Zatrzymała się metr od krzesła, na którym siedziałem.

Dziewczyna wstała, wyszła zza biurka i stanęła przed nim, przyglądając się kuli.

Na kuli pojawiły się prążki — piękne prążki, jakie można zaobserwować przy rozszczepieniu światła. Kula zaczęła się dzielić wzdłuż tych delikatnych linii, zmieniając przy tym barwę z czarnej na zieloną. Po chwili zamiast kuli do kręgli na podłodze leżał niewielki stos banknotów. Nie powiedziałem ani słowa. Nie byłem w stanie nic powiedzieć. Dziewczyna schyliła się, podniosła jeden banknot i podała mi go.

Przyglądałem mu się, a ona czekała z wyciągniętą ręką.

— No i jak, panie Graves?

— Wygląda jak zwykły banknot — powiedziałem.

— Bo to jest banknot. Jak pan myśli, skąd wzięlibyśmy tyle potrzebnej nam gotówki?

— Podobno robiliście wszystko zgodnie z prawem — powiedziałem.

— Nie wiem, co ma pan na myśli.

— To, że złamaliście jedną podstawową zasadę, najważniejszą ze wszystkich: pieniądze są miarą tego, co ktoś zrobił — na przykład wybudował drogę albo namalował obraz, albo pracował przez ileś godzin.

— To są pieniądze. Przecież tego tylko potrzeba.

Pozbierała banknoty, położyła je na biurku i zaczęła układać. Wiedziałem, że tłumaczenie jej tego nie miało sensu. Nie była cyniczna czy nieuczciwa, tylko po prostu nie rozumiała — bo była kosmitką. Dla nich pieniądze były jak każdy inny produkt, a nie symbol. Dla nich nie mogły być niczym więcej.

Dziewczyna ułożyła banknoty w równe stosy, podniosła jeszcze te, które spadły na podłogę, i dołożyła je do pozostałych.

Trzymałem w dłoni banknot dwudziestodolarowy. Spostrzegłem, że dwudziestodolarówek było najwięcej; były też dziesiątki i tu i tam pięćdziesiątki.

Podawała mi pieniądze.

— Należą do pana — wyjaśniła.

— Ale ja jeszcze nie powiedziałem...

— Są pańskie, bez względu na to, czy pan się zgodzi dla nas pracować, czy nie. Proszę zastanowić się nad tym, co panu powiedziałam.

— Na pewno.

Wstałem i wziąłem od niej pieniądze. Nieźle wypchałem nimi swoje kieszenie.

— Przyjdzie taki dzień — rzekłem, wygładzając napęczniałe kieszenie — kiedy to nie będzie miało żadnej wartości i nic się nie da za to kupić.

— Kiedy ten dzień nadejdzie, znajdzie się coś innego. Wtedy będzie wszystko, czego można zapragnąć.

Miałem poczucie całkowitej klęski. Wiedziałem tylko dwie rzeczy: że przegraliśmy i że mam pieniądze na taksówkę.

Musiałem wydostać się z tego domu. Musiałem go opuścić, zanim nie byłbym w stanie opanować odrazy. Musiałem wyjść, ale z godnością, i jak najszybciej znaleźć jakieś miejsce, by móc się zastanowić. Na razie zamierzałem udawać, że będę z nimi współpracował.

— Bardzo pani dziękuję — powiedziałem. — Wydaje mi się, że nie znam pani nazwiska.

— Ja nie mam nazwiska — odparła dziewczyna. — Nigdy nie było potrzeby, bym miała jakieś nazwisko. Tylko tacy ludzie jak Atwood potrzebują nazwiska.

— Dziękuję pani — powtórzyłem. — Przemyślę to.

Dziewczyna odwróciła się i wyszła na korytarz. Pokojówki nie było. Zauważyłem, że salon jest wysprzątny, błyszczący i umeblowany. Zastanawiałem się, ile z tego stanowią prawdziwe meble, a ile to tylko imitacja zrobiona z czarnych kul.

Wziąłem z wieszaka swój kapelusz i płaszcz.

Dziewczyna otworzyła mi drzwi.

— Jak to miło, że pan przyszedł — powiedziała — i bardzo rozważnie. Mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Wyszedłem z domu i zauważyłem, że nie ma mojej taksówki. Zamiast niej stał długi, biały Cadillac.

— Miałem taksówkę — powiedziałem. — Musiała odjechać trochę dalej.

— Zapłaciłyśmy taksówkarzowi i odesłaliśmy go — powiedziała dziewczyna. — Już pan nie będzie potrzebował taksówki.

Zauważyła moje zaskoczenie.

— Ten samochód należy do pana — dodała. — Skoro pan dla nas pracuje...

— I ma wbudowaną bombę? — przerwałem jej.

— Jak mam pana przekonać — westchnęła. — Powiem panu wprost: dopóki może się nam pan przydać, nic się panu nie stanie. Proszę zrobić nam tę przysługę, a będzie pan bezpieczny. Zaopiekujemy się panem do końca pańskiego życia.

— A Joy Kane?

— Jeśli pan sobie życzy, także Joy Kane. — Spojrzała na mnie lodowatym wzrokiem. — Ale niech pan tylko spróbuje nas powstrzymać albo nam przeszkodzić... — Przeciągnęła dłonią po gardle.

Ruszyłem do samochodu.

31.

W przedmieściu zatrzymałem się przy najbliższym centrum handlowym i poszedłem do kiosku po gazetę. Chciałem zobaczyć, czy Gavin zdołał napisać swój artykuł o zniknięciu pieniędzy z banków.

Teraz już mogłem mu powiedzieć, co się stało, ale i tak mnie nie wysłucha, podobnie jak inni. Mogłem udać się do redakcji, usiąść przy biurku i napisać największą w świecie sensacyjną historię. Wiedziałem jednak, że byłaby to strata czasu. Nawet gdyby to wydrukowano, nikt by mi nie uwierzył, no, może prawie nikt oprócz kilku szaleńców.

Zanim wysiadłem z samochodu, wyszukałem banknot dziesięciodolarowy. Nie było w ogóle pięcio—i jednodolarówek.

Przebierając w tym pliku banknotów, zastanawiałem się, ile mogło być w nim pieniędzy. Nie, żeby to miało znaczenie — po prostu byłem ciekaw.

Wiedziałem, że za kilka tygodni, może nawet dni, pieniądze zaczną tracić swoją wartość i będzie już tylko kwestią czasu, jak staną się zupełnie bezwartościowe. Zamienią się w bezużyteczny papier, za który nie będzie się można najeść ani okryć i który nie da schronienia przed deszczem i wiatrem. Bo pieniądze to nic więcej, jak tylko narzędzie stworzone przez człowieka dla podtrzymania jego specyficznej kultury i sposobu życia — i nigdy nie były niczym więcej. W rzeczywistości nie miały większego znaczenia niż nacięcia na kolbie karabinu czy prymitywne znaki pisane kredą na ścianie. Pieniądze to tylko wyszukana forma płacenia.

Wszedłem do kiosku i wziąłem z lady jedną z gazet leżących na stosie. Ze zdjęcia na pierwszej stronie patrzył na mnie pies — cały uśmiechnięty i szczęśliwy. Nie miałem co do tego wątpliwości, wszędzie

bym go rozpoznał. Siedział sobie przepełniony życzliwością, a za nim widać było Biały Dom.

Tytuł pod zdjęciem głosił: „MÓWIĄCY PIES Z WIZYTĄ U PANA PREZYDENTA”.

— Czy chce pan kupić tę gazetę? — zapytał sprzedawca.

Podąłem mu banknot.

— Nie ma pan drobnych?

Odpowiedziałem, że nie.

Wydał mi resztę, wsadziłem pieniądze i gazetę do kieszeni i wróciłem do samochodu. Chciałem przeczytać ten artykuł, ale wolałem zrobić to w samochodzie, gdzie nikt nie mógł mi przeszkodzić.

To był ładny artykuł, odrobinę za ładny. Opowiadał o psie, który przyszedł zobaczyć się z prezydentem. Pies wszedł przez główną bramę, zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać i próbował dostać się do Białego Domu, ale strażnicy go odpędzili. Odszedł niechętnie, próbując na swój psi sposób wytłumaczyć, że nie chce sprawiać kłopotów, ale byłby bardzo zobowiązany, gdyby mógł widzieć się z prezydentem. Jeszcze kilka razy próbował dostać się do środka, aż w końcu strażnicy zadzwonili po hycła.

Ten przyjechał i zabrał psa. Pies poszedł z nim dosyć chętnie. Niedługo potem hycel przywiózł z powrotem zwierzę i wyjaśnił strażnikom, że może byłoby lepiej, gdyby pozwolili psu zobaczyć się z prezydentem. Jak twierdził, rozmawiał z psem i ten powiedział mu, że chce się widzieć z najwyższym urzędnikiem państwowym w niezwykle ważnej sprawie.

Strażnicy zadzwonili ponownie; tym razem przyjechano po hycła i odwieziono go do szpitala na obserwację. Psu pozwolono jednak zostać, a jeden ze strażników wytłumaczył mu bardzo dobitnie, że to śmieszne, by pies mógł oczekiwać na spotkanie z prezydentem.

Pisano, że pies był grzeczny i dobrze ułożony. Siedział przed Białym Domem i nie niepokoił nikogo. Nawet nie ganiał po trawniku za wiewiórkami.

Nasz reporter — pisano — próbował z nim rozmawiać. Zadaliśmy mu kilka pytań, ale nie odezwał się ani słowem, tylko uśmiechał się do nas.

To był on — kudłaty przyjazny kundel, którego nikt nawet przez moment nie chciał brać na poważnie.

Pomyślałem, że może jednak nie można obwiniać reportera czy też pozostałych osób, bo przecież nic tak nie może rozgniewać człowieka, jak pies, który mówi. Kiedy się nad tym dobrze zastanowić, było to równie niewiarygodne, jak to, że gromada kul do gry w kręgle próbuje zawładnąć Ziemią.

Tylko zagrożenie szczególnie duże czy wyraźne mogło wzbudzić reakcję, to zaś niebezpieczeństwo nie miało żadnej z tych cech, przez co było bardziej groźne.

Stirling mówił o istocie nieekologicznej. I takie właśnie były te istoty. Mogły zaadaptować się do każdych warunków, przyjmować dowolne kształty, mogły dla swoich celów wykorzystać dowolny sposób myślenia, każdy system ekonomiczny, polityczny czy społeczny.

Jak stanąć do walki z czymś takim? Jak coś takiego pokonać? Możliwe, że mieliśmy do czynienia z jednym gigantycznym organizmem, dzielącym się na części, by wykonywać różne zadania. Jeżeli jednak był to jeden organizm, trudno było wytłumaczyć pewne fakty. Dlaczego na przykład w domu Belmontów zamiast Atwooda czekała na mnie ta dziewczyna bez nazwiska?

Nic o tych istotach nie wiedzieliśmy i nie było już czasu, żeby się o nich (czy może o nim) czegoś dowiedzieć.

Czy to możliwe, by rodzaj ludzki zginął, nie znając nawet przyczyny tej zagłady?

Złożyłem gazetę i odłożyłem ją na siedzenie obok.

Co mogłem zrobić?

Mogłem, udając, że współpracuję z tymi istotami, zdobyć o nich trochę informacji. Gdyby doszło do tego, że musiałbym napisać dla nich tekst propagandowy, może zdołałbym przemycić w nim coś, co uszłoby ich uwadze, a byłoby czytelne dla ludzi.

Uruchomiłem silnik, wrzuciłem bieg i włączyłem się do ruchu. To był dobry samochód, najlepszy samochód, jaki kiedykolwiek prowadziłem. Bez względu na to, skąd pochodził, byłem z niego dumny.

Przed motelem nadal stał zaparkowany samochód Quinna, były też dwa następne samochody. Wiedziałem, że wkrótce motel będzie pełny. Przyjeżdżający tu ludzie przekazywali następnym wiadomość, jak zdobywa się tutaj pokoje. Poradzą, by użyć łomu czy młotka, a może nawet postarają się o jakieś narzędzie i pomogą we włamaniu. Przynajmniej na jakiś czas ludzie się zjednoczą i będą sobie pomagać.

Potem znowu się podzielią, by dbać o swoje interesy, a następnie ponownie połączą się, wiedząc, że siła ludzi leży w jedności.

Kiedy wysiadłem z samochodu, Quinn wyszedł mi na spotkanie.

— Niezły samochód — zauważył.

— Należy do jednego z moich przyjaciół — skłamałem. — Dobrze się spało?

— Najlepiej od wielu tygodni — uśmiechnął się. — Żona jest bardzo zadowolona. To, oczywiście, niewiele, ale już bardzo dawno nie było nam tak dobrze.

— Widzę, że mamy nowych sąsiadów.

— Tak, istotnie. Pojechałem kupić broń, tak jak mi pan poradził. Trochę głupio się czułem, ale nigdy nie zaszkodzi mieć broń. Chciałem kupić karabin, ale mieli tylko dubeltówki. Pomyślałem, że też może być. Umiem się obchodzić nie tylko z karabinami.

— Nie mieli nic innego? — zdziwiłem się.

— Odwiedziłem trzy sklepy z artykułami żelaznymi i nigdzie nie było broni. Dopiero w czwartym kupiłem dubeltówkę.

A więc wykupywano broń, może już wkrótce będzie ona nieosiągalna.

Mężczyzna patrzył w dół i rysował coś butem po ziemi.

— Zdarzyło mi się coś śmiesznego — zaczął. — Nie mówiłem o tym żonie, bo mogła by się zdenerwować. Wybrałem się po warzywa i zboczyłem trochę z trasy, żeby przejechać koło naszego domu — to znaczy tego, który sprzedaliśmy. Jechałem tamtędy po raz pierwszy, odkąd go sprzedaliśmy. Moja żona też nie jeździła tamtą ulicą, chociaż bardzo chciała ją zobaczyć. Czułaby się jeszcze gorzej na jego widok. W każdym razie ja tam dzisiaj pojechałem — dom stoi pusty, tak jak go zostawiliśmy po przeprowadzce. Trochę podniszczył!. Zmusili nas do przeprowadzki miesiąc temu, mówiąc, że go bardzo potrzebują, a jeszcze się nie wprowadzili. Czy pan coś z tego rozumie?

— Nie, nie wiem, o co tu chodzi — skłamałem.

Mogłem mu o wszystkim powiedzieć, może nawet powinienem. Mógł mi uwierzyć, przez te kilka tygodni kary zmiękł i był na to przygotowany. Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowałem, by ktoś mi uwierzył, by podzielił mój strach i udrękę.

Ale nic mu nie powiedziałem.

Gdybym to uczynił, pozbawiłbym go nadziei i postawił przed nieznanym. Być może wpadłby w przerażenie.

Gdybym mógł przekonać milion osób, wszystko byłoby w porządku, bo wśród nich znaleźliby się przywódcy, których stać byłoby na spokój i obiektywizm. Przekonanie garstki ludzi w jednym mieście nie miałoby sensu.

— To jest bez sensu — mówił Quinn. — Ta cała sprawa jest niedorzeczna. Nie spałem w nocy i próbowałem to zrozumieć, ale nie znalazłem żadnego racjonalnego wytłumaczenia. Chcieliśmy, aby pan i pańska żona zjedli dziś z nami kolację. To nie będzie nic szczególnego, pieczeń i coś do picia. Posiedzimy i porozmawiamy.

— Panie Quinn, Joy nie jest moją żoną — sprostowałem. — Jesteśmy tylko dwojgiem ludzi, którzy z pewnych powodów znaleźli się razem.

— No, cóż, w takim razie przepraszam. Przypuszczałem, że jesteście małżeństwem, ale to w końcu nie robi większej różnicy. Mam nadzieję,

że pan się nie obraził.

— Nie, skądże.

— A więc przyjdziecie do nas na kolację?

— Bardzo dziękujemy, ale może innym razem. Możliwe, że będę bardzo zajęty.

Quinn przyglądał mi się bardzo uważnie.

— Panie Graves — odezwał się — jest coś, o czym pan mi nie powiedział. Zeszłej nocy coś pan o tym wspomniał. Powiedział pan, że wszędzie jest tak samo, że nie ma gdzie uciekać. Skąd pan o tym wie?

— Jestem dziennikarzem — wyjaśniłem. — Właśnie piszę o tym artykuł.

— Pan coś wie, tak?

— Niewiele — skłamałem po raz kolejny.

Czekał. Zaczerwienił się i odwrócił ode mnie.

— Do zobaczenia — pożegnał się o odszedł i motelu.

Nie miałem mu tego za złe. Sam miałem ochotę odwrócić się na pięcie i odejść. Poszedłem do motelu, ale Joy jeszcze nie było. Gavin na pewno wynalazł jej jakieś sprawy do załatwienia w redakcji. Wyjąłem z kieszeni pieniądze i schowałem je pod materacem łóżka w moim pokoju. Nie była to zbyt wymyślna kryjówka, ale nikt nie wiedział, że mam tyle pieniędzy.

Wziąłem karabin i poszedłem do samochodu.

Wtedy zrobiłem coś, co zamierzałem zrobić, odkąd opuściłem dom Belmontów. Obejrzałem dokładnie cały samochód. Podniosłem maskę i sprawdziłem silnik. Wczołgałem się pod spód i zbadałem każdą część. Nie pominąłem żadnego drobiazgu.

Wreszcie pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Samochód był taki, jaki powinien być — drogi, choć zwyczajny, niczym nie różniący się od innych samochodów. Niczego nie brakowało ani niczego nie było za dużo, zwłaszcza bomb. Nie zauważyłem żadnych usterek. Mogłem przysiąc, że nie jest to imitacja stworzona przez bandę tych czarnych kul. To był prawdziwy samochód ze stali, szkła i chromu.

Stojąc przy nim, rozważałem, co mam robić. Mogłem zadzwonić ponownie do Rogera. Powiedział, że kiedy wytrzeźwieję i nadal będę miał mu coś do powiedzenia, to mogę zadzwonić. Byłem trzeźwy i nadal miałem mu coś do powiedzenia. Byłem prawie pewien jego odpowiedzi, ale i tak musiałem zatelefonować do niego.

Pojechałem do małej restauracji nie opodal motelu, skąd mogłem do niego zadzwonić.

32.

— Cieszę się, że dzwonisz, Parker — przy witał mnie.

Może teraz zechcesz mnie wysłuchać.

Oczywiście — odpowiedział na swój zwykły śliski sposób — o ile nie będziesz upierał się przy tych bzdurach o inwazji kosmitów.

— Ależ Roger...

— Nie będę przed tobą ukrywał — przerwał mi — zrobi się nieliche zamieszanie. Słuchaj, wiesz oczywiście, że to nie jest do publicznej wiadomości.

— Domyślam się. Zawsze, kiedy masz coś interesującego, mówisz mi to w sekrecie.

— No dobrze, w najbliższy poniedziałek, kiedy ruszy handel, będzie piekielne zamieszanie. Nie wiemy, co się stało, lecz w bankach brakuje pieniędzy. Nie w jednym banku, ale prawie w każdym. W żadnym nie mogą wyjść na czysto. Wszędzie ludzie pracują po godzinach, żeby dowiedzieć się, gdzie zniknęły wszystkie pieniądze. Ale to nie jest jeszcze najgorsze...

— Jest coś jeszcze gorszego?

— Za dużo było tych pieniędzy — rzekł Roger. — Trzeba zacząć od tego, że najpierw było ich o wiele za dużo. W piątek rano podliczono kasę i wtedy okazało się, że było ich za dużo, o wiele więcej, niż miało prawo w ogóle istnieć. Mówię ci, Parker, tyle pieniędzy nie ma w całych Stanach Zjednoczonych.

— Ale już nie ma tych pieniędzy?

— Nie, już ich nie ma.

Czekałem. W tej chwili ciszy usłyszałem, jak Roger bierze głęboki oddech, jakby mu brakowało powietrza.

— Jest jeszcze coś — rzekł — ale to tylko plotki...

— O co chodzi?

Zawahał się.

— Tylko pamiętaj — to tajemnica.

— Jasne.

— Chodzą pogłoski, że ktoś, nie wiadomo dokładnie kto, przejął kontrolę nad przemysłem zbrojeniowym i nad innymi powiązanymi z nim gałęziami przemysłu.

— Ci sami ludzie?

— Na Boga, Parker, nie wiem! Nie wiadomo, czy jest w tym choć ziarnko prawdy. Co chwila słyszy się jakieś plotki. — Przerwał na moment, a potem zapytał: — Parker, czy ty wiesz coś o tym?

Mogłem mu powiedzieć, ale byłem pewien, że to nie byłoby zbyt mądre. Będzie na mnie zły, wygarnie mi to bez ogródek i na tym się skończy.

— Mogę ci powiedzieć, co robić — rzekłem — co musicie zrobić.

— Mam nadzieję, że to dobry pomysł.

— Uchwalcie prawo — powiedziałem.

— Choćbyśmy ustanowili najlepsze prawa...

— Prawo znoszące wszelką własność prywatną — dokończyłem.

— Macie zakazać posiadania czegokolwiek, żeby ludzie nie mieli na własność kawałka ziemi, żadnych fabryk, surowców naturalnych, domów...

— Oszalałeś! Nie można wprowadzić takiego prawa, to w ogóle nie do pomyślenia.

— I wymyślcie coś, co zastąpi pieniądze.

Senator wydał jakiś nieartykułowany dźwięk.

— Bo przy obecnym stanie prawnym kosmici wykupują Ziemię — powiedziałem. — Jeżeli tak to pozostawicie, niedługo staną się jej właścicielami.

Senator zdołał odzyskać mowę.

— Parker — rzekł — zupełnie ci odbiło. Wielu bzdur nasłuchałem się w swoim życiu, ale twoje piekielne pomysły biją wszelkie rekordy.

— Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Psa.

— Co, do diabła, jakiś pies ma z tym wspólnego? Jaki znowu pies?

— Ten, który czeka przed Białym Domem na możliwość spotkania z prezydentem.

— Parker, już więcej do mnie nie dzwoń. Itak już mam dosyć na głowie. Nie wiem, co próbujesz przez to osiągnąć, ale już do mnie nie dzwoń. Jeśli to jakiś żart...

— To nie jest żart.

— Do widzenia, Parker.

— Do widzenia, senatorze — odpowiedziałem.

Odwiesiłem słuchawkę i stałem w małej kabinie, próbując zebrać myśli. Wiedziałem, że to całkowicie beznadziejna sprawa. Od początku senator był moją jedyną nadzieją. To był jedyny człowiek z wyobraźnią i na wysokim stanowisku państwowym, którego znałem. Chyba jednak nie miał wystarczająco dużo wyobraźni, by wysłuchać, co miałem mu do powiedzenia.

Pomyślałem, że zrobiłem wszystko, co mogłem, ale i tak na nic się to nie zdało. Może gdybym inaczej się do tego zabrał, wyszłoby lepiej. Nie sposób było to przewidzieć. Nic już nie można było zmienić. Teraz już nic nie mogło powstrzymać operacji rozpoczętej przez kosmitów. Najwyraźniej jej zakończenie zbliżało się szybciej, niż przewidywałem. W poniedziałek wybuchnie panika na Wall Street i system ekonomiczny zacznie się rozpadać na kawałki. Pierwsze pęknięcia w strukturach finansowych zaczną się w dziedzinie handlu i stamtąd rozprzestrzeniać się dalej. W przeciągu tygodnia świat pogrąży się w chaosie.

Zimny dreszcz przebiegł mi po krzyżu na myśl, że kosmici na pewno wiedzą o moich posunięciach. Niemożliwe, by nie mieli połączeń z systemami komunikacyjnymi. Będą wiedzieli, że telefonowałem do senatora, podczas gdy miałem rozważać ich ofertę.

Nie pomyślałem o tym wcześniej. Nawet gdyby mi to przyszło do głowy, i tak prawdopodobnie przeprowadziłbym tę rozmowę.

Może dla nich nie miało to większego znaczenia. Może spodziewali się, że będę jeszcze trochę kluczył, zanim zacznę dla nich pracować. Może myśleli, że ta rozmowa pokaże mi ponownie niemożność otrzymania jakiegokolwiek pomocy, zwiąże mnie bardziej z nimi i ostatecznie przekona, że nie ma sposobu na odparcie ich inwazji.

Czy można było zrobić coś jeszcze? Czy istniały jakieś inne metody walki? Czy człowiek mógł w ogóle jeszcze coś zrobić?

Mogłem zadzwonić do prezydenta, a raczej spróbować to zrobić. Nie miałem złudzeń, wiedziałem, że szansa na rozmowę z nim jest niewielka. Szczególnie teraz, kiedy spoczywał na nim większy ciężar niż na którymkolwiek innym prezydencie od początku istnienia naszego narodu.

Gdybym uzyskał połączenie, powiedziałbym: „Proszę zobaczyć się z Psem, który czeka na pana na zewnątrz”. Ale to by nie zadziało,

Byłem pokonany, rozłożony na łopatki.

Znalazłem monetę i wrzuciłem ją do otworu. Wykręciłem numer do redakcji i poprosiłem o rozmowę z Joy.

— Wszystko w porządku? — zapytała.

— Jak najbardziej — odparłem. — Kiedy wracasz do domu?

— Nie wiem. — Była zła. — Ten przeklęty Gavin wynajduje coraz więcej rzeczy do zrobienia.

— To go po prostu zlekceważ.

— Wiesz, że nie mogę.

— No dobrze. Gdzie chcesz jeść dziś kolację? Pomyśl o jakiejś drogiej restauracji, mam kupę forsy.

— Skąd możesz mieć pieniądze? Twój czek jest tutaj. Właśnie go odebrałam.

— Joy, uwierz mi, mam mnóstwo gotówki. No więc, gdzie chcesz jeść kolację?

— Zostańmy dzisiaj w domu — poprosiła. — Sami sobie zrobimy kolację. Restauracje są takie zatłoczone.

— Stek? Co jeszcze? Pojadę i zrobię zakupy.

Powiedziała mi, co mam kupić.
Ruszyłem na zakupy.

33.

Wracałem do samochodu z wielką torbą wypełnioną po brzegi rzeczami, które Joy poleciła mi kupić. Samochód stał zaparkowany dosyć daleko na parkingu przed supermarketem. Torba była ciężka i czubato wypełniona; puszki kukurydzy i brzoskwiń leżące na spodzie zrobiły w niej dziurę i zaczęły wypadać.

Szedłem przez parking ostrożnie, by nie nadwerężyć torby niepotrzebnie, i rozpaczliwie obejmowałem ją, by nie rozerwała się do końca.

Dotarłem do samochodu, ledwie uniknąwszy katastrofy. Zdołałem, wykonując istne akrobacje, otworzyć przednie drzwi i położyłem torbę na siedzeniu. Dopiero wtedy rozerwała się i wszystkie zakupy się rozsypały. Odsunąłem ten błagań na bok, by móc usiąść za kierownicą.

Przypuszczam, że gdybym nie miał problemu z torbą, od razu bym to zauważył, a tak dostrzegłem to dopiero, kiedy siedząc za kierownicą, wkładałem kluczyk do stacyjki.

Kartka papieru złożona na kształt namiotu stała oparta o deskę rozdzielczą i przednią szybę. Wypisane było na niej dużymi, drukowanymi literami tylko jedno słowo: ŚMIERDZIEL.

Nie musiałem nawet zgadywać, od kogo to pochodziło. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Niemal widziałem, jak podkładali mi to tutaj — jakiś pseudoczłowiek, konglomerat kul do gry w kręgle, które utworzyły razem ludzką postać, by mi powiedzieć, że wiedzą o mojej rozmowie z senatorem i o tym, że zdradziłbym ich przy pierwszej nadarzającej się okazji. Może nie byli na mnie źli czy szczególnie zaniepokojeni, raczej czuli do mnie odrazę, a może rozczarowanie. Chcieli po prostu dać mi znać, że mają mnie na oku i że nic nie ujdzie ich uwagi.

Włożyłem kluczyk i włączyłem silnik. Zgniotłem kartkę i wyrzuciłem przez okno. Jeżeli mnie obserwowali, w co nie wątpię, to rozumieją, co o nich myślę.

Dziecinada? Być może. Wcale o to nie dbałem. Nie pozostało już nic, czym warto było zawracać sobie głowę.

Ów samochód zauważyłem dopiero przy trzecim bloku. To był zwyczajny, niezbyt drogi samochód. Nie wiem, dlaczego zwróciłem na niego uwagę, nie było w nim nic niezwykłego; codziennie spotyka się setki takich samochodów. Odpowiedź była tylko jedna: zauważałem każdy samochód, który trzymał się mnie zbyt długo.

Minąłem dwa następne bloki, kilkakrotnie skręcałem — a on ciągle był za mną. Nie ulegało wątpliwości, że mnie śledził, i to dosyć nieudolnie.

Skierowałem się za miasto, on podążał za mną w stałej, niezbyt dużej odległości. Kierowca nawet nie ukrywał, że jechał za mną. Może chciał, bym wiedział, że jestem śledzony, i poczuł się nieswojo.

Zastanawiałem się, czy w ogóle powinienem próbować się od nich uwolnić. Nie miało to sensu. Wiedzieli, że rozmawiałem z senatorem, było niemal pewne, że znali mój sposób działania, jeśli tak to można nazwać. Bez wątplenia wiedzieli dokładnie, gdzie mnie szukać, na wypadek gdyby zechcieli dostać mnie w swoje ręce.

Mogłem mieć nad nimi pewną przewagę, gdybym utrzymywał ich w przekonaniu, że nie wiem, iż kontrolują mnie.

Wyjechałem poza obręb miasta na jedną z zachodnich autostrad i dodałem gazu. Samochód, który za mną jechał, został trochę w tyle.

Droga prowadziła w górę po zboczu wzniesienia, na szczycie był ostry zakręt. Pamiętałem, że za zakrętem była polna droga. Ruch był niewielki i gdybym miał szczęście, może umknąłbym w tę boczną drogę, zanim czarny samochód pokonałby zakręt.

Na wzgórzu zostawiłem go nieco w tyłu i kiedy skrywałem się przed nim za zakrętem, wcisnąłem gaz do dechy. Droga przede mną była pusta, dojechałem do skrętu w polną drogę, nacisnąłem hamulec i ostro

skręciłem. Koła zaryły w ziemię jak łapy skaczącego zwierzęcia, tylne wpadły w poślizg i zapiszczały na powierzchni jezdni.

Wjechałem na polną drogę, wyprostowałem kierownicę i dodałem gazu. Droga biegła pośród wzgórz. Na trzecim wzniesieniu zobaczyłem w tylnym lusterku, że czarny samochód jest zaledwie o jedno wzniesienie w tyle.

Było to dla mnie zaskoczeniem. Byłem tak pewny powodzenia swego manewru; fakt, iż mi się nie udało, dotkliwie zachwiał moim poczuciem zaufania do siebie. Rozzłościło mnie to. Jeśli ten skurczybyk z tyłu...

Nagle zobaczyłem wyryte w ziemi bruzdy. Zdaje się, że to był stary szlak dla furmanek przed wielu laty, teraz zarośnięty i zasłonięty gałęziami zwieszającymi się z drzew, jakby próbowały ukryć ślady dawnych kolein.

Gwałtownie skręciłem i podskakując wjechałem w płytkie bruzdy. Zwisające gałęzie uderzały o przednią szybę i z piskiem ocierały się o dach.

Jechałem na oślep, prowadziły mnie koła, które uwięzły w starych, prawie zatartych śladach. Po jakimś czasie zatrzymałem się i wysiadłem. Gałęzie nad drogą zwiślały nisko i nikt przejeżdżający w pobliżu nie mógł mnie dostrzec.

Uśmiechnąłem się.

Tym razem byłem pewien, że mi się uda.

Czekałem. Czarny samochód dojechał do kolejnego wzniesienia i z rykiem silnika zjeżdżał w dół; w popołudniowej ciszy robił wicie hałasu. Na swój połów nie musiał już zbyt daleko jechać.

Usłyszałem pisk hamulców. Znowu byłem pokonany. W jakiś sposób wiedzieli, gdzie jestem. A. więc chcieli rozegrać to brutalnie. Skoro tak, nie miałem zamiaru im ustępować. Otworzyłem drzwi i wziąłem karabin z tylnego siedzenia. Zważyłem go w rękę, jego ciężar dodał mi otuchy. Przez moment zastanawiałem się, ile wart jest karabin w walce z takimi istotami jak te. Przypomniałem sobie wówczas, jak Atwood rozpadł się na kawałki, kiedy sięgałem do kieszeni po pistolet, i jak

tamten samochód stoczył się z góry, kiedy otworzyłem do niego ogień.

Z karabinem w ręku skradałem się jak kot wzdłuż kolein. Jeśli ktoś będzie na mnie polował — a na pewno będzie — to nie znajdzie mnie tam, gdzie się spodziewał.

Poruszałem się w spokojnym, milczącym świecie, pełnym aromatów jesieni. Szkarłatne winorośle splatały się nade mną. Nieprzerwanie padał deszcz srebrzystych liści, wolno i delikatnie przedzierających się przez gałęzie drzew. Szedłem cicho, jeśli nie liczyć leciutkiego szelestu suchych liści pod stopami. Od lat rosły tu mchy i spadały na ziemię liście, tak że powstał dywan tłumiący każdy krok.

Doszedłem do końca gęstwiny i zacząłem pięć się na szczyt wzgórza. Znalazłem jaskrawy krzew sumaka i przykucnąłem za nim. Zgubił jeszcze niewiele swoich czerwonych, błyszczących liści i stanowił doskonałą kryjówkę.

Wzgórze za mną opadało w stronę strumyka — to była zaledwie strużka wody spływająca do doliny między wzniesieniami. Gęstwina ciągnęła się do drogi, poniżej były rozległe połacie brązowych wzgórz, porośniętych wysokimi suchymi zaroślami. Miejscami czerwieniły się ogniste krzaki sumaków.

Mężczyzna szedł wzdłuż strumyka, a potem zaczął wspinać się po stromym zboczu, kierując się prosto w moją stronę, jakby wiedział, gdzie się ukrywam. Wyglądał zwyczajnie; szedł lekko zgarbiony, miał stary filcowy kapelusz mocno nasunięty na głowę i czarny płaszcz, który nawet z daleka wyglądał na zniszczony.

Szedł prosto na mnie, nie spoglądając w górę, jakby udawał, że mnie nie widzi i nie wie o mojej obecności. Szedł niezbyt szybko, powłóczył trochę nogami i patrzył cały czas w ziemię.

Podniosłem karabin i wystawiłem lufę spomiędzy szkarłatnych liści. Trzymałem broń pewnie, wycelowałem prosto w pochyloną głowę idącego mężczyzny.

Zatrzymał się, jakby wiedział, że mierzę do niego z karabinu. Podniósł głowę i zaczął rozglądać się. Sztywno wyprostowany, pociągał nosem, a potem nagle zmienił kierunek i ruszył na ukos po zboczu w stronę wysokiej kępy.

Opuściłem karabin i wtedy poczułem pierwszy powiew zanieczyszczonego powietrza. Pociągnąłem nosem — już wiedziałem, co to za zapach: gdzieś na wzgórzu był rozłoszczony skunks.

Uśmiechnąłem się. Pomyślałem, że to musiało podzielać na mężczyznę. Biegł teraz szybko, przedzierając się przez zarośla sięgające mu do pasa, gnał prosto do kępy i nagle zniknął.

Przetarłem oczy, spojrzałem ponownie, ale nigdzie nie było go widać. Mógł się potknąć i upaść, miałem jednak wrażenie, że już kiedyś widziałem coś takiego. To było w suterenie w domu Belmontów. Atwood siedział na krześle i w jednej chwili krzesło stało się puste, a na podłodze kłębiły się czarne kule. Wstałem ostrożnie z przygotowanym karabinem. Nic nie było widać oprócz kołyszących się zarośli w miejscu, gdzie zniknął mężczyzna. Zarośla poruszały się jednak tylko w tamtym miejscu...

Zapach skunksa znów dotarł do moich nozdrzy.

Działo się tam coś diabelnie śmiesznego. Zarośla kołysały się gwałtownie, jakby ktoś się w nich tarzał. Zacząłem schodzić, ciągle trzymając karabin w pogotowiu. Nagle poczułem, że coś szamocze się w mojej kieszeni i próbuje wydostać się na zewnątrz, jakbym w kieszeni miał mysz albo szczura.

Gwałtownie chwyciłem za kieszeń, ale to, co tam było, zdołało uciec. Była to mała czarna piłeczka, podobna do tych z miękkiej gumy, jakie daje się dzieciom do zabawy. Wydostała się z kieszeni, prześlizgnęła pomiędzy moimi palcami, spadła na ziemię i ruszyła jak szalona do miejsca, gdzie falowały trawy.

Stałem, patrząc za nią i zastanawiałem się, skąd się wzięła. I nagle już wiedziałem: to były pieniądze. Miałem w kieszeni pieniądze, które dostałem w domu Belmontów. Teraz zmieniły się w rzecz, którą były

poprzednio, i pospieszyły do miejsca, gdzie zniknęły inne rzeczy uformowane na kształt człowieka.

Wydałem okrzyk triumfu i nie dbając o ostrożność, pobiegłem w stronę falujących zarośli. Zapach skunksa stawał się nieznośny i odruchowo odwróciłem się. Kątem oka dostrzegłem, co się tam działo.

W zaroślach roiło się od kul, podskakujących dziko i ekstatycznie, w całkowitym zapamiętaniu. Toczyły się, kręciły i wyskakiwały w górę. Powietrze przesycone było zapachem wystraszonego skunksa.

Dłużej nie mogłem wytrzymać w takim zapachu i wycofałem się, zatykając usta i nos. Biegając do samochodu, wiedziałem już, że czarne kule mają jednak słabe strony.

34.

Pies mówił, że oni lubią perfumy. Kiedy zdobędą Ziemię, oddadzą ją za perfumy. Żyli tylko dla jednej rzeczy — dla perfum, to było ich jedyne źródło przyjemności. Cenili je ponad wszelkie inne dobra.

I nagle tu, na Ziemi, w kępie traw rosnących na wzgórzu, znaleźli to, co tak lubili. Nie można było inaczej wytłumaczyć ich ekstatycznych płasów. To był widocznie dla nich zapach tak atrakcyjny, że zmuszał ich do porzucenia poprzednich zamiarów.

Wróciłem do samochodu, wyjechałem ze starego szlaku i skierowałem się do głównej drogi. Pomyślałem, że widocznie kule nie znalazły na Ziemi żadnego zapachu godnego uwagi, ale oszalały na punkcie zapachu skunksa.

Ludzkość powinna w jakiś sposób wykorzystać tę wiedzę. Przypomniałem sobie artykuł Joy o skunksach na pierwszej stronie. Tamte skunksy były jednak inne...

Byłoby głupotą nie wykorzystać tej jednej jedynej słabości obcych. To była nasza jedyna szansa. Dotychczas pokonali nas, nie dając nam żadnej możliwości obrony. Na razie nie przychodziło mi do głowy, jak wykorzystać tę ich słabość. Gdybym nie był sam i mógł liczyć na innych ludzi... Ale miałem tylko Joy.

Zbliżałem się do przedmieścia. Nie skupiałem uwagi na drodze. Zatrzymałem się na czerwonym świetle i byłem tak zajęty myślami, że nie zauważyłem zmiany świateł.

Uświadomił mi to dopiero zirytowany taksówkarz, który przejeżdżając obok, wychylił się z okna i krzyknął:

— Ty głąbie!

Dołączył do tego jeszcze kilka innych epitetów, prawdopodobnie gorszych, ale już ich nie dosłyszałem, bo sznur samochodów za mną

zaczął wściekle trąbić. Oddaliłem się stamtąd czym prędzej.

I nagle uświadomiłem sobie, że jest pewien sposób.

Zacząłem szukać w pamięci i wreszcie przypomniałem sobie taksówkarza, który opowiadał mi z takim entuzjazmem o polowaniach na szopy.

Wjechałem na plac przed motelem, zatrzymałem się i siedziałem jeszcze przez chwilę w samochodzie, próbując przemyśleć ponownie całą sprawę.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem do restauracji. W książce telefonicznej znalazłem nazwisko: „Larry Higgins” i wykręciłem odpowiedni numer.

Odpowiedział mi kobiecy głos. Poprosiłem do telefonu Larry’ego i czekałem, aż kobieta go zawoła.

— Higgins przy telefonie — usłyszałem po chwili.

— Może mnie pan pamięta — powiedziałem. — Wczoraj wieczorem wiozł mnie pan na Wellington Arms. Opowiadał mi pan o polowaniach na szopy.

— Proszę pana, ja mówię o tym każdemu, kto chce tego słuchać. To jest moja pasja, rozumie pan.

— Ale pan nie tylko o tym mi mówił. Rozmawialiśmy i ja powiedziałem panu, że poluję na kaczki i bażanty. Zaproponował pan mi wtedy, żebyśmy kiedyś wybrali się razem na polowanie. Powiedział pan...

— Hej, zaraz — przerwał mi — już sobie przypominam. No pewnie, pamiętam pana. Zabrałem pana sprzed knajpy. Ale dzisiaj nie mogę jechać na polowanie, mam robotę. Miał pan szczęście, że mnie pan jeszcze złapał, właśnie miałem wychodzić.

— Aleja nie...

— Możemy kiedy indziej. Jutro jest niedziela, może jutro wieczorem? Albo we wtorek, też będę miał wolne. Mówię panu, jest więcej zabawy, kiedy...

— Ale ja nie dzwonię do pana w sprawie polowania.

— To znaczy, że nie chce pan ze mną jechać? Mówię panu, kiedy raz pan spróbuje...

— Chcę jechać — uspokoilem go. — Wkrótce zadzwonię do pana i ustalimy termin.

— W porządku. Proszę zadzwonić, kiedy się pan zdecyduje.

Był gotów się rozłączyć, musiałem się pośpieszyć.

— Jest jeszcze coś — powiedziałem. — Mówił mi pan o tym starym człowieku, który hoduje skunksy.

— Tak. To dziwak. Powiem panu szczerze...

— Może mi pan powiedzieć, jak go znaleźć?

— Znaleźć go?

— Tak. Jak mogę się dostać do jego domu?

— Chce pan się z nim zobaczyć, tak?

— Tak, chciałbym się z nim spotkać i porozmawiać.

— O czym chce pan z nim rozmawiać?

— Cóż...

— Niech pan posłucha: może nie powinienem panu o nim mówić. To jest miły staruszek i nie chciałbym, żeby zakłócano mu spokój. Z takiego faceta jak on ludzie zrobiliby sobie niezłe pośmiewisko.

— Powiedział pan, że on próbuje napisać książkę.

— Tak, rzeczywiście.

— I że nic mu z tego nie wychodzi. Powiedział pan, że to wstyd, że on ma książkę do napisania i nic z tego nie będzie. No więc ja jestem pisarzem i pomyślałem sobie, że przy mojej pomocy...

— To znaczy, że pan by pomógł?

— Nie za darmo — zastrzegłem.

— On nie ma pieniędzy, żeby panu zapłacić.

— Nie musiałby mi za nic płacić. Mógłbym napisać dla niego książkę, jeżeli ma na nią pomysł, a potem podzielilibyśmy się pieniędzmi, które byśmy za nią dostali.

Higgins rozważał to przez chwilę.

— No tak, to byłoby w porządku. Jak na razie to nie ma nadziei, żeby dostał za nią chociaż centa. Z pewnością przydałaby mu się jakaś pomoc.

— Dobrze, więc jak mogę go znaleźć?

— Mógłbym tam pana kiedyś zabrać.

— Chciałbym się z nim zobaczyć teraz, jeśli to możliwe. Jutro wyjeżdżam z miasta.

— W porządku, myślę, że to się da zrobić. Ma pan jakiś papier i ołówki?

Powiedziałem, że tak.

— On się nazywa Charley Munz, ale ludzie nazywają go Windy. Niech pan jedzie autostradą nr 12 i...

Zanotowałem i podziękowałem, kiedy skończył.

— Proszę kiedyś zadzwonić, to umówimy się na wspólne polowanie. Obiecałem, że to zrobię.

Wyciągnąłem następną monetę i zadzwoniłem do redakcji. Joy jeszcze tam była.

— Zrobiłeś zakupy, Parker?

Powiedziałem jej, że tak, ale muszę, niestety, znowu wyjechać.

— Zostawię wszystko w domu. Zauważyłaś, czy lodówka działa?

— Chyba tak — odparła Joy i zapytała: — Dokąd jedziesz, Parker? Zdaje mi się, że jesteś niespokojny. Co się dzieje?

— Jadę spotkać się z pewnym mężczyzną w sprawie skunksów.

Myślała, że żartuję z jej niedawnego artykułu na temat? skunksów, i to ją rozgniewało.

— Ależ to nie jest tak, jak myślisz — uspokoiłem ją. — Powiedziałem to w sensie dosłownym. Nad rzeką mieszka człowiek o nazwisku Munz i jest prawdopodobnie jedyną osobą na świecie, która przyjaźni się ze skunksami.

— Żartujesz.

— Nie, wcale nie. Powiedział mi o nim gadatliwy taksówkarz o nazwisku Larry Higgins.

— Parker, złapałeś jakiś trop — domyśliła się Joy. — Byłeś w domu Belmontów. Czy coś się tam stało?

— Nie, nic szczególnego. Zaoferowali mi pewną pracę, na co powiedziałem, że to przemyślę.

— Co miałbyś robić?

— Byłbym ich agentem prasowym. Sądzę, że tak to można nazwać.

— I zamierzasz przyjąć tę propozycję?

— Nie wiem — odparłem.

— Boję się — rzekła Joy. — Boję się bardziej niż ostatniej nocy. Próbowałam porozmawiać o tym z Gavinem i Dowem, ale nie mogłam się do tego zmusić. Czy mówienie o tym ma jakiś sens? Nikt by nam nie uwierzył.

— Zupełnie nikt — potwierdziłem.

— Niedługo wracam do domu. Nie dbam już o to, co nowego Gavin znajdzie mi do roboty, mam zamiar zaraz stąd wyjść. Nie wyjeżdżasz na zbyt długo, prawda?

— Wkrótce wrócę — obiecałem. — Zostawię zakupy w domu, a ty zacznij robić kolację.

Pożegnaliśmy się i wróciłem do samochodu.

Zaniósłem zakupy do domu. Mleko, masło i parę innych rzeczy umieściłem w lodówce, resztę zostawiłem na stole. Wygrzebałem pieniądze z łóżka i poupychałem je do kieszeni.

W końcu wyruszyłem na spotkanie ze starym człowiekiem w sprawie jego skunksów.

35.

Zaparkowałem przy ogrodzeniu, tak by, jak mi doradził Higgins, nie zastawiać bramy wjazdowej. W pobliżu nie było nikogo, tylko przyjazny pies wyszedł mi na spotkanie i łąsił się, merdając ogonem na przywitanie.

Pogłaskałem go i porozmawiałem z nim, a on towarzyszył mi, kiedy minąłem bramę i ruszyłem w kierunku domu Munza. Kazałem mu jednak zawrócić, kiedy dotarłem do dziury w płocie, za którą było pole koniczyny. Nie chciałem zabierać go do chaty starca, żeby mu nie wypłoszył skunksów. Upierał się, że byłoby miło, gdybyśmy razem wybrali się na pola po przygodę. Obstawałem jednak przy swoim i dla podkreślenia swoich słów poklepałem go po grzbiecie. W końcu odszedł, oglądając się jeszcze, na wypadek gdybym zmienił zdanie.

Poszedłem przez pole słabo widoczną drogą wyżłobioną przez wozy. Pomimo późnej jesieni koniki polne wyskakiwały w górę i uciekały, wydając wściekłe, furkocące dźwięki.

Dotarłem do końca pola, przeszedłem przez następną dziurę w ogrodzeniu i dalej podążyłem drogą, która teraz prowadziła przez porośnięte drzewami pastwisko. Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając wokoło długie cienie. Wiewiórki urządziły sobie karnawał: pędziły po dywanie opadłych liści i pobłyskiwały swymi futerkami wśród drzew.

Droga biegła po zboczach, przecinała dolinę i wspinała się na następne wzniesienie, wiodąc ku wielkim występom skalnym.

Wreszcie dotarłem do chaty człowieka, którego szukałem.

Starzec siedział w bujanym fotelu, starym i rozklekotanym, który skrzypiał i trzeszczał, jakby miał się zaraz rozlecieć. Fotel stał na powierzchni wyłożonej płytami miejscowego wapienia, które staruszek

wydobył chyba z suchego dna rzeki wijącej się w dolinie i wtoczył na górę. Przez oparcie fotela przerzucona była brudna skóra owcza; zwisające kawałki kołysały się przy każdym ruchu jak frędzle.

— Dobry wieczór, nieznajomy człowieku — przywitał mnie starzec, spokojny i niewzruszony, jakby obcy ludzie wpadali do niego bez zapowiedzi każdego popołudnia. Domyśliłem się, że musiał mnie widzieć, kiedy szedłem przez pole.

Spostrzegłem, że jego dom nieomal zlewał się ze zboczem i nie różnił się wiele od drzew i skał. Był niski i nieduży, bale, z których go zbudowano, wyblakły, nabierając nieokreślonej barwy. Na ławce przy drzwiach stała umywalka, to jest blaszana miska i wiadro wody z uchwytem. Za ławką leżał stos drewna opałowego, z pieńka do rąbania drzewa sterczała siekiera z obustronnym ostrzem.

— Czy Charley Munz to pan? — zapytałem.

— Tak, to ja — odparł stary człowiek. — Jak pan mnie odnalazł?

— Larry Higgins wytłumaczył mi, jak tu dotrzeć.

— Higgins to dobry człowiek. — Pokiwał głową. — Jeśli to Larry Higgins skierował tu pana, to przypuszczam, że pan też jest w porządku.

Dawniej musiał być z niego potężny człowiek, ale teraz był pochylony wiekiem. Koszula zwisała mu luźno na ramionach, spodnie wydawały się za luźne w sposób charakterystyczny dla starych ludzi. Był z gołą głową, jego stalowe włosy wyglądały jak czapeczka. Miał krótką, trochę rozwichrzoną brodę i nie mogłem się zdecydować, czy zapuścił ją świadomie, czy też po prostu nie golił się od paru tygodni.

Powiedziałem mu, kim jestem oraz że interesuję się skunksami i wiem o jego książce.

— Wygląda na to, że chciałby pan tu posiedzieć i trochę pogadać — domyślił się.

— Jeżeli nie będzie to panu przeszkadzało... — rzekłem.

Wstał z fotela i ruszył w stronę domku.

— Proszę usiąść — powiedział — jeżeli naprawdę ma pan zamiar tu zostać.

Obawiam się, że zbyt ostentacyjnie rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu wolnego miejsca.

— Na fotelu — wyjaśnił. — Właśnie nagrzałem go dla pana. Mnie w zupełności wystarczy klocek. Nasiedziałem się przez całe popołudnie — rzekł i zniknął w domu.

Niechętnie usiadłem na fotelu; nie mogłem odmówić staremu człowiekowi, bo chyba by się obraził.

Fotel był wygodny i miałem widok na piękną dolinę, Ziemia była usłana liśćmi, które nie straciły jeszcze barw. Niektóre drzewa nie zgubiły jeszcze całego listowia. Wiewiórka przebiegła po zwalonym pniu, przysiadła na jednym końcu i patrzyła na mnie. Potrząsnęła kilka razy ogonem — wcale się nie bała.

Było pięknie i cicho. Panował taki spokój, jakiego nie znałem od wielu lat. Zrozumiałem, dlaczego ten stary człowiek mógł siedzieć przez wiele popołudniowych godzin: było tutaj na co patrzeć. Czułem, jak ogarnia mnie prawdziwy spokój, i nawet nie byłem zdziwiony, kiedy zza rogu domu wyszedł, kołyszając się, skunks.

Zatrzymał się i zaczął wpartywać we mnie, trzymając nieznacznie łapę w górze. Po chwili ruszył wolno i statecznie. Zdaje się, że to nie był szczególnie duży skunks, ale mnie wydawał się duży. Siedziałem cicho, uważając, by nie zrobić najmniejszego ruchu.

Stary człowiek wyszedł z domku z butelką w ręku. Zauważył skunksa i wybuchnął radosnym śmiechem.

— Założę się, że napędziła panu stracha!

— Tylko przez chwilę — przyznałem. — Ale siedziałem spokojnie i chyba nie zwróciła na mnie uwagi.

— To jest Phoebe — powiedział starzec — piekielnie nieznośna sztuka. Gdzie się nie pójdzie, zawsze płacze się pod nogami.

Kopnięciem zwałił klocek ze stosu i postawił go. Usiadł na nim ostrożnie, odkorkował butelkę i podał mi ją.

— Rozmowa pobudza pragnienie — wyjaśnił — a ja już od miesiący nie miałem z kim się napić. Zakładam, że pan pije, panie Graves.

Omiał się nie oblizalem na tę propozycję. Nie piłem przez cały dzień, tak byłem zajęty. Dopiero teraz poczułem, jak bardzo tego potrzebuję.

— Jestem znany z tego, że czasami lubię się napić, panie Munz — odparłem. — Na pewno nie odmówię.

Uniosłem butelkę i pociągnąłem mały łyk whisky. Nie była najprzedniejszego gatunku, ale smakowała mi. Wytarłem szyjkę rękawem i oddałem Munzowi. Napił się i znów przekazał mi trunek.

Phoebe podeszła do niego, uniosła się trochę i oparła mu na kolanach przednie łapy. Starzec podniósł ją jedną ręką, a ona usadowiła mu się na kolanach.

Patrzyłem na to zafascynowany i tak się zapomniałem, że pociągnąłem kilka łyków pod rząd, wyprzedzając gospodarza.

Oddałem mu butelkę. Siedział, trzymając ją w jednej dłoni, a drugą drapał skunksa pod pyszczkiem.

— Cieszę się, że pan przyszedł — rzekł — bez względu na to, w jakiej sprawie. Nie jestem odludkiem i dobrze sobie radzę, ale czasami ludzka twarz stanowi miły widok. Zaraz, ale pan przyszedł tu w jakimś celu...

Przyglądałem mu się przez chwilę i podjąłem decyzję, chociaż była ona całkowicie sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem i moimi planami. Może wpłynął na to spokój przenikający to miejsce i promieniujący od tego człowieka, może wygodny fotel. Coś powiedziało mi, że tak właśnie powinienem postąpić.

— Okłamałem Higginsa, żeby uzyskać od niego pański adres — wyznałem. — Powiedziałem mu, że chcę panu pomóc w napisaniu książki. Ale teraz już dosyć kłamstw, i tak było o jedno kłamstwo za dużo. Pana nie będę okłamywał i opowiem panu wszystko dokładnie, tak jak jest.

Stary człowiek popatrzył na mnie, zaskoczony.

— Pomóc mi w pisaniu książki? Tej o skunksach?

— Jeżeli pan będzie chciał, to panu pomogę, kiedy to wszystko już się skończy.

— Przydałaby mi się pomoc. Ale jest pan tu z innego powodu, tak?

— Tak — przyznałem.

Pociągnął długi łyk i oddał mi butelkę. Ja też się napiłem.

— W porządku, przyjacielu, zamieniam się w słuch — powiedział Munz. — Niech pan zaczyna.

— Tylko niech mi pan nie przerywa — poprosiłem. — Niech mi pan pozwoli dokończyć. Wtedy będzie pan mógł zadawać mi pytania.

— Jestem dobrym słuchaczem — uspokoił mnie, trzymając w jednej ręce butelkę, a drugą głaszcząc skunksa.

— Może będzie panu trudno w to uwierzyć.

— Proszę mnie zostawić ten kłopot. Niech pan mówi.

Opowiedziałem mu. Opisałem, w jaki sposób wszystko się wydarzyło — to, co wiedziałem i czego domyślałem się. Wspomniałem, że nikt nie chciał mnie słuchać, choć nie obwinałem nikogo o to. Powiedziałem mu o Joy, Stirlingu, starym, senatorze i o agencie ubezpieczeniowym, który nie mógł znaleźć domu. Nie pominąłem żadnego szczegółu.

Skończyłem mówić i zapadła cisza. W czasie mojej opowieści zaszło słońce i półmrok spowił lasy. Zerwał się lekki, chłodny wiatr, w powietrzu unosił się ciężki zapach jesiennych liści.

Siedziałem na fotelu i myślałem, jaki ze mnie głupiec. Mówiąc prawdę starcowi, pozbawiłem się jedynej szansy. W inny sposób mogłem go skłonić do zrobienia tego, co chciałem, aby zrobił.

Czekałem. Wysłucham, co będzie mi miał do powiedzenia, a potem wstanę i odejdę — zdecydowałem. Podziękuję mu za whisky i za czas, który mi poświęcił, i odejdę w gęstniejący mrok przez pola do samochodu. Wrócę do motelu, gdzie Joy będzie czekała z kolacją złą, że się spóźniłem. A świat będzie zmierzał ku katastrofie, jakby nikt nie próbował temu zapobiec.

— Przyszedł pan do mnie po pomoc — odezwał się starzec z półmroku — więc proszę powiedzieć, co ja mogę zrobić.

— Pan mi wierzy! — wysapałem.

— Drogi panie, to nie jest takie jednoznaczne — ostudził mój entuzjazm. — Gdyby jednak pańska opowieść nie była prawdziwa, nie robiłby pan sobie kłopotu, przychodząc do mnie. A poza tym myślę, że umiem rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

Próbowałem coś powiedzieć i nie mogłem. Słowa uwięzły mi w gardle. Myślę, że byłem bliski łez. Czułem, jak przepełniała mnie wdzięczność i nadzieja.

Nareszcie ktoś mi uwierzył, wysłuchał mnie drugi człowiek i uwierzył mi; już nie byłem głupcem i szaleńcem. Przez tajemnicę ludzkiego zaufania odzyskałem poczucie własnej godności, które zaczęło mnie już opuszczać.

— Ile skunksów mógłby pan zebrać naraz? — zapytałem.

— Tuzin — odpowiedział stary człowiek — może tuzin i pół. W tym paśmie gór jest ich pełno. Będą mnie odwiedzać przez całą noc i odbierać swoje porcje pożywienia.

— Czy mógłby pan połapać je w klatki i znaleźć jakiś sposób, by je przewieźć?

— Przewieźć je?

— Do miasta — wyjaśniłem.

— Tom — farmer, zaparkował pan przy jego bramie — on ma ciężarówkę. Pożycz mi.

— I nie będzie zadawał żadnych pytań?

— Och, z pewnością będzie, ale coś wymyślę. On może przyprowadzić ciężarówkę drogą przez las.

— Dobrze. Chcę, żeby pan coś zrobił. W ten sposób może nam pan pomóc...

Powiedziałem mu, o co chodzi.

— Ale moje skunksy! — wykrzyknął, zrozpaczony.

— Tu chodzi o ludzkość — odparłem. — Pamiętaj pan, co mówiłem...

— A gliny? Złapią mnie. Nie mogę...

— Niech się pan nie martwi o gliny. My się nimi zajmiemy. Tu...

— Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem plik banknotów. — Z tego zapłaci pan mandaty i jeszcze dużo zostanie.

Patrzył na pieniądze.

— Ależ pan to dostał w domu Belmontów!

— Część z nich — odparłem. — Lepiej niech je pan zostawi w domu. Gdyby zabrał je pan z sobą, mogłyby zniknąć — zamieniłyby się w to, czym były przedtem.

Starzec zdjął skunksa z kolan i wepchnął pieniądze do kieszeni. Potem wstał i podał mi butelkę.

— Kiedy powinienem zacząć?

— Czy mógłbym zadzwonić do tego Toma?

— Oczywiście, w każdej chwili. Pójdę do niego za jakiś czas i powiem, że oczekuję telefonu. Porozmawia pan z nim i on przyprowdzi ciężarówkę. Wytłumaczę mu wszystko. Oczywiście nie powiem mu całej prawdy. Ale można na nim polegać.

— Dzięki — powiedziałem. — Wielkie dzięki.

— Niech się pan jeszcze napije i odda mi butelkę. Też muszę się napić.

Poczęstowałem się i on też się napił.

— Zacznę od razu — powiedział. — Przez godzinę, dwie złapię wiele skunksów.

— A ja wrócę do miasta i sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Potem zadzwonię do Toma. Jak on się nazywa?

— Anderson. Do tego czasu zdążę już z nim porozmawiać.

— Dziękuję, przyjacielu — rzekłem. — Do zobaczenia.

— Napije się pan jeszcze?

— Nie, muszę zabrać się do roboty.

Odwróciłem się i ruszyłem po zboczach w stronę pola koniczyny. W domu, nie opodal którego zaparkowałem samochód, paliło się kilka świateł, ale podwórze było puste. Kiedy podszedłem do samochodu, z ciemności dobiegło mnie warczenie. Był to złowrogi dźwięk, od którego stanęły mi włosy na głowie. Niósł w sobie strach, nienawiść i jakąś

groźbę. Odnalazłem klamkę; warczenie nie ustawało — zdławione, prawie nieustannie wyrywające się z gardła. Szarpnięciem otworzyłem drzwi, wsunąłem się do środka i zatrzasnąłem drzwi za sobą. Warczenie na zewnątrz nie ustawało.

Włączyłem silnik i przednie reflektory. Stożek światła wychwycił źródło tego piekielnego dźwięku: był to przyjazny pies, który przywitał mnie poprzednio i chciał ze mną iść. Cała jednak jego życzliwość wyparowała. Stał, cały najeżony, odsłaniając rząd białych zębów. W świetle pobłyskiwały jego zielone ślepia. Odsunął się wolno na bok, napięty i z ogonem wsuniętym między nogi.

Ogarnęło mnie przerażenie. Nacisnąłem pedał gazu, koła obróciły się z piskiem i ruszyłem, zostawiając psa za sobą.

36.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tego psa, zachowywał się przyjaźnie. Lubił mnie wtedy. Co się z nim stało przez te kilka godzin?

A może właściwsze będzie pytanie, co stało się ze mną?

Zastanawiałem się nad tym. Coś mokrego i łaskoczącego przebiegło mi po plecach. Prawdopodobnie ten przyjazny za dnia kundel z nastaniem nocy stawał się groźnym strażnikiem pilnującym dobytku gospodarzy. Jednak w tym wyjaśnieniu brzmiała jakaś fałszywa nuta. Byłem pewien, że wchodziło tu w grę coś więcej. Spojrzałem na zegarek w tablicy rozdzielczej: było piętnaście po szóstej. Miałem zamiar wrócić do motelu, zadzwonić do Dowa i Gavina, żeby się upewnić, czy nic się nie zmieniło — chociaż byłem pewien, że nic — potem zamierzałem zadzwonić do Toma Andersona. W ten sposób rozpocznie się lawina zdarzeń — na dobre czy na złe.

Przez drogę przebiegł dziki królik i zniknął w zaroślach w przydrożnym rowie. Gasnące promienie zachodzącego słońca malowały zachmurzone niebo odcieniami zieleni. Mały klucz lecących ptaków odcinał się od barwnego nieba jak strzępy unoszonej wiatrem sadzy.

Skręciłem w prawo na drogę prowadzącą do miasta.

To coś z mokrymi, zimnymi nogami przestało mi biegać po plecach i już zacząłem zapominać o incydencie z psem. Znowu poczułem się lepiej na myśl, że ktoś mi uwierzył — nawet jeśli był to tylko stary dziwak, pustelnik zaszyty w lasach. A jednak tylko on mi uwierzył, i w dodatku mógł mi pomóc, skuteczniej nawet niż senator czy stary.

Zimne dreszcze ustały, ale teraz zaswędziało mnie ucho. Pomyślałem, że to wszystko z nerwów. Spróbowałem podnieść rękę i podrapać się w ucho, ale mi się nie udało — ręka była jak przyklejona.

Spróbowałem ponownie. Mięśnie ramienia naprężyły się w próżnym wysiłku. Ogarnęła mnie panika, spotęgowana przez otaczające ciemności.

Wypróbowałem drugą rękę, ale ona również pozostała nieporuszona. Wtedy zauważyłem, że kierownica wypuściła macki i unieruchomiła moje dłonie, przykuwając je jak kajdankami.

Nacisnąłem hamulec. Nic to nie dało, jakby wcale nie było hamulców; samochód nawet nie zwolnił. Spróbowałem znowu — bez rezultatu.

Samochód mimo to powinien był zwolnić, bo zdjąłem nogę z pedału gazu, jechał jednak ze stałą szybkością stu kilometrów na godzinę. Wiedziałem, co to znaczy. Zrozumiałem, dlaczego tak warczał pies.

To nie był samochód, to była imitacja samochodu zrobiona przez kosmitów. Pułapka, w której mnie uwięzili, może na zawsze. Teraz mogli mnie zawieźć, gdzie chcieli i zrobić ze mną, co im się żywnie spodoba.

Zacząłem szarpać się wściekle, by uwolnić ręce od kierownicy. Oblał mnie pot na myśl, do czego może doprowadzić skręt kierownicą przy takiej prędkości. Uświadomiłem sobie, że na pewno poruszyłem kierownicą, ale samochód wcale na to nie zareagował. Wiedziałem już, że nie muszę się martwić o jazdę. Pojazd znajdował się całkowicie poza moją kontrolą. Kierownica, hamulce i gaz nie działały.

Byłem przekonany, że przedtem to był prawdziwy samochód. Jeszcze tego popołudnia, kiedy coś goniło mnie po wzgórzu, a potem rozpadło się na kawałki, czując zapach skunksa. Tamta rzecz rozpadła się na kawałki, ale samochód pozostał — nie zamienił się w setki czarnych kul pędzących w zarośla, by pobaraszkować we wspaniałym zapachu.

Zamiana nastąpiła pewnie w ciągu ostatnich godzin — prawdopodobnie kiedy byłem u Charleya Munza. Kiedy tam przyjechałem, pies nie miał nic przeciwko mojemu samochodowi.

Dali mi prawdziwy samochód — to było jasne. Prawdopodobnie domyślali się, że będę chciał go sprawdzić. Wiedzieli, że kiedy sprawdzę

go, pozbędę się wątpliwości i poczuję się bezpieczny, a wtedy oni swobodnie dokonają zamiany.

Może umieli odtwarzać tylko zewnętrzną powłokę, a i to niedoskonale. Rozegrali to bardzo ostrożnie i jak widać, opłaciło im się, bo wreszcie mnie dopadli. Siedziałem, bezradny, przestraszony swą bezradnością. Już nie walczyłem, byłem przekonany, że żadna siła nie uwolni mnie. Może istniał jakiś sposób... Mógłbym na przykład spróbować porozmawiać z tą imitacją samochodu. Zrezygnowałem jednak — wątpiłem, czy była przygotowana do czegoś takiego, choć możliwe, że mnie słyszała. Taka jednostronna konwersacja przypominałaby tylko błaganie o litość. Nie miałem zamiaru zniżać się do błagania o litość.

Żałowałem, że nie uda mi się zrealizować planu, który dawał szansę pokonania kosmitów. Przegraliśmy grę o przetrwanie przez jedno niedopatrzenie.

Mijałem inne samochody i krzyczałem do nich, próbując ściągnąć na siebie uwagę kierowców, ale mnie nie słyszeli. Po kilkunastu kilometrach samochód zwolnił i skręcił w jakąś drogę. Straciłem rozeznanie w terenie i nie mogłem się zorientować, gdzie jesteśmy. Wąska, wyboista droga wiła się przez las porastający wyłaniające się raz po raz skaliste wzniesienia.

Obserwując pobocze domyśliłem się raczej, niż rozpoznałem, dokąd jedziemy. Jechaliśmy do domu Belmontów, do miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło.

To byłby całkiem naturalny koniec tej historii, ostatni rozdział opowieści. Chyba że istniał ktoś inny, kto działał tak jak ja — sam, bo nikt mu nie wierzył. Pomyślałem, że to było zupełnie możliwe. Ja w końcu przegrałem, ale temu drugiemu mogło się powieść. W nim była jedyna nadzieja.

Na jednym z zakrętów samochód wypadł z drogi i zaczęliśmy nurkować w gęstą ścianę przydrożnych drzew.

I wtedy nagle samochód zniknął i znalazłem się w ciemnościach sam, lecąc prosto na drzewa. Zdążyłem wydać okrzyk przerażenia i uderzyłem w jedno z drzew z ogromną siłą.

37.

Było mi zimno, lodowaty wiatr lizał mi plecy. Panowały ciemności i nic nie widziałem. Pod sobą czułem coś zimnego i wilgotnego, byłem cały obolały. Z ciemności dochodził jakiś ponury, dziwnie przenikliwy dźwięk. Próbowałem się poruszyć, ale przeszywający ból odwiódł mnie zaraz od tego zamiaru.

Leżałem długo; dźwięk ucichł i wilgoć gdzieś zniknęła. Straciłem przytomność, a kiedy się ocknąłem, było nadal ciemno i jeszcze zimniej niż przedtem. Znowu poruszyłem się, wywołując tym ból, ale tym razem zdołałem wyciągnąć rękę. Dotknąłem czegoś palcami. To było miękkie i sprężyste. Rozpoznałem mech i suche liście. Leżałem przez chwilę, oswajając się z tym — a więc byłem gdzieś w lesie. Dźwięk, który słyszałem, to był szum wiatru w koronach drzew; czułem wilgoć mchu pod sobą i wciągałem w nozdrza zapach jesieni.

Przypomniałem sobie jazdę samochodem, ostry zakręt i moje nagłe uwolnienie. Otworzyłem zaciśniętą dłoń i wyrzuciłem mech i liście. Podparłem się rękoma i podciągnąłem nogi pod siebie. Ręce i nogi miałem sprawne, więc przynajmniej uniknąłem złamania, ale mój brzuch i pierś przenikał ostry ból. A jednak przegrali, nadal żyłem, uwolniony od nich, mogłem dotrzeć do telefonu i rozpocząć akcję na czas.

Próbowałem wstać, nic jednak z tego nie wyszło. Kolana ugięły się pode mną i osunąłem się na ziemię. Siedziałem, trzymając się za brzuch. Po pewnym czasie dotkliwy ból nieco ustąpił.

Znajdowałem się na stromym zboczu, droga biegła powyżej. Wiedziałem, że muszę się do niej dostać, bo tylko wtedy miałem szansę, że ktoś mnie odnajdzie. Ponieważ nie mogłem chodzić, pozostawało mi

czołganie albo wspinaczka na czworakach. Nie widziałem drogi, nie widziałem zupełnie nic — otaczała mnie nieprzenikniona ciemność.

Zacząłem wspinać się na czworakach. Posuwałem się powoli i z trudem. Natrafiałem na drzewa i krzaki i musiałem je omijać. Która mogła być godzina? Dotknąłem zegarka. Okazało się, że szkiełko jest potłuczone.

W pewnej chwili usłyszałem jakiś dźwięk wyraźnie inny od wycia wiatru. Leżałem cicho, wytyżając słuch. Nagle dźwięk nasilił się — to był niewątpliwie warkot samochodu.

Wskazywał mi on niewidoczny dotąd cel, rzuciłem się więc szaleńczo w górę zbocza. Odgłos wzmógł się i przez chwilę widziałem wiązkę światła rzucaną przez nadjeżdżający pojazd. Światło obniżyło się, znikło i pojawiło się bliżej mnie. Zacząłem krzyczeć, samochód jednak minął zakręt i pojechał dalej. Odjechał i znowu zostałem sam.

Myślałem już tylko o tym, żeby się wydostać na drogę. Miałem nadzieję, że będzie tędy przejeżdżał jakiś inny samochód, Po pewnym czasie — wydawało mi się, że trwało to wieki — dotarłem do drogi. Usiadłem na poboczu, odpocząłem trochę, po czym ostrożnie stanąłem na nogi. Ból nie ustawał, ale czułem się już lepiej i mogłem stać na nogach. Pomyślałem, że przeszedłem długą drogę od tej nocy, kiedy odkryłem pułapkę przed moimi drzwiami. Na próżno rozgrywałem partię szachów z tymi istotami z kosmosu, które zastawiły na mnie pułapkę. Tej nocy gra miała się zakończyć, już powinienem był nie żyć, Kosmici niewątpliwie zamierzali mnie zabić i teraz na pewno byli przekonani, że leżę gdzieś martwy.

A jednak żyłem. Może miałem złamane dwa żebra i byłem poturbowany, ale zdołałem się pozbierać i nie byłem jeszcze pokonany.

Jeżeli tylko miałem trochę szczęścia, za chwilę powinien nadjechać następny samochód. Wtedy nagle poraziła mnie myśl, że ten następny samochód może okazać się kolejną pułapką kosmitów. Po zastanowieniu uznałem to za niemożliwe. Oni zamieniali się tylko w te

rzeczy, których aktualnie potrzebowali. Myśl, że znowu potrzebowaliby samochodu, wydała mi się nierozsądna.

Oni nie potrzebowali samochodów do podróżowania, mieli do tego swoje tunele. Mogli przedostawać się przez nie na naszą planetę i przemieszczać na niej w ten sam sposób. Nietrudno było sobie wyobrazić, że Ziemia jest oplątana siecią ich tuneli komunikacyjnych. Być może słowo „tunele” nie było najtrafniejszym określeniem.

Zrobiłem ze dwa kroki i przekonałem się, że mogę chodzić. Może zamiast czekać na samochód, powinienem podążyć do głównej drogi. Tam na pewno uzyskam pomoc, tu zaś mogłem czekać do rana na następny samochód.

Szedłem kulejąc; nie było tak źle, oprócz tego, że ból nie ustawał. Chyba trochę się przejaśniło, pewnie ciężkie chmury rozstały się. Musiałem przystawać od czasu do czasu dla odpoczynku. Kiedy obejrzałem się za siebie, dostrzegłem, co było źródłem światła. Płonął las i kiedy ogień wystrzelił nagle w niebo, zobaczyłem w czerwonym żarze krokwiowy dach domu.

Wiedziałem, że to dom Belmontów. Płonął dom Belmontów. Patrzyłem na ten gigantyczny fajerwerk i modliłem się, żeby przynajmniej część obcych się tam upiekła. Zdawałem sobie jednak sprawę, że z pewnością kosmici byli bezpieczni w swoich tunelach prowadzących do innego świata. Wyobrażałem sobie, jak uciekali przed ogniem do tych swoich nor. Imitacje ludzi, mebli i innych rzeczy zamieniają się w kule i toczą do swoich nor.

Dom Belmontów był tylko jedną z ich licznych siedzib. Musieli mieć wiele przyczółków w różnych częściach świata — miejsc, którymi zawładnęli i skąd mieli tunele do swojego świata. Dzięki tym tajemniczym tunelom ich rodzima planeta mogła być bardzo blisko, zaledwie o sekundę drogi stąd.

Zza zakrętu za mną wyłoniły się dwa rozstawione światła. Zacząłem machać rękami i krzyczeć. Odskoczyłem w ostatniej chwili, kiedy

samochód mnie mijał. Tylne światła rozjaśniły mrok nocy, opony zapiszczały na jezdni. Samochód cofnął szybko i zrównał się ze mną.

Od strony kierowcy wychyliła się jakaś głowa i usłyszałem:

— Co jest, do diabła!?! Myśleliśmy, że pan nie żyje!

Joy łkając, wysiadła z samochodu.

— Niech pan z nią porozmawia — powiedział Higgins. — Na miłość boską, niech pan porozmawia z nią. Ona zupełnie oszalała. Właśnie podpaliła tamten dom.

Joy dopadła do mnie i złapała za ramiona; ścisnęła mocno, jakby chciała się przekonać, czy to naprawdę ja.

— Jeden z nich zatelefonował do mnie — wykrztusiła — i powiedział, że nie żyjesz. Powiedzieli, że nikt ich nie będzie nabierał i że musieli z tobą skończyć, bo próbowałeś wystrychnąć ich na dudka. Ostrzegali, że jeżeli coś mam zamiar zrobić, to lepiej, żebym o tym zapomniała. Mówili...

— O czym ona mówi? — wtrącił Higgins. — To nie ma żadnego sensu. Przysięgam na Boga, że ona oszalała. Zadzwoiła, pytając o starego Windy'ego, wykrzykiwała cały czas jak oszalała.

— Jesteś ranny? — dopytywała się Joy.

— Tylko trochę potłuczony — odpowiedziałem. — Mam chyba złamane dwa żebra. Teraz nie mamy czasu...

— Namówiła mnie, żeby jechać do Windy'ego — opowiadał Higgins — i powiedziała mu, że pan nie żyje, ale żeby robić to, co pan kazał. Więc on załadował całą ciężarówkę klatkami ze skunksami...

— Co on zrobił?! — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Załadował skunksy i zawiózł je do miasta.

— Czy zrobiłam coś złego? — zaniepokoiła się Joy. — Mówiłeś mi o tym starcu, który przyjaźni się ze skunksami, i o rozmowie z taksówkarzem Larrym Higginsem i ja...

— Dobrze zrobiłaś — uspokoiłem ją. — Nie mogłaś zrobić lepiej.

Objąłem ją i przytuliłem. Nie dbałem o to, że bolał mnie trochę przez to żebra.

— Niech pan włączy radio — poprosiłem Higginsa.

— Proszę pana, lepiej stąd jedźmy. Ona podpaliła dom. Mówię panu, nie miałem pojęcia...

— Włącz pan radio! — krzyknąłem.

Marudząc pod nosem, nachylił się do samochodu i włączył odbiornik.

Rozległ się podniecony głos:

Są ich tysiące, miliony! Nikt nie wie, skąd pochodzą ani czym są...

Przybywały ze wszystkich stron. Nie z jednego miasta czy kraju, ale prawdopodobnie z całej kuli ziemskiej. Wystarczyło to rozpocząć, by wiadomość rozeszła się wśród nich lotem błyskawicy.

Ze wzgórze nie można było przekazać szybko informacji. Istota, która przybrała postać mężczyzny i podążała za mną, oraz ta, która udawała pieniądze w mojej kieszeni, były oddalone od tuneli.

Ale teraz dobra wiadomość obiegała świat, dotarła nie tylko do wszystkich obcych na Ziemi, ale i tych w kosmosie. Dopiero się wszystko zaczynało. Pod koniec będzie cała góra kul pragnących uczestniczyć w zapachowej ekstazie.

Wszystko zaczęło się od skunksów — mówił podniecony reporter — których wiele ktoś wypuścił na skrzyżowaniu Siódmej i State Alley, w samym sercu miasta. Nie trzeba nikomu opowiadać, co się działo, jeśli się weźmie pod uwagę, że jest tam wiele nocnych klubów. Ktoś poinformował policję, że skunksy wypuścił jakiś ekscentryczny staruszek z brodą, jadący ciężarówką. Zanim jednak policja zaczęła poszukiwania podejrzanego, zaczęły pojawiać się te rzeczy. Jeszcze nie można stwierdzić, czy istnieje jakiś związek między nimi a skunksami. Z początku było ich tylko kilka, z czasem zaczęło napływać coraz więcej, ze wszystkich stron, wszystkimi

ulicami. Wyglądają jak kule do gry w kręgle, są tej samej wielkości i mają czarny kolor. Zablokowały już skrzyżowanie i przyległe ulice.

Przywiezione skunksy — kontynuował sprawozdawca — wyczerpane i zdenerwowane, reagowały raczej gwałtownie na widok zbliżających się do nich ludzi. Teren przez to raptownie opustoszał. Każdy uciekał stamtąd jak najszybciej. Samochody stawały w korkach i wszędzie widać było biegnących ludzi. Wtedy właśnie pojawiły się pierwsze kule. Naoczni świadkowie mówią, że one pędziły ulicami, toczyły się, goniąc skunksy. Te, oczywiście, reagowały jeszcze gwałtowniej i wtedy atmosfera w tej części miasta stała się nie do zniesienia. Ludzie, którzy utknęli w samochodach w korku ulicznym, porzucili swoje pojazdy i oddalili się w pośpiechu. Napływ kul trwał nieprzerwanie.

Teraz już zaprzestały płasów, bo po prostu nie mają do tego miejsca. Powstał z nich wielki, kotłujący się stos wypełniający skrzyżowanie i wylewający się na ulice aż do linii unieruchomionych w korku samochodów. Z naszego punktu obserwacyjnego na budynku McCandlessów rozciąga się doskonały, choć przerażający widok. Powtarzam, nikt nie wie, czym są te rzeczy, skąd tu przybyły ani po co...

— To był stary Windy — rzekł Higgins — to on wypuścił te skunksy. I o ile zrozumiałem, udało mu się stamtąd wymknąć.

— Czy właśnie tego chciałeś? — Joy spojrzała na mnie.

— Teraz nas podsłuchają — powiedziałem. — Teraz wszyscy się dowiedzą.

— Ale co się dzieje?! — wykrzyknął Higgins. — Czy ktoś mi to wyjaśni?! To wygląda na kolejną rzecz Orsona Wellesa...

— Wsiadaj do samochodu — powiedziała do mnie Joy. — Musimy zawieźć cię do lekarza;

— Niech pan posłucha — mówił Higgins. — Nie wiedziałem, w co się pakuję. Ona prosiła, żeby z nią jechać, więc pojechałem. Powiedziała, że musi szybko znaleźć starego Windy'ego, bo to jest sprawa życia lub śmierci.

— Niech pan się uspokoi — rzekłem. — To była sprawa życia lub śmierci. Nic się panu nie stanie z tego powodu.

— Ale ona podpaliła dom...

— To było głupie z mojej strony — przyznała Joy — chyba taki ślepy odruch zemsty. Teraz widzę, że nie miało to większego sensu. Ale musiałam ich jakoś ukarać, a to był jedyny sposób. Kiedy zadzwonili, by powiedzieć, że nie żyjesz...

— Wystraszyli się — odparłem. — W przeciwnym razie nigdy by nie zadzwonili. Może myśleli, że planujesz coś, czego nie mogli przewidzieć.

Policja prosi o niewjeżdżanie do śródmieścia! — krzyczał reporter radiowy. — Tworzą się gigantyczne korki i to tylko pogorszy sytuację. Proszę zachować spokój i pozostać w domach...

Pomyślałem, że w końcy popełnili błąd. Gdyby nie zadzwonili do Joy, prawdopodobnie by im się udało. Przeżyłem, ale nie potrzebowaliby wiele czasu, żeby się o tym dowiedzieć i wykończyć mnie w typowy dla nich sposób, już bez żadnych niedociągnięć. Ulegli jednak panice, popełnili błąd i teraz byli zgubieni.

Jakiś ciemny kształt zbliżał się do nas drogą ciężkimi susami. Promieniowały od niego podniecenie, radość i szczęście. Był wielki i kudłaty i pędził z wywieszonym jęzorem.

Dotarł do nas, usiadł na jezdni i z entuzjazmem walił ogonem w ziemię.

— Przyjacielu, zrobiłeś to — oznajmił Pies bez żadnych wstępów. — Wywabiałeś ich z kryjówek i pokazałeś światu. Zmusiałeś ich do ujawnienia się. Teraz już wiecie...

— To ty!? — wykrzyknąłem. — Przecież ty jesteś w Waszyngtonie!

— Są szybsze sposoby podróżowania niż waszymi samolotami i lepsze metody, by dowiedzieć się, gdzie ktoś się znajduje, niż za pomocą waszych telefonów.

Miał rację. Towarzyszył nam przez całą noc, a o świcie znalazł się w Waszyngtonie.

— Teraz to chyba ja oszalałem — zauważył słabo Higgins. — Nie ma czegoś takiego jak mówiące psy.

Proszę zachować spokój! ~ krzyczał z radia reporter. — Nie ma powodów do paniki. Oczywiście, nikt nie wie, czym są te rzeczy, ale musi być jakieś logiczne wytłumaczenie. Policja całkowicie panuje nad sytuacją i nie trzeba...

— Zdaje się, że słyszałem słowo „lekarz” — wtrącił Pies. — Nie wiem, co to znaczy.

— To jest ktoś, kto naprawia ciała innych osób — poinformowała go Joy. — Parker jest ranny.

— Och — zdziwił się — więc o to chodzi. My też mamy takie pojęcie, ale bez wątpienia opiera się to na innej zasadzie. Doprawdy zadziwiające, jak wiele identycznych celów można osiągnąć różnymi środkami.

Ilość kul nieustannie wzrasta! — krzyczano przez radio. — Stos sięga już okien szóstego piętra i rozlewa się na pobliskie ulice. Teraz przybywają chyba w szybszym tempie i góra rośnie z minuty na minutę...

— Teraz, kiedy moja misja jest już zakończona — rzekł Pies — muszę powiedzieć wam *adieu*. Nie przyczyniłem się zbyt do zwycięstwa, ale to była miła wizyta. Macie wspaniałą planetę; w przyszłości musicie lepiej jej pilnować.

— Zaczekaj chwilę — powiedziałem. — Jest wiele rzeczy...

Mówiłem na próżno — Pies momentalnie zniknął, nie poszedł sobie, tylko zniknął.

— A niech mnie — odezwał się Higgins. — Czy on tu rzeczywiście był, czyja to sobie wyobraziłem?

Wiedziałem, że facet miał rację. Pies był, a teraz wrócił do domu — do tej odległej planety, w inny wymiar, do którego należał. Nie odszedłby, gdyby był tu jeszcze potrzebny.

Ziemia była uratowana — ludzie wiedzieli o kulach i teraz wysłuchają mnie: szef, senator, prezydent i wszyscy inni. Może na początek ustanowią moratorium na wszelkie transakcje handlowe, zanim nie uda się oddzielić prawdziwych ludzkich umów od umów kosmitów. Transakcje kosmitów były niezgodne z prawem ze względu na pieniądze, jakimi oni dysponowali. Nawet gdyby były legalne, nie miałyoby to większego znaczenia, bo ludzkość już знаła lub wkrótce pozna sytuację i zrobi coś, żeby jej zaradzić. Zrobi wszystko, co będzie niezbędne, by powstrzymać inwazję — bez względu na to, czy będzie to dobre, czy złe.

Otworzyłem tylne drzwi samochodu i wskazałem ręką Joy, żeby wsiadła.

— Jedźmy już — powiedziałem do Higginsa. — Mam pilną robotę, muszę napisać artykuł.

Już widziałem wyraz twarzy starego, kiedy wejść do jego gabinetu. Przygotowałem sobie w myślach odpowiednie słowa na tę okoliczność. A on będzie musiał wstać i wysłuchać mnie, bo byłem jedynym człowiekiem, który znał całą tę historię.

— Nie jedziemy do redakcji — sprzeciwiła się Joy. — Najpierw znajdziemy lekarza.

— Lekarza! — podniosłem głos. — Ja nie potrzebuję lekarza.

Byłem zaskoczony, nie tym, że to powiedziałem (przedtem rzeczywiście potrzebowałem lekarza), ale tym, że tak spokojnie zaakceptowałem to, co stało się ze mną bez mojej wiedzy.

Czułem się dobrze i nie potrzebowałem pomocy lekarza. Ból ustał i nie drżały mi kolana. Pomacałem klatkę piersiową. Jeżeli miałem coś złamane, już się to zrosło.

Zadziwiające, jak można osiągnąć ten sam cel na różne sposoby — jak to zauważył Pies.

— Dzięki, przyjacielu — powiedziałem w niebo. — Dziękuję, przyjacielu. I nie zapomnij przysłać rachunku.

38.

Lightning rzucił mi gazetę na biurko; farba drukarska była jeszcze świeża. Tytuł mojego artykułu na pierwszej stronie wypisany był grubą czcionką.

Nie wziąłem gazety do ręki, tylko siedziałem i patrzyłem na nią. Potem wstałem i poszedłem wyjrzeć przez okno. Na północy wznosiła się góra oświetlana setkami reflektorów. Sięgała już dobrze ponad linię horyzontu i nadal rosła. Przed kilkoma godzinami utracono nadzieję na uratowanie ekipy reporterów złapanej w potrzask i pogrzebanej żywcem pod kulami na dachu budynku McCandlessów. Można było tylko stać i patrzeć.

Gavin podszedł do okna i stanął obok mnie.

— W Waszyngtonie mówi się o ewakuacji miasta i zrzuconiu na nie bomby wodorowej — poinformował mnie. — Właśnie nadali to przez radio. Zaczekają, a kiedy okaże się, że przybyły już wszystkie kule, wtedy wyślą na nie bombowiec.

— I co to da? — zapytałem. — W tej chwili nie stanowią już dla nas zagrożenia. Były niebezpieczne, dopóki o nich nie wiedzieliśmy.

Wróciłem do swojego biurka. Spojrzałem na zegarek — zapomniałem, że się rozbił. Przeniosłem spojrzenie na zegar ścienny: było pięć po drugiej.

Stary stał przy stole działu miejskiego, po chwili podszedł do mnie i podał mi swą potężną dłoń.

— Dobra robota, Parker. Doceniam to.

— Dzięki, szefie — rzekłem, mając świadomość, że nie powiedziałem mu o wszystkim. Dziwne, ale nie było mi z tego powodu przykro.

— Mam w swoim gabinecie coś do picia — zachęcał mnie stary.

Pokręciłem głową.

Poklepał mnie po plecach i uwolnił moją dłoń.

Podszedłem do biurka Joy.

— Chodź, moja piękna — powiedziałem. — Mamy pewną sprawę do dokończenia.

Podniosła się i czekała.

— Zamierzam zdobyć cię jeszcze tej nocy — rzekłem.

Nie poczuła się urażona. Na oczach wszystkich objęła mnie. Można żyć choćby i milion lat, a i tak nigdy nie zrozumie się kobiet.

Przypisy

[\[1\]](#) *Pinochle* — rodzaj gry w karty. (Przyp. tłum.)